

Dell Ethel Mary

Srebrne wesele

(Zaślubiny dusz)

Ktoś, kto poznałby Marcję, ciągle młodą i piękną żonę wziętego adwokata, nie domyśliłby się, że jest to kobieta głęboko nieszczęśliwa. Opływa w dostatki, a nawet żyje w luksusie. Ma syna i córkę, których kocha, a jednak życie jej ciągle wydaje się być puste.

W przeszłości młodej kobiety jest niezwykle zdarzenie, którego wspomnienie nie pozwala pogodzić się jej później z monotonną codziennością. Marcja kocha mężczyznę, ale nie jest to jej mąż. Walczy z tą miłością, bo jest to miłość zakazana.

— Nie może pan spać? — spytała siostra. — Może podać herbatę? Człowiek na łożku zerwał się gwałtownie i spojrzał na kobietę mętными oczyma.

— Jęczałem przez sen?... Bardzo mi przykro... Po chwili zaś dodał:

— Kto by mógł spać w tym piekielnym hałasie?

— Naturalnie, że nikt. Ale proszę się uspokoić; to wkrótce przeminie.

Salwy z karabinów zaprzeczały jednakże tym dobrym słowom. Po chwili rozległ się huk wybuchu, który wstrząsnął murami do samych fundamentów. Mężczyzna drgnął, choć starał się przemóc, kobieta przystanęła, zupełnie obojętna na zjawiska z zewnątrz.

— Blisko — wyjąkał wstrząśnięty chory, gdy strzelanina na chwilę przycichła.

— Niech się pan nie lęka, nie podeszli aż do nas. Wyrzekła te słowa z imponującym spokojem.

Mężczyzna spojrzał, jakby pragnąc odczytać wyraz jej twarzy. Po chwili zapytał:

— Ma pani istotnie aż tyle odwagi? Nie mogę tego pojąć. Tylko z trudem się wstrzymuję, by nie piszczeć jak królik.

Podeszła do niego i ujęła go za rękę.

— Nie poddaję się nerwom — rzekła spokojnie. — Można by mnie nazwać w tym względzie szczęśliwą. Ale za wiele myśli zaprzęta mi głowę.

Mężczyzna westchnął.

— A ja mogę myśleć tylko o sobie. To cała różnica, która zachodzi między nami.
— Cała różnica — powtórzyła kobieta. — Ale czwartą już noc spędza pan bezsennie.
— Czwartą — wyjąkał. — Szatan się wziął na nerwy człowieka.
— Już niedługo — pocieszała — przecież w końcu ustąpią.
— No tak, ustąpią... — Przemówił teraz głosem, jakby chciał się obronić. — Nie zaliczam się niestety do cierpliwych pacjentów. Ale teraz już rozumiem, jak wielką odwagę powinien mieć ranny.
— Możliwie największą — przyznała siostra. — Niewygodnie panu, widzę — poprawię poduszki. I przyniosę panu potem szklankę herbaty.
Pochyliła się nad nim, by poprawić posłanie, strzelanina zaś na nowo rozpętała się wściekle. Tuż nad oknami zadudniło od huku pękającego granatu. Mężczyzna opadł i leżał zdrtwiał.
Przez drzwi pokoiku, które stały nie domknięte, doleciał w tej chwili jakiś męski głos:
— Siostró, siostró! Czy może pani podejść? Tam straszny popłoch, zaczyna się najgorsze!
Pochyliła się głębiej nad rannym mężczyzną.
— Czy nie będzie panu przykro, gdy wyjdę na minutę? Natychmiast wrócę.
Poruszył się na łóżku, jakby zdjęty przerażeniem. Potem nagle się zerwał i chwycił jej ramię w kurczowym uścisku.
— Czy naprawdę pani wróci?
— Wrócę — odrzekła — przyrzekam to panu. Zwolnił uścisk i wreszcie ją puścił.
— No dobrze — wyjąkał — niech pani idzie.
Oderwała się od łóżka i pomknęła jak cień poprzez mroczny pokój. Pozostał sam wśród huku i łomotu, świadom swego stanu i zupełnej bezsiły.
Zaś ogień przed domem trwał i wzmagał się, jakby przepaście piekieł rozwierały się pod światem. Mężczyzna zbladł i chwycił się nieprzytomnie oburącz za głowę. Umieszczono go tutaj, w tym nędznym zakamarku, aby wyleczył się z ran i pokrzepił swoje nerwy; ale teraz, gdy tak leżał, samotny i opuszczony, zatęsknił za ludźmi i swobodą towarzyszy. Czuł, że odosobnienie przyprawi go o szaleństwo.

Huk go ogłuszał, odbierał mu przytomność. Skrył się pod kołdrą, zasłonił się poduszką, bronił się jak mógł, byle odgrodzić się od świata — nie widzieć i nie słyszeć — ale zmagął się daremnie, uznał, że nie sprosta. Słyszał tak jak przedtem, a każdy z tych odgłosów miażdżył mu mózg. Zewsząd otoczył go ogień piorunów, bał się, że nie wytrwa w tej strasznej samotności.

— O, Boże! — wyjąkał — o, mocny Boże! Nie dopuść do tego, abym musiał oszaleć!

Za roletą okienną mignęło światło i mały pokoik, tonący w półmroku szpitalnej lampki, rozświetlił się nagle szkarłatem błyskawic. Zadudniło od wybuchu, zaś jemu wydało się, że porwany jego siłą, stoczył się z hukiem na dno czeluści; był zupełnie tego świadom, że teraz już nie znajdzie możliwości odwrotu.

Wyciągnął ramiona i chwycił się kurczowo wezgielowa łóżka. Szukał instynktownie oparcia dla ciała. Każdy jego ruch był odruchem trwogi. Nie chciał umierać w tym strasznym stanie — okaleczony, bezbronny, przelekły, samotny. O, wielki Boże! — tak okrutnie samotny!

Właśnie ta samotność — ta świadomość odosobnienia — wprawiła jego duszę w ów stan obłądu. Zdawał sobie sprawę ze swej strasznej marności, z tego braku znaczenia dla ludzi i dla świata. Mógł cierpieć, szaleć, zmagać się, rozpaczać, ale kogóż to obchodziło, czy myślał kto

o nim? Był jak liść, pędzony na wietrze, jak ziarnko prochu, miotane huraganem. O, śmierci, śmierci! Słyszał ją prawie na progu pokoju. Więc niechby już przyszła! Gdyby pozwoliły mu siły, wyskoczyłby z łóżka i uprzedził ją, byle nie dać jej czekać.

Ogień rozświetlał jeszcze pokój, ale słyszał teraz krzyki przenikające ów łomot, dowiedział się w końcu, że nie przebywa tu sam. To, co w tej chwili rozgrywało się za murami, przywróciło mu świadomość, że i inni żyjący są ludźmi śmiertelnymi. Wszyscy dokoła cierpieli tak jak on, a żaden przecież nie był istotą potępioną.

Wynoszono pacjentów z tej kaźni cierpienia, jednego za drugim, każdego z osobna. Nie był jeszcze sam i to go otrzeźwiało.

Jak długo to potrwa, zanim wyniosą ich wszystkich? A czy nie mogło się zdarzyć, że o nim zapomną? Kto o nim myśli w tym strasznym popłochu? Kto go będzie szukał w tym odosobnionym zakątku, w którym ukryła go wczoraj troskliwa siostra, chcąc mu zapewnić odrobinę spokoju?

Kto, na Boga? Zdawało się już nawet, że wrzawa przycicha, że wszyscy już opuścili budynek, podczas gdy zapach dymu i wzrastające gorąco przemawiały za możliwością, że budynek płonie. Podniósł ramiona i ukrył w nich twarz. Nie było dlań nadziei, ale rozsądek w nim wytrwał; trzymał się dzielnie, nie rozpaczając jak przedtem. Wprawdzie inaczej sobie wyobrażał godzinę śmierci, ale skoro taką mu zgotowały nieodgadnione losy, nie okaże teraz ślepego przerażenia. Jeśli umrze, to jak człowiek, nie zaś jak dzikie, wystraszone zwierzę. Wybłągał sobie modlitwą przywrócenie rozsądku. Zrozumiał to teraz z niemałym zdziwieniem. Pozbawiony nadziei utrzymania się przy życiu, zwrócił się ponownie ku słowom modlitwy:

— Od gniewu Twego i kary i wiecznego potępienia — ustrzeż nas, Boże, chroń nas, Panie!

Przeniósł się myślą do wiejskiego kościółka, gdzie niegdyś, będąc dzieckiem, upadał na kolana, gdy odmawiano litanię. Wydawała mu się zawsze nieskończenie długa i nie umiał tego pojąć, co oznacza ta rzecz o tak dziwnie niesamowitym, upiornym brzmieniu, od której wszyscy modlący się tak szczerze i gorąco pragnęli się ustrzec. Zdarzyło się wśród tego, że zdjęty sennością, uderzył się czołem o pulpit ławy. „Od gniewu Twego i kary. — Od gniewu Twego i kary” — o tak, to prawda to straszne zapewne, gdy Pan Bóg się gniewa. Ale dlaczego On się gniewa? Czy On musi się gniewać na wszystkich ludzi? Czy nie mogą tego sprawić, by się czasem uśmiechnął? „I wiecznego potępienia...” Gdy wypowiedano te słowa, dostrzegł jakiś płomień, który wybuchał wśród dymu, wyczuwał spaleniznę — mdły i cierpkawy posmak popiołu... Ale słyszał już kiedyś o ognistym piecu. I o trzech młodzieńcach, którzy znaleźli się w piecu nie uszkodzeni przez płomień, gdyż był z nimi Czwarty. „A Czwarty był właśnie Synem Człowieczym”. Gdy zbawiono ich zatem i ocalono od śmierci, jak się mógł ostać mit o potępieniu? I nie ostał się istotnie. Runął jak wszystko, co niezgodne jest z prawdą. Już wtedy — jako chłopak — wierzył w to święcie, opowieść o młodzieńcach, którzy ocalili w płomieniach, przemawiała mu zawsze szczerze do przekonania. Przemówiła doń i teraz, w tym krańcowym niebezpieczeństwie i tchnęła w jego duszę niespodziewaną odwagę. Skierował swoje oczy ku morzu płomieni, niemal całkiem pewny, że dostrzeże w tej chwili objawienie Czwartego.

I dostrzegł istotnie zbliżającą się postać, jakkolwiek nie tą, którą spodziewał się ujrzeć. Przez mdłe i kłębiące się smugi dymu podchodziła kobieta, cicho i spokojnie, jakby jej droga prowadziła przez błękit i słońce.

Dotarła doń wreszcie i pochyliła się nad nim. Dotknęła jego dłoni tak tkliwie i kojąco, jak pociesza się dziecko bolejące nad krzywdą.

— Pan myślał, że zapomniałam? — spytała wzruszona. — Zrobiłam, co mogłam, a teraz powracam.

— Siostro! — wyjąkał i jakby nie wiedząc, co czyni, objął jej ręce i przytulił do twarzy.

— Och, siostro! — powtórzył i dźwignął się na łóżku.

— No cicho, cicho — pocieszyła go półszepem. — Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Rozległ się jeden huk straszliwy i wstrząsnął murami, a człowiek na łóżku wyciągnął ramiona i spojrzał na siostrę, jakby nagle oprzytomniał.

— Proszę iść stąd! — wykrzyknął głosem ochrypłym. — Proszę uciec, ratować się! Czy pani słyszy, co mówię?...

Jeszcze teraz jest pora... Kto wie, czy za chwilę nie będzie za późno.

Nie odrzekła na te słowa i nie zbierała się do odejścia. Przystanąła obok łóżka i pochyliła się nad chorym.

— Proszę odejść! — powtórzył, wijąc się na posłaniu. — Czy pani nie słyszy, co się dzieje, nie zdaje sobie sprawy?

Ozwała się po chwili spokojnie, lecz stanowczo:

— Nic mnie nie zmusi, abym zostawiła pana tutaj. Chcę zostać obok pana, ja nie lękam się śmierci.

— Ale dlaczego, dlaczego? — zapytał nieprzytomnie. Wydobył te słowa jakby w ataku jakiejś pasji. — Pani może się ratować, ja już nie mogę. Na miłość Boską, ratuj pani życie! Ja nie chcę, byś zginęła z mojego powodu!...

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po głowie. Spojrzał na jej twarz i dostrzegł w jej oczach jakieś osobliwe lśnienie.

Zdrętwiał na ten widok, opuściły go siły.

Po chwili odezwała się:

— Nie boję się śmierci, jeśli zginąć mam z panem. I nie opuszczę pana teraz, aby tu umarł samotnie.

Wyrzekła te słowa bez śladu podniecenia. Oczy jej błyszczały hartem i odwagą, przyświecały mu w pomroce jak światło pochodni. Ocenił jej obecność jak prawdziwe błogosławieństwo: dopiero teraz zrozumiał, jak strasznie by się czuł, gdyby nie było jej tu. Wyciągnął do niej ręce, ona zaś pochyliła się i objęła je swoimi.

— Nie lękajmy się niebezpieczeństwa — ozwała się cicho. — Bóg nas nie opuści. On wszędzie jest z nami.

Pocieszyła go, tak jak pociesza się dziecko, które znalazło się w ciemności. Odczuł pewną ulgę, już nie drżał z przerażenia. Objął ją ramionami i ślepo, nieprzytomnie wtulił się w jej łono.

— Pocałuj mnie — wyjąkał — pocałuj mnie, siostrze... Wydobyła jakieś słowo, które brzmiało jak pieszczota.

Dotknęła

ustami jego płonącego czoła, on zaś uniósł się i usta ich przywarły do siebie. Pocałunek, który ich złączył, zdawał się pieczętować ich wspólnotę duchową; był jakby jedynym przejawem zaślubin ich dusz, w których nic, co jest ziemskie, nie zaznaczało współdziałania. Trwali obok siebie, jakby śmierć obwiązała im ręce stulą. Coś zgoła nadziemskiego — boskiego po prostu — uczestniczyło w tej chwili w splocie ich ramion.

W dziesięć minut później wyniesiono na plac przed szpitalem dwoje uratowanych, lecz nieprzytomnych ludzi.

Złożono ich na noszach między innych uratowanych, zaś budynek już płonął. Raz po raz osuwały się na ziemię jego belki i wiązania, pośród dymu i płomieni przezierały rozpaczliwie walące się mury.

— Cóż to — zawołał oficer sanitarny — jedna z naszych sióstr? Byłem zupełnie tego pewny, że ani jedna nie została.

— Ostrzegalem ją, Sir — zameldował ordynans, cały osmolony od dymu i ognia. — Zdaje się jednak, że sama wróciła. Zastalem ją przy łóżku ostatniego pacjenta, który powierzony był jej pieczy.

— Czy uratowałeś ich oboje? — ostro zapytał oficer sanitarny.

— Uratowałem ich, Sir — odpowiedział ordynans. — Tam oto leżą.

— Dobrze! — rzekł lekarz.

Plac przed szpitalem w tej chwili opustoszał, nikt nawet nie podbiegł, by ocucić nieprzytomnych.

Mewie gniazdo

W wiosennym słońcu mieniły się liście zeszłorocznej paproci. W oddali błękitniała szafirowa zatoka. Natura błyszczała najżywszymi barwami błękitu i złota.

— Czy jest coś piękniejszego? — mówiła do siebie Marcja Temp-leton. — Odnosi się wrażenie, że otworzyło się niebo.

Oparła się plecami na wyrwie skalnej, zmrużyła oczy i spozierała jak zakłeta na połyskujący ocean. Błada jej twarz, skrywająca się w cieniu szerokiego kapelusza, nabrała wyrazu zachwytu i skupienia. Odnosiło się wrażenie, że bezpośredniość widoku zadziałała na jej umysł jak nadziemskie zjawisko.

— Zapamiętam to sobie — szepnęła półgłosem. — To przecież nie senne widziadło, aby rozproszyło się w mych myślach jak czcza iluzja.

Dzień był marcowy, ale nie różnił się barwnością od przepychu czerwca. Światło ją raziło, opuściła rondo kapelusza. Wyglądała jeszcze młodo, na kobietę dwudziestoletnią, ale w istocie była starsza, przekroczyła już trzydziestkę. Należała jednak do kobiet, których wiek nie zaznaczył swym surowym piętnem. Ludzie byli ciekawi, ile lat ma naprawdę, wszystkich jednak czarował urok jej młodości. Znający ją od dawna nie przestawali się zdumiewać, że nie zmieniała się latami. Niepospolita uroda, dziwnie kojarząca się z zaletami jej ducha, promieniowała jak zjawisko, jakby z samej już natury czerpiące swą niezniszczalność. Nietrudno było zrozumieć, że obdarzyć może szczęściem, wszyscy jednak wątpili, czy posiada je sama.

Sycąc się widokiem, ruszyła się nagle, jakby odrzucając jakąś myśl która zakłóciła jej uwagę. To szczególne napięcie zdwoiło jeszcze uroki który promieniował z jej twarzy.

Malowniczy krajobraz, który roztaczał się przed nią — krajobraz angielski — mógł w angielskim tylko sercu obudzić ów zachwyty. Widziała już za granicą bogatsze i barwniejsze zatoki i wybrzeża, ale żadne do tej pory nie przemówiło do jej duszy, żadne nie zdołało jej podobnie oczarować.

Tylko Anglia może dać, czego zazwyczaj tak skąpi: ową ekstazę i entuzjazm budzącej się wiosny.

Marcja Templeton, wyciągnięta wśród paproci, pławiąca się w słońcu całym swym ciałem, chłonęła w tej chwili to bezcenne piękno.

Ale nagle dźwignęła się z miejsca. Pomyślała o dziecku. Chwyciła się rękoma cypla skały i klękawszy na murawie, rozejrzała się dokoła. Na bladej twarzy odbiło się wyraźnie poczucie winy.

Nie widząc niczego, prócz smug słońca, które ścieliło się przed nią krzyknęła głośno:

— Goldie, Goldie! Gdzie jesteś, Goldie?...

Nikt się nie odezwał. Usłyszała tylko wrzaski mew, które przeciągały nad morzem.

Marcja westchnęła.

— Co za niedobre dziecko! Nigdy mnie nie słucha.

Wstała i odgarniając paprocie, rozejrzała się ponownie. Ogarnęła oczyma stoki i torfowisko.

Nie dostrzegłszy nikogo, zdecydowała się ruszyć i zejść ku wybrzeżu. W oczach jej jeszcze nie przygasł wyraz zachwyty.

Droga nie przedstawiała się łatwo i ponętnie. Była pełna wyboi i odłamków skał, od tyłu nadciągał gwałtowny wiatr. Ale niebo było czyste, morze szumiało miarowo i spokojnie, nic nie zapowiadało zbliżającej się burzy. Wybrzeże połyskiwało blaskami szafiru.

Stała po chwili na wąskiej ścieżce i przyspieszywszy kroku, podążyła przed siebie. Poruszała się zwinnie, lekko, z gracją i urokiem nieomal dziewczęcym. Nuciała przy tym lekko, ciągle jeszcze przejęta widokiem natury.

Poszła jeszcze dalej, aż do wyłomu pośród skał, skąd stromo i spadziście schodziło się stokiem, który biegł do plaży.

Właśnie w tym

miejscu wyłoniła się nagle postać dziewczynki. Odnosiło się wrażenie, że zeskoczyła przed chwilą z cypla skalnego. Na widok Marcji podbiegła szybko.

— Mamusiu! — krzyknęła — wiesz, co się stało? Znaleźliśmy właśnie gniazdo mewie, ja i Dennis. Dennis się wdrapał, bo chciał zajrzeć do gniazda, teraz jednak utknął i nie może się wydostać. Nie wiem, co on robi.

Marcja wydała okrzyk przerażenia.

— I cóż teraz będzie — krzyknęła nieprzytomnie. — To zawsze się tak kończy, gdy nie słucha się matki.

Goldie nie zdawała się być przejęta wypadkiem. Cechował ją optymizm beztroskich trzynastolatek.

— Nic mu nie zagraża — ozwała się po chwili — jest zupełnie bezpieczny. Nie może nawet upaść, jeśli będzie się trzymał. Gdy był już na górze, skruszył się nagle kawałek skały i nie ma teraz po czym ześlizgnąć się na dół.

— Pokaż mi to miejsce — zawołała Marcja.

— Nie wiem, mamusiu, czy zobaczysz je z daleka. Ono zanadto jest wzniesione. A zejść teraz nie możemy, gdyż zbliża się przyptyw. Zostańmy tu lepiej, aż ktoś tędy przejdzie i poprosimy o pomoc.

— To niemożliwe, moje dziecko — odparła Marcja. — Musimy przecież wiedzieć, gdzie Dennis się znajduje.

— Więc spróbujmy, mamusiu, może ja go zobaczę. Jeśli podtrzymasz mnie trochę, abym mogła się przechylić, to bardzo możliwe, że go znajdę za chwilę.

Poczęła przemyśliwać nad wykonaniem planu, z małym jednak sukcesem, gdyż Marcja nie przychyliła się do propozycji córki.

— Przecież mogłabyś mnie podtrzymać — żaliło się dziecko. — Gdybyśmy poszły nieco dalej, to ani tobie, ani mnie nie groziłoby niebezpieczeństwo.

Ale Marcja była głucha na te wszystkie perswazje. Nie dała się przekonać.

— Nie możemy tak ryzykować — odparła stanowczo. — Sama zejdę i może go zobaczę przez jakąś szczelinę.

— Nie zobaczysz go, mamusiu — zaperzyła się Goldie. — Ja już także to próbowałam i nie mogłam go zobaczyć.

Marcja zdecydowała się wykonać swój zamiar. Wróciła więc do wylomu, który widniał pod skałami, i skierowała się na ścieżkę, wiodącą ku dołowi. Droga w tym miejscu była trudna, wyboista, miejscami zaś stroma.

Ale Goldie miała rację. Ścieżka prowadziła w przeciwnym kierunku i niczego nie odsłoniła oprócz kłębiących się fal i stada mew, które pociągnęły ku skałom. Marcja po chwili powróciła na wzgórze.

— Musimy iść do wsi i zażądać pomocy — zauważyła Goldie. — Jestem jednak pewna, że Dennis sobie poradzi, gdy przyplów przeminie.

Po chwili dodała:

— Jest tu pewna farma niedaleko, tam jest bliżej niż do wsi. Może znajdą się tam ludzie, którzy udzielą nam pomocy!

Marcja z niepokojem rozejrzała się dokoła.

— To za długo może potrwać, zanim przyplów się skończy. Ale po cóż on tam poszedł, po co on to zrobił?

— Przecież mówiłam już mamusi — ozwała się Goldie. — Po gniazdo mewie. Ja również z nim poszłam, ale nie potrafiłam się wdrapać tak strasznie wysoko. Pokazałabym mamusi, gdzie to miejsce się znajduje. Poniżej tego cypla, który sterczy u skały. Ale oto ktoś nadchodzi z tamtej farmy. Jakiś młody mężczyzna. Czy mam go przywołać?

Marcja odwróciła się z uczuciem ulgi.

— Mógłby może pomóc — odezwała się po chwili. — Ale lepiej chyba będzie, gdy udamy się od razu do strażnika wybrzeża. Czekaj jeszcze, Goldie. To przecież chłopak zaledwie. On nie nadaje się do tego.

— To nie chłopak, mamusiu — oświadczyła Goldie. Oczy jej spoczęły na zbliżającej się postaci. — To dorastający już mężczyzna, przecież znać to po nim. Czy mam gwizdnąć?... No, powiedz, mamusiu.

Zanim Marcja coś odrzekła albo zdołała ją powstrzymać, Goldie zwinęła palec przy ustach i wydała gwizd, który zabrzmiał przeraźliwie, niczym odgłos syreny. Wyuczyła się tej sztuczki już tu, na wybrzeżu, i dumna była z tego, że ją tak łatwo pojęła.

— To skieruje go do nas — zawołała z satysfakcją, wymachując rękoma, by ją łatwiej zobaczył. Młodzieniec tymczasem dostrzegł ją istotnie i zrozumiałwszy o co chodzi, odkrzyknął coś głośno i począł biec.

Matka stanęła zupełnie bezradna. Metody Goldie zawsze sprawiały jej wiele kłopotu, przyznać jednak trzeba, że nigdy do tej pory nie miały się z celem. Podeszła w tej chwili nieco bliżej do Marcji, a na twarzy jej tak samo rysowało się zmieszanie.

Młodzieniec podbiegł, zaś Goldie widziała go coraz wyraźniej. Był to młody, silny, barczysty Kornwalijszyk. Wyglądał najwyżej na lat osiemnaście, biegł zaś lekko, jak wyćwiczony atleta. Gdy przystanął na miejscu, nie okazywał na zewnątrz najmniejszego zmęczenia. Kapelusza nie nosił, włosy miał wilgotne i wijące się w loki. Gdy podniósł swą rękę na znak powitania, na ogorzałej jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Czym mogę służyć? — zapytał uprzejmie.

Zwrócił się do Marcji, ale Goldie wyprzedziła ją i ozwała się pierwsza.

— Musi pan nam pomóc — odrzekła rezolutnie. — Dlatego pana przywołałam. Otóż brat mój utkwił pośrodku tej skały i nie może się wydostać. Wdrapał się na górę za gniazdem mewim, pomyśl pan tylko, za gniazdem mewim. A teraz tam zawisnął i nie może zejść.

— Pan nie potrafi nam pomóc — wtrąciła Marcja. — Ale może pan kogoś zna, kto by pośpieszył mu na ratunek?

— Sądzę, że potrafię — ozwał się młodzieniec, spoglądając na Marcję z wyraźnym zakłopotaniem. — Znam nasze skały, już nieraz w nich błądziłem. Gdzie on jednak utkwił? Proszę wskazać mi miejsce, a już ściągnę go stamtąd. Goldie bez namysłu objęła przewodnictwo. Przypisywała sobie w tej chwili najodpowiedzialniejszą z ról, jaka przypadała jej w życiu. Dumnie i rezolutnie poprowadziła go ścieżką ku krańcowi skały.

— Widzi pan ten cypel, który odstaje od skały? Otóż on jest gdzieś niżej, może pośrodku tej wysokości. Bardzo wątpię, czy pan dostanie się teraz do niego. Tyle tylko wiem, że nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Upadłby tylko wtedy, gdyby popełnił jakieś głupstwo.

— Widzę — rzekł młodzieniec.

Spojrzał na Marcję i znowu się uśmiechnął, lecz zaraz spoważniał.

— Proszę się nie trapić — ozwał się po chwili. — Sądzę, że go wydobędę. Skała ma progi i liczne wykusze, to nie jest takie trudne, jak wydaje się z pozoru. Spróbuję w każdym razie, zrobię co mogę.

— Tylko niech pan nie ryzykuje — zaniepokoiła się Marcja. — Może lepiej będzie skierować się do strażnika?

— Ależ nie — rzekł młodzieniec uśmiechając się odważnie. — Naprzód zobaczą jeszcze. Tylko proszę mnie nie śledzić. Takie rzeczy tylko z daleka wydają się groźne. Niezliczone już razy wspinałem się po skałach, znam je doskonale, więc obawy są płonne. Zaraz wrócę zresztą, jeśli nie zdołam go osiągnąć.

Odszedł i skierował się do wyłomu, albowiem w ogóle straciły go z oczu. Marcja i Goldie pozostały na miejscu.

— Przypuszczam, że on to robi — ozwała się Goldie. — Może usiadzimy na chwilę i zaczekamy, aż wróci?

Marcja, zafrasowana, potrząsnęła głową.

— Możesz usiąść, jeśli chcesz. Obawiam się, aby chłopak nie uległ wypadkowi. Żałuję, że pozwoliłam mu odejść.

Goldie zdziwiła się, że matka tak mówi.

— Ależ czemu, mamusiu? — spytała po chwili. — Niepotrzebnie się martwisz i psujesz sobie nerwy. Dennis tak samo da sobie radę, on nie jest już dzieckiem.

Na twarzy Marcji zabłąkał się uśmiech.

— To prawda, moje dziecko, chłopak czternastoletni jest już na tyle samodzielny, że nie potrzeba mu opieki. Ale co by powiedział tatuś, gdyby usłyszał o tym wszystkim?

— Nie zdziwiłby się bardzo — odrzekła Goldie. — Ukaralby go może, gdyby to uznał za stosowne, ale wątpię zresztą, czy by to zrobił naprawdę. Tatuś nie interesuje się naszymi sprawami. Prawda, mamusiu?

Marcja zamyśliła się, po chwili zaś rzekła:

— On ma inne sprawy, którym poświęca swe myśli. Dziewczynka po tych słowach zaśmiała się złośliwie.

— Jesteś dobra, mamusiu — zauważyła z naciskiem.

Marcja ponownie potrząsnęła głową. Uwaga Goldie ubodła jej ambicję.

— Widzisz, moje dziecko — odezwała się po chwili, czując że przemawia niezgodnie z przekonaniem — to nie tatusia obowiązek zajmować się dziećmi.

— Naturalnie — rzekła Goldie, cokolwiek urażona. — Odczuł to widocznie, że i my tak samo nie troszczymy się o niego. O to mu chodzi.

Ale gdzie jest nasz młodzieniec, czemu się tak guzdrze? Chciałabym się dowiedzieć, jak się nazywa. Nie zapomnij go o to spytać, gdy powróci tu do nas.

— Może on także tam utknął? — zaniepokoiła się Marcja. Goldie natychmiast podjęła ten temat.

— Niemożliwe — ozwała się z niezachwianą wiarą. — Przecież sam nam to powiedział, że orientuje się doskonale. Zobaczysz, mamusi, że za chwilę tu wróci, i to razem z Dennisem.

Ale upłynął jeszcze kwadrans od tej chwili, niecierpliwość Marcji już urosła do niepokoju, gdy nagle ozwały się radosne okrzyki, a od strony skały zamajaczyły w oddali jakieś dwie postacie.

— Wracają! — wykrzyknęła matka z radością.

Goldie powitała ich donośnym okrzykiem i wybiegła naprzeciw.

— Czy znalazłeś jakieś jaja? — zawołała z oddali. — Nie? Nie znalazłeś? Wstydz się, ciamajdo, ofiara z ciebie.

Dennis tymczasem wysunął się naprzód, przyśpieszył kroku, a gdy zetknął się z siostrą, chwycił ją nagle i ułożył przemocą plecami na ziemi. Odbiegł potem dalej, powierzając ją opiece nieco bardziej ugrzecz-nionego a nieznanego mu towarzysza.

Syn pani Marcji był smukłym, przystojnym, ciemnowłosym młodzieńcem, miał czternaście lat, ale wyglądał na więcej. Gdy zbliżył się do matki, powitał ją okrzykiem wyniosłej poufałości:

— Halo, staruszeko, czy bardzo się zmartwiłaś? Ale nie zarzucisz nam chyba, że daliśmy ci czekać? To heca dopiero! Człowiek wdrapał się na skałę, a zejść nie mógł! Morowy z niego chłop, podoba mi się nawet. Czy wiesz, co to za jeden i jak się nazywa?

— Pamiętaj, by taka rzecz nie powtórzyła się więcej — zaprotestowała Marcja. — Gdyby ojciec o tym wiedział...

Dennis powstrzymał potok jej słów:

— Nie ma o czym mówić, nic się nie stało. Spełniłaś swój obowiązek i nie troszcz się o resztę. Chodźmy teraz dalej, nacieszmy się pogodą!

Dzieci Marcji odnosiły się do matki zawsze podobnie. Nie ukrywały przed jej okiem swych kaprysów i wybryków, nie pozwalały jej jednakże wyrażać krytyki. Ilekroć je złażała, natychmiast ją uciszano, Marcja zaś bezradnie poddawała się przewadze. Wychowały się przed laty, zupełnie pozbawione matczynej opieki. Było to w czasie wojny i tylko sobie

mogła przypisać te smutne konsekwencje. Gdyby zależało jej na dzieciach, nie byłaby ich opuściła ani zostawiła losowi. Ogarnął ją jednak entuzjazm patriotyczny i tylko ten jeden wzgląd mógł jej służyć jako usprawiedliwienie. W ciągu pięciu lat, które odłączyły ją od rodziny, straciła nawet poczucie swej własnej osobowości. Zmieniła się tak samo, jak zmienia się człowiek, który zawsze siedział w domu i odbył jakąś odległą podróż za granicę. Wojna rozszerzyła jej widnokrąg, pogłębiła jej umysł, stworzyła z niej istotę, w niczym niepodobną do dawnej. Było więc nieuniknione, że nabyte stąd zyski domagały się ofiar. Ujawniło się to głównie w stosunku do dzieci. Po jej powrocie do domu okazało się bowiem, że dzieci już nie potrzebują dalszej opieki. Rozwinęły się tymczasem, zupełnie niezależnie od jej wpływów i myśli, i nie uznawały już w matce jej istotnego znaczenia.

Wysłanie ich z domu nie było jednak rzeczą zaplanowaną przez Marcję. Zdecydował o tym ojciec. Wysłał je do Devon, cichego zakątka, zamkniętego dla świata i odgłosów wojny, ona zaś zgodziła się, nie przeczuwając początkowo, jak ogromnie będzie cierpieć bez kontaktu z domem. Dzieci więc umieszczono w jakiejś szkółce w Devon, Marcja zaś wyruszyła w chaos i piekło pożogi światowej. Pewną jest rzeczą, że niewiele kobiet (takich jak Marcja) potrafiłoby wytrwać w powziętym postanowieniu. Ale Marcja nie żałowała swych trudów i poświęceń: współdział jej w wojnie ukształtował się zupełnie według jej życzeń. Pozostawała tylko myśl o poniesionej ofierze. A ofiara była ciężka, kosztowała ją dużo.

Małżonek jej, Everard Templeton, uniezależnił się zupełnie od wpływów swej żony. Marcja pamiętała jednak, że jeszcze przed wojną nie okazywał jej nigdy zbytniego zainteresowania. Pozbawiona towarzystwa, całą duszę zwróciła ku dzieciom. Była w tych latach najmilszą ich towarzyszką, teraz zaś traktowały ją zaledwie jak gościa, którego ingerencja w ich sprawy była ściśle ograniczona. Odnosiło się to zwłaszcza do Goldie — Dory (tak ją bowiem ochrzczono), którą skrupulatny jej ojciec zawsze tak nazywał, jak zapisano w metryce. Dorastająca ta dziewczyna, jakkolwiek szczerza z pozoru, była skryta i nieufna w swym stosunku do matki. Marcja ją kochała, nie mogła jednak ukryć, że nie czuła się dobrze w towarzystwie swej córki.

Zdawało się jej wówczas, że jest stara i przeżyta i była zupełnie tego świadoma, iż nie przekroczy tej bariery, która odgradzała ją od niej. Zainteresowania Goldie tak bardzo się różniły od upodobań jej matki, że mowy nie było o tym, aby wtajemniczać w nie matkę i liczyć na jej zrozumienie.

Inaczej przedstawiała się sprawa z Dennisem. Ten ją traktował jak towarzysza lub kolegę, ale cokolwiek za wyniośle, jakby uważał się za wyższego. Gdy rozmawiała z nim nieraz, odnosiła wrażenie, że za mało jeszcze umie i że musi się doksztalić. Nie potępiał wyraźnie ignorancji matki, ale nie mógł też udawać, że jej nie zauważa. Lata Marcji, spędzone w szpitalach, na czuwaniu przy chorych, nie rozszerzyły jej wiedzy w stosunku do oczekiwań kształcącego się młodzieńca. Myślała nieraz o tym, czy nie ominęły jej dobre i przyjemne strony życia, groza w której żyła, wymagała bowiem ofiar. I wtedy żal jej się robiło zmarnowanej młodości, której radość i beztroska jeszcze ciągle ją wabiły swym kuszącym blaskiem. Mąż jej był o dziesięć lat starszy, zrezygnowała już z myśli dotrzymywania mu kroku. Dla niego była za młoda, dla dzieci — tak sądziła — stanowczo za stara. Westchnęła głęboko, na pół pogodnie, na pół z rozżaleniem, i zdała się z rezygnacją na los.

Marcja

— Na imię mi Peter — rzekł skromnie młodzieniec. — To doprawdy drobnostka, nie warto o niej mówić. Bardzo jestem rad, że mogłem się przysłużyć. Ale to nic nadzwyczajnego, nie zmęczyłem się nawet.

Zachował jeszcze nieśmiałość, którą okazał przy poznaniu, ale nie raziła już obecnie, gdyż czuł się swobodniej.

Podobał się Marcji, był sympatyczny. Lubiła jego szczerość, którą objawiał w zachowaniu i jego sposób mówienia.

Widząc, że go krępują jej zapewnienia wdzięczności, nie posuwała ich teraz nazbyt daleko.

Goldie i Dennis zdawali się nie dostrzegać, że należy mu się wdzięczność.

— Udało się to panu — ozwał się Dennis, mierząc go wyniośle.

— Gdyby nie pańska pomoc, byłby przepadł mi obiad. Przekłęte skały! Nawet one wymagają rutyny i znajomości.

Ale ubrudziłem się, mamó! A to ostatnia para mych letnich bryczesów.

Marcja się strapiała.

— Więc do końca tygodnia będziesz chodził teraz brudny.

— Może sam je sobie wyprać — ozwała się Goldie, lubiąca po kobiecemu narzucać się z dyscypliną. — Ma pan inne jeszcze imię?

— zwróciła się bezpośrednio do nowego przyjaciela. — Czy też milej panu słuchać, gdy się mówi mu: „Peter”?

Młodzieniec uśmiechnął się. Marcja zauważyła, że nieśmiałość jego ustępuje, gdy nie krępują go ceremonie.

— O, tak — odpowiedział — mam drugie jeszcze imię. Ale Peter mi wystarczy, nie wołano mnie inaczej.

— Czy mieszka pan tu stale? — spytała go Goldie. — Czy też przebywa tu czasowo?

Wskazał na farmę, która ukrywała się głęboko wśród skał nadbrzeżnych.

— Mieszkam tu czasowo, ale przebywałem niedaleko. Nawet urodziłem się w pobliżu. Miałem zatem czas zapoznać się ze skałami.

— Pan pracuje pewnie w farmie? — zapytała go Goldie. Zawsze bowiem lubiła mieć ścisłe informacje o zawartych znajomościach.

— Nie nudź tak pana — przerwała jej Marcja. — To nieładnie kogoś męczyć zbędnymi pytaniami.

— Pragnę jednak wiedzieć — zaperzyła się Goldie.

Peter się uśmiechnął. Ponieważ ubranie miał liche, sporządzone z samodiała, wnioski Goldie nie były zapewne pozbawione podstawy; Marcja jednakowoż kierowała się intuicją, która jej na ogół nie zawodziła.

Peter, mimo wszystko, okazał gotowość do udzielenia informacji. Spojrzał na Goldie i rzekł bez wahania:

— Nie pracuję tam wprawdzie jako zwyczajny robotnik, ale zajmowałem się ostatnio gospodarstwem. Obecnie mam inne zadania. Zdaje mi się, że korzystniejsze.

— Czy nie będzie pan może wyjeżdżał na targi? — spytała Goldie. Marcja po tych słowach użyła swej powagi z wyraźniejszą stanowczością. Zwróciła się do córki całkiem zdecydowanie:

— Czas już na obiad, za długo tu stoimy. Bardzo Panu dziękuję — skinęła do Piotra, podając mu rękę. — Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna. Miejmy jednak nadzieję, że spotkamy się jeszcze. Chodźcie, dzieci, musimy już odejść.

Ale Goldie tak samo chciała podać mu rękę. Zatrzymała się zatem, mimo -odejścia matki, usiłując z nim ustalić najbliższe spotkanie. Nie osiągnęła jednak wiele i odeszła strapiona.

Gdy dopędziła potem matkę, nie mogła się poszczycić odniesionym sukcesem. Rzekła więc niedbale:

— Powiada, że oczekuje przyjazdu kuzyna i dlatego nie może podać pory spotkania. Czy nie jest to głupie? Nie lubię, gdy taki smarkacz udaje mężczyznę.

Marcja nie wyraziła opinii w tej sprawie. Po chwili jednak rzekła:

— Za wiele lubisz mówić i narażasz mnie na kłopoty. Czy nie uważasz, że to jest brzydkie, gdy wobec obcych okazuje się za wiele swobody? Trzeba zachować przecież umiar, jakiś pozór wychowania.

Goldie nie przyjęła życzliwie tej uwagi. Rzuciła tylko okiem na towarzyszącego jej brata i po chwili się zaśmiała.

— Nie znasz się na tym — odrzekła pobłaźliwie. — Gdyby tobie pozostawiono prowadzenie rozmowy, nie potrafiłabyś ani słowa z siebie wykrztusić.

Matka przemilczała tę szorstką uwagę, dobrze rozumiejąc, że wszelki jej protest okazałby się bezowocny. Musiała przełykać te gorzkie pigułki podawane jej przez dzieci, jeśli zależało jej na tym, by utrzymać z nimi łączność.

Poróżnić się z Goldie, znaczyłoby tyle, co utracić jej zaufanie. Porzuciła ten temat, nie poddając go dyskusji. Płocha zaś Goldie, nieświadoma nawet krzywdy, którą wyrządziła swej matce, objęła ją teraz przymilnie ramieniem.

— Piotr mi się podoba — zauważyła po chwili. — Spodziewam się, że wkrótce usłyszymy jeszcze o nim.

— Muszę go zaprosić na gniazda mewie — odezwał się Dennis, w którym nurtowała jeszcze złość na docinki Goldie.

Marcja po tych słowach jeszcze raz się zdobyła na stanowcze wystąpienie.

— Jeśli odważysz się to zrobić — zauważyła surowo — napiszę do ojca i przerwiemy te niesforne wywczasy.

Spojrzał na matkę oczyma zdumienia, ta jednak odpowiedziała mu wzrokiem tak twardym i nieubłaganie zdecydowanym, że uznał za stosowne nie roztrząsać tematu; Goldie tymczasem zanosila się od śmiechu.

Po chwili przemówił:

— No, nie pójdę już, mam, jeśli sprawia ci to przykrość, przyrzekam, że nie pójdę. Ale człowiek się nudzi, chciałby coś robić, a ginie tu po prostu z braku rozrywki. No i cóż, mamusiu? Nie przyznasz mi racji?

Marcja zmiękła. Miała dziwny dar patrzenia na sprawy oczyma drugich i umiała się wczuwać w gorączkę młodości. Dzieci jej, poza tym, znajdowały się na rekonwalescencji po przebytej odrze i trudno było, po długim, przymusowym więzieniu ich w domu, odmówić im obecnie odrobiny swobody.

Ułożyła rękę na ramieniu chłopca i po chwili rzekła:

— Chodzi tylko o to, abyś unikał niebezpieczeństw. Sam przecież widzisz, że odpowiadam za ciebie, a niewiele już brakowało, abym nie mogła ci dopomóc w dzisiejszej opresji.

Chłopiec przytulił się do ręki matki.

— Masz rację, mamo, ale nie martw się więcej. Jeszcze raz ci przysięgam, że nie zrobię już tego.

Spojrzał jej w oczy śmiało i zdecydowanie i sprawa w ten sposób została umorzona.

Nie zapomniano jednakże o udziale Piotra w tej osobliwej przygodzie. Dyskutowano na ten temat przez cały obiad, ale zdania były różne: częściowo przychylne, częściowo agresywne. Dennis twierdził, że Piotr jest „czymś lepszym”, Goldie protestowała, upierając się przy twierdzeniu, że jest raczej prostakiem.

Spór ostatecznie załagodziła matka, wysuwając przypuszczenie, że Piotr jest zapewne lepszego urodzenia, ale za mało wykształcony, co Goldie przyjęła okrzykiem uznania, jakkolwiek Dennis nie podzielał tej opinii. Znał bowiem kolegów wyższych klas, którzy ani w połowie nie okazywali tak wielkiej ogłady, jaką Piotr objawił już przy pierwszym spotkaniu. Dla niego było niewątpliwe, że Piotr jest dżentelmenem, a Goldie niech myśli, jak się jej podoba.

Wszczęto na ten temat jeszcze drugą dyskusję, gdyż Goldie nie dawała się tak łatwo przekonać, spór więc przeciągał się i trwałby jeszcze dłużej, gdyby obiad tymczasem nie dobiegł końca, po czym dzieci z matką jeszcze raz się udały na spacer.

Ale pogoda tymczasem uległa zmianie, zaczęła się psuć. Marcja przeczuwała to. Po upływie godziny niebo pokryło się gęstymi chmurami, a od północnego wschodu zerwał się wiatr, który zmusił ich wkrótce do powrotu do domu.

Dzieci posmutniały, zaczęły narzekać, ale w takich właśnie chwilach Marcja odczuwała, że była im potrzebna.

Aby dostarczyć im rozrywki, wyjęła karty i zasiadła również do ich dziecięcej gry.

Czas upływał jej wolno i bezbarwnie, nie podzielała bowiem ich pasji do gry, a gdyby mogła je zostawić, byłaby chętnie udała się w kierunku torfowiska, nie zważając na wiatr i nieodpowiednią pogodę. Ale musiała

pozostać. Dzieci uważały ją za nieodzowną uczestniczkę ich domowych rozrywek. Marcja ubolewała, że nudzi ją ta rola, o czym żadne z jej latorośli nie miało pojęcia. Przeciwnie. Goldie i Dennis byli zupełnie tego pewni, że nie mogą jej sprawić większej przyjemności, a nawet poczytywali to sobie za pewną zasługę, jeśli nie pozwolili jej się nudzić i zapraszali ją do udziału. Fakt, że bez niej zabawa by utknęła, nie brany był przeważnie pod niczyją rozwagę. Bo czyż nie była tu z nimi, aby dotrzymywać im towarzystwa? Wszakże była ich matką i — zdaniem jej dzieci — nie mogła nawet marzyć o odpowiedniejszym zajęciu.

Gdyby były ją widziały nieco później, o zmierzchu, gdy ułożywszy je do łóżek wybiegła z domu, nie zważając na zimno i zapadający już wieczór, dziwiłyby się zapewne jej odwadze i energii. Zawsze sobie wyobrażały, że książka przy kominku jest jedyną rzeczą, jaka nadaje się dla matek przed udaniem się na spoczynek.

Ale i sama Marcja stanęła przed zagadką. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co ją gnało. Niepokój, który ją ogarnął, był zapewne czymś więcej niż zwyczajnym zdenerwowaniem. Odczuwała go jako bunt, jako protest przeciw życiu. A przecież dobrowolnie zgodziła się na wyjazd z dziećmi i zawsze do tej pory czuła się zadowolona. Dopiero jasność poranka wytrąciła ją z równowagi. Nie potrafiła już zapanować nad nerwami, które trawiły jej duszę. Ogarnęła ją tęsknota, ale zdawała sobie sprawę, że przedmiot tej tęsknoty był dla niej niedosiężny. „Pragnę jeszcze żyć!” — myślała rozpaczliwie. — „Czy to możliwe, o Boże? Tylko raz w swym życiu odczuwałam, że żyję”.

Małżeństwo i macierzyństwo podnieciło jej umysł i wywołało w nim pragnienia, o których z góry wiedziała, że nie spełnią się nigdy. Pamięta jeszcze dzień, w którym urodził się Dennis. Everard, jej mąż, zjawił się wtedy i złożył jej życzenia. Przyszedł jej powinszować! To było wszystko, na tym się skończyło. Był zajęty w tym okresie — pochłonięty po prostu — jakąś sądową sprawą, która do ostatnich granic wyczerpywała jego umysł. Poświęcił tej pracy, co się dało poświęcić, całą swą istotę i władzę swego ducha, i zwyciężył ostatecznie, odniósł nawet sukces, ale walka, którą stoczył, przerosła jego siły. Urodziny jego syna były w chaosie, który go pochłaniał, tylko drobnym epizodem, jakimś niepozornym wypadkiem, nie różniącym się niczym od wypadków codziennych.

Pamięta, jak powiedział: „Teraz będziesz szczęśliwa” (jakby ten dzieciak, który się urodził mógł całkiem zaspokoić jej tęsknotę za uczuciem) i jak zaśmiała się na to, uważając jego słowa za mimowolne szyderstwo. „Teraz będziesz szczęśliwa”. Te słowa jeszcze długo pamiętała, aż przysła wreszcie wojna i wszystko się odmieniło. Rozmyślała także o swych latach młodości. Czuła się wtedy szczęśliwsza niż obecnie, ale szczęśliwa — przedwcześnie. Jeszcze dziś sobie przypomina, jak zabiło jej serce i zapłonęło nadzieją, jak nagle ogarnął ją poryw zachwyty, gdy spokojny, opanowany, obecny jej mąż, który wówczas się przedstawiał jak wyśniony jej rycerz, zjawił się przed nią i wyznał jej miłość. Odczuła to wtedy, jakby na drodze jej życia nagle otwarły się złocone wrota. Narzeczeństwo było krótkie, ale pokochała narzeczonego może właśnie dlatego, że tak mało jej powiedział, że był tajemniczy. Stał się dla niej wszystkim, całym jej światem i z rozkoszą oddawała się myślom o przyszłości. Kiedy ją uważał za najszczęśliwszą z kobiet, zazdrozczono jej po prostu tak niezwykłego człowieka. Składano jej życzenia, ludzie garnęli się całymi procesjami, aż w końcu, otoczona aureolą swego szczęścia, stanęła przed ołtarzem w kościele św. Jerzego, gdzie odbył się ślub. Szczęśliwa? To za słabe było określenie — niewysłowienie szczęśliwa! Wszyscy tak twierdzili, orzekli to jednogłośnie. A wielu z pośród ludzi wierzyło w to jeszcze teraz. Nic w tym dziwnego. Zanadto była dumna, by nie ukrywać tej komedii, a małżeństwo jej istotnie okazało się farsą. Sen jej o szczęściu uleciał od razu na stopniach ołtarza. Gdy myślała teraz o tym, nie mogła tego pojąć, że się dała tak zwieść. Najtragiczniejsze jednak było, że mąż nawet nie przypuszczał, jak strasznie ją zawiódł. Nie dostrzegał jej rozpacz i bolesnego przygnębienia, nie zapytał zawet o nie, był zimny, obojętny, nieczuły na jej przeżycia. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień urastała zaporą, która dzieliła ich od siebie; usiłowała ją wprowadzić początkowo przełamać — walczyła o to rozpaczliwie — ale gdy wszelki jej trud okazał się bezowocny, zrezygnowała z wysiłków nie wiodących do celu, lecz nie ogarnęła ostatecznie natury swego męża. Przyznać mu należy, że odczuł początkowo jej żywe niezadowolenie. Ale nie przejął się nim zbytnio, zostawił ją w spokoju. Zjawił się dopiero, gdy urodziła mu syna i złożył jej życzenia. Nie zdawał sobie sprawy, że młoda kobieta o instynktach naturalnych, może czegoś więcej pragnąć, niż

uprzejmego małżonka i zdrowego syna. Lubił ją jednak, była tego pewna. Gdyby objawiała kaprysy, tolerowałby je nawet. Czegokolwiek zażądała w znaczeniu materialnym, było chętnie i usłużnie natychmiast spełnione. A żądała sporo, nie stawiała sobie granic. Mimo depresji i przygnębienia, lubiła się stroić i imponować wyglądem. Urodziny córki przywróciły jej czasowo utraconą równowagę. Spodziewała się wówczas, że to drugie ogniwo, łączące ją z mężem, pogłębi jego przyjaźń i zbliży go do niej. Ale nadzieje, jak dotąd, okazały się płonne. Uważał swoje dzieci za przedmiot rozrywki i nie poświęcał im poza tym spodziewanej czułości. Ale Marcja i obecnie nie traciła nadziei. Myślała nieraz o tym, że gdy syn podrośnie, może łatwiej obudzi zainteresowanie ojca. Ale i to ją zawiodło. Everard Templeton nie myślał o niczym, prócz własnej kariery. Nie było takiej siły, która poskromiłaby te ambicje. Marcja mogła rodzić, mieć dzieci ile chciała, stale był gotów łożyć na ich wychowanie i odpowiednio je wykształcić; nie miał jednak czasu, by obdarzyć je ciepłem, lub poświęcać im serce. Gdy raz oświadczyła, że nie pragnie dalszego powiększania rodziny, przyjął to obojętnie, bez słowa protestu. Dał jej bowiem wszystko — więcej niż wszystko — czego mogła zażądać przeciętna kobieta, obecnie zaś, jak zawsze, pozostawił jej swobodę w przeprowadzeniu postanowień.

Współzycie więc trwało i nie uległo rozluźnieniu, gdyż nigdy właściwie nie było zacieśnione. Marcja nadal kierowała domem, zaś Templeton był dumny, gdy pojawiała się w towarzystwie, imponując jak dawniej swym blaskiem i urodą — tymi dwiema zaletami, które i jego przed laty ujęły i zmogły. Była żoną, której potrzebował — jak stworzoną dla niego. Ulegała mu we wszystkim, spełniała jego wolę, obecnie zaś, po latach, gdy przeminął już zapał i gorączka młodości, był szczerze przekonany, że się czuje szczęśliwa. Dostosowała się z czasem do trudnych okoliczności, uważając się za żonę, której mąż ma maniery, ale nigdy nie ma czasu i nie domagała się już teraz jego względów i uczucia. Wypełniała swój czas zadaniami społecznymi, nie zaniedbując jednocześnie obowiązków macierzyńskich, i to mu wszystko wystarczało, więcej nie żądał.

Gdy wybuchła jednak wojna i cała niemal Europa stanęła w pożodze, Marcja niespodzianie i ku zdumieniu męża zerwała więzy, łączące ją z domem. Nie powstrzymała jej nawet pamięć o dzieciach. Wydała się

sobie niepotrzebną dla męża, nie mogła nawet myśleć, że po tym wszystkim, co objawił, odczuje jej brak. Zaciągnęła się od razu do służby szpitalnej, przyjmując obowiązki, które wyparły go na razie z udziału w jej życiu. Podziwiał tę ofiarność i gotowość do poświęceń, ale dopatrywał się w tym wszystkim jakby przekory czy uporę — owych śladów gwałtowności, z którymi borykał się już niegdyś u zarania małżeństwa. Ale nie utrudniał jej zadania, nie stawiał jej przeszkód. Osobiście jednakże, jakkolwiek zawsze był chętny do usług dla kraju, strzeżony formułą niezbędności w pracy uchronił się od udziału w wojennej zawierusze i po objęciu kierownictwa w departamencie ministerstwa, jeszcze usilniej poświęcił się myślom o karierze.

Nikt o tym nie wie, z jak wielką ofiarnością pracował w tych latach. Z Marcją spotykał się przygodnie i rzadko, a z krótkich tych spotkań ani jedno, ani drugie nie czuło się zadowolone. Były zimne, obojętne, raziły obcością. I ona i on wyczerpali się zupełnie, w umęczonych ich głowach nie było już miejsca na myślenie o sobie. Nawet zdolność odczuwania uległa stopieniu, a jeśli w obejściu Templetona może zaznaczył się gdzieś jakiś odcień tęsknoty, to Marcja na pewno nie zdołała go dostrzec. Po raz pierwszy w swym życiu oddała się bezwzględnie ofiarnej służbie i po raz pierwszy odczuła, że coś znaczy dla ludzi, że umięją ją ocenić. O Everardzie nie myślała, przestał dla niej istnieć w tym ciężkim okresie. Była zupełnie tego pewna, że zajęty jest nadal własnymi sprawami, a o tym, że mógł odczuwać jej nieobecność w domu, albo trapił się myślą, że jego żona się przemęcza — o tym nawet nie marzyła, to nie wpadło jej do głowy. Spotykali się i rozchodzili, jak zupełnie przygodni, nieskrępowani znajomi.

Dopiero koniec wojny otworzył jej oczy. Po powrocie do domu zrozumiała z przerażeniem, że nie podola, zapewne, czekającym ją obowiązkom. Problem był istotnie trudny do rozwiązania. Nawiązać nici, które zdawały się urwane, odzyskać łączność, zająć się na powrót pustką życia, jeszcze bardziej potworną po tragicznym przewrocie, jaki dokonała w nim wojna — to wszystko obecnie wydało się nieosiągalne i obudziło w niej lęk i poczucie bezradności. Ale wola jej nie opuściła. Walczyła okropnie, lecz po dwuletnim zmaganiu się, doszła do przekonania, że trudnościom nie sprostą. Uznała się pobitą. Wszystko zmieniło się, wszystko wyglądało zupełnie

inaczej. Przede wszystkim Everard już nie był ten sam. Był starszy, poważniejszy, jeszcze powściągliwszy niż przedtem. Nawet dzieci się zmieniły, choć były jeszcze dziećmi. Urosły, ale straciły dla niej miłość; były dzikie, nieufne, nie tuliły się do niej, nie mówiły jak z matką. Uświadomiła sobie wreszcie, że i ona się zmieniła. Tak jest, zmieniła się, i to z gruntu, zupełnie. Uznała wobec tego, że nie warto było się okłamywać ni ludzi.

Ani mąż, ani dzieci nie okazywały jej miłości, nikt jej nie potrzebował, każdy mógł twierdzić, że obejdzie się bez niej.

— Gdybym jutro miała umrzeć, nikt by się nie smucił — rzekła do siebie, przemykając przez chłód i cienie wieczoru.

— Do tygodnia by zapomnieli. Straciłam wartość. Ani jednemu z nich nie jestem potrzebna.

Przewidywała ze zgrozą, że ten stan się nie zmieni, że potrwa już do końca jej szarego żywota. Przyśpieszyła nieco kroku podchodząc ku wybrzeżu. Jak ona to przetrwa, jak to przecierpi? Młodość była jeszcze w jej sercu, pragnęła jeszcze żyć i cieszyć się życiem — nie wystarczało jej poczucie sumiennie spełnionego obowiązku rodzinnego. Była bliska rozpacz. To okropne, gdy się wie, że się było lubianą — lubianą i pożądaną — a dziś jest odepchniętą, rzuconą jak nieużytek...

Poczęła teraz śpieszyć nie zważając na kierunek. Biegła bezładnie, zbliżając się ku morzu, które szumiało groźnie i okryło się mgłą. Nawet nie zraził jej deszcz, który siekł ją po twarzy. Nie chciała zawrócić. Była zadowolona w tej chwili, że nie znajduje się w domu, w tym wąskim, ciasnym, niegościnnym pokoju, ponuro oświetlonym lampą bez osłony. A wiedziała, że nie zaśnie w takim podnieceniu.

Pocieszyła się myślą, że to przeminie przez noc. Może rano, gdy wstanie, zapomni o wszystkim — nie odczuje już bólu, który ścisnął jej serce. Zajmie się dziećmi, wyjdzie na przechadzkę, nie da już przystępu tym strasznym myślom, które dopadały ją zawsze, ilekroć znalazła się sama i opuszczona.

— Nie wyjadę już na wczasy — rzekła do siebie — a przynajmniej nie rychło.

Dostrzegła w tej chwili, że zesłała ze ścieżki i że straciła jej ślad. Nogi jej zabrnęły w grząskim gruncie opuszczonego torfowiska.

Spotkanie

Nie zaniepokoiła się zrazu. Była zupełnie tego pewna, że ścieżkę odnajdzie bez żadnej trudności. Wkrótce jednak poznała, że przypuszczenia ją zmyliły. Noc zapadła ciemna i głęboka, deszcz nie ustawał, wszystko spowilo się w nieprzejrzystą mgłę. Na domiar złego wiatr się uciszył, tak że zawiodło ją obecnie i poczucie kierunku. Szum od morza porykiwał dokoła ze wszystkich stron, nic poza nim nie odzywało się w ciszy. Przystanąła na chwilę, ale nie zdołała rozpoznać, gdzie się znajduje.

— Głupstwo zrobiłam — mruknęła do siebie. — Nie dziwię się teraz młodemu Dennisowi.

Ale nie odczuła na razie zbytniego lęku. „Dam sobie radę — pomyślała po chwili — odnajdę ścieżkę, ale to potrwa jeszcze trochę, pochłonie nieco czasu”. Żałowała, że nie wzięła laski lub parasola. Trudno było chodzić po bagnach i moczarach, nie mając oparcia. Ciemność tymczasem gęstniała i rosła, musiała więc uważać, poruszać się w przód z niezwykłą ostrożnością.

Zdawała sobie sprawę z grożących niebezpieczeństw, wiedziała zaś, że za słabo jest przygotowana, aby z nimi się zmierzyć. Nie знаła dokładnie topografii wybrzeża. Było coraz ciemniej. Już teraz widziała na odległość kilku kroków, a grunt pod nogami był coraz mniejszy, coraz niepewniejszy.

— Nie mogłam przecież zbłądzić—próbowała się uspokoić. — Jeśli pójdę tylko naprzód, to niewątpliwie gdzieś zajdę.

Odczuła niepokój, zaczęła się lękać. Wydało jej się teraz, że jakieś wrogie siły ukryły się w zasadzce, że cała atmosfera wypełniła się nimi, i że daremny będzie trud, by skutecznie się obronić. Otrząsała się z tej myśli, odrzucała ją od siebie, ale wysiłek był daremny. Zapadła głęboka noc. Marcja była obca, nie знаła tych stron. Niepokój ustępował uczuciu przerażenia. Nie było teraz wątpliwości, że zbłądziła wśród nocy, ale pocieszała się myślą, że nie zabrnęła daleko.

Deszcz teraz padał całymi strugami, bućki jej przemokły, pełne były wody. Czowała się osłabiona. Zimno przeniknęło ją do samych kości, gdyż szybkie poruszanie się było zgoła niemożliwe.

— Cóż mam teraz począć? — zapytała z rozpaczą, przystanąwszy nagle. — Przecież nie mogę tu nocować.

Uczuła, że jej nogi zapadają się w głąb bagna. Straciła już nadzieję, ogarnęła ją rozpacz. Zaczęła się modlić.

— Ratusz mnie, Boże, strzeż mnie od upadku.

Pokrzepiona na duchu, obróciła się nagle i szybko, zdecydowanie ruszyła naprzód. Nie wahała się już teraz. Szła przed siebie, jak dobrze sobie znaną, bezpieczną drogą.

Droga staczała się, biegła ku dołowi, ale Marcja nie przystawała, szła śmiało naprzód.

Wyciągnęła ramiona, jakby wymacując drogę i po chwili czuła, że grunt pod nogami stawał się twardszy, że nie brnęła już teraz w grząskim błocie. Nie była tego pewna, ale miała wrażenie, że znalazła się obecnie niedaleko skały, gdzie ona i Goldie zatrzymały się rano, czekając powrotu Petera i Dennisa.

Szła teraz pewnie, z otuchą i wiarą, mimo że co chwila uderzała o skały lub potykała się na kamieniach. Wreszcie znalazła się przed otwartą furtką. Nieco dalej za furtką połyskiwało w ciemności czerwone światełko. Marcja zadrżała od radości, jakaś niesłychana wdzięczność napełniła jej serce. Ujrzała światło. Znajdzie zapewne i ludzi, wypocznie na chwilę, zziębnięta i przemokła.

— Dzięki Ci, Boże! — krzyknęła donośnie. — Chwała Ci, Panie, żeś udzielił mi pomocy.

Zmęczone jej nogi znalazły się nagle na mokrej ścieżce, po chwili potknęła się o drewniany stopień. Im bardziej podchodziła, światło w oddali stawało się jaśniejsze, nadzieja w jej sercu rosła i potężniała.

Dostrzegła niebawem, że światło dochodziło od okna domostwa. Okno przysłaniała czerwona roleta.

Przyspieszyła teraz kroku, biegnąc przed siebie z ostatecznym wysiłkiem, aż przystanąła po chwili przed murem domu i przeskoczywszy stopnie, zapukała do drzwi.

Nie odpowiedziano jej od razu, ale nie ulegało wątpliwości, że wewnątrz ktoś był. Słyszała wyraźnie jakieś męskie głosy. Po chwili namysłu zapukała ponownie. Ale teraz już głośniej, bardziej stanowczo.

Tym razem nie na darmo. Usłyszała jakiś ruch w pokoju, ktoś podchodził do drzwi. Drgnęła, jak w ataku gorączki.

Po raz drugi ogarnął ją dziwnie niewytłumaczony, osobliwy lęk.

Odsunięto rygiel i drzwi się otwały. Dostrzegła w tej chwili inne drzwi, wiodące do pokoju, w którym paliła się lampa. Pokój był niski, z dębową boazerią. Światło, napływające od nieocienionej lampy, oślepiło jej oczy.

Tuż obok stołu siedział mężczyzna. Nie dostrzegła jego twarzy, gdyż raziło ją światło. Drugi mężczyzna, młodszy od tamtego, stał już obok niej, zapraszając ją do środka. Nie poznała go zrazu, gdyż oczy jej utkwiły w świetle lampy i nie mogła ich do niego odwrócić.

Poznała go po głosie:

— To pani! — zawołał, uśmiechając się do niej. — Rozmawialiśmy dziś rano. Czy przypomina sobie pani? Było to w pobliżu, obok skalnych zrębów. I cóż z dziećmiakami? Czy mają się dobrze?

— Dziękuję — odrzekła głosem zdławionym. — Wszystko w porządku.

Wypowiedziała te słowa dziwnie mechanicznie, nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi. Z niewiadomych jej powodów, cała jej uwaga skupiła się obecnie na postaci mężczyzny, który siedział przy stole.

Po chwili młodzieniec odezwał się znowu:

— Proszę wejść — poprosił — odpocząć chwileczkę. Bardzo pani zmokła w tej strasznej ulewie. Dziwię się nawet, że znalazła pani drogę wśród ciemnej nocy.

Weszła do pokoju, nie zdając sobie sprawy, że usłuchała wezwania.

— Nie znalazłam drogi — odparła zdyszana. — Tylko cudem przebrnęłam, zgubiłam się w drodze.

Mężczyzna obok stołu w tej chwili powstał. W cieniu nad lampą dostrzegła jego twarz. Wyglądał poważnie, na twarzy miał wyraz wielkiego zdumienia. Podobnie jak człowiek, który kogoś rozpoznał. Serce jej drgnęło, odczuła niepokój, który ogarnął ją nagle. Zatrzymała się w progu jak przykuta do ziemi.

— Zgubiłam się — powtórzyła, walcząc z oddechem.

Na chwilę w pokoju zaległo milczenie. Mężczyzna bez przerwy spoglądał jej w oczy. W końcu się ozwał:

— Zgubiła się pani? Naprawdę, siostrze?... Sądziłbym raczej, że się pani znalazła...

Głos jego zabrzmiał, jak echo minionej, zamierzchłej przeszłości.

— Proszę usiąść — rzekł. — Zaraz coś przyniosę, co panią pokrzepi. Ujął jej ramię i poprowadził bez słowa w kierunku kominka. Usiadła

w fotelu, który stał przy ogniu i błędnym wzrokiem potoczyła przed siebie. Mężczyzna pochylił się i spojrzał jej w oczy.

— Co za dziwne spotkanie — usiłowała wykrztusić, ale słowa niespodzianie uwięzły jej w gardle.

Uśmiechnęła się, bo tyle tylko mogła, on zaś przystanął i ujął jej dłonie. Były zziębnięte. Przycisnął je do twarzy i począł je rozgrzewać gorącym oddechem.

Wznowiona znajomość

Siedziała w tej chwili znużona i wyczerpana, ale gdy otuliło ją ciepło, napływające z kominka, nie zdołała się oprzeć uczuciu błogości. Zmrużyła oczy, a wszystko, co ją otaczało, wydało jej się teraz jakby sennym widziadłem.

Wzdrygnęła się na myśl o deszczu i ciemnościach, panujących na dworze, a cały jej umysł ożywił się pamięcią i cieniami przeszłości.

Niejednokrotnie w swych snach widziała tę twarz, która pochyliła się teraz i spozierała jej w oczy. Nie wierzyła jednak, że ujrzy ją znowu i nie dziwiła się temu, że rysy tej twarzy zwolna się zacierały w jej pamięci. Lubiła o nich śnić. Wierzyła, że zaginą, że zatrą się z czasem i hartem swego ducha odpierała sentyment. Uzbrojona w tę siłę, i teraz nie okazała zbytniego entuzjazmu. Ciepło kominka zamroczyło jej myśli. Wyciągnęła nogi w kierunku ogniska — czuła, że przemokły od deszczu i błota — i nie spostrzegła się nawet, gdy troskliwe ręce ściągnęły z nich buty i podsunęły poduszkę, aby dać im oparcie.

— Jak dobrze — wyjąkała. — Och, jak tu dobrze.

Padły jakieś słowa, których nie zdołała dosłyszeć, ktoś przeszedł przez pokój i skierował się do niej, zaś mężczyzna w tej chwili pochylił się nieco i ponownie spojrzął jej w twarz.

— Proszę wypić to zaraz — ozwał się do niej. — Póki gorące. No, proszę — nalegał — ale zaraz, natychmiast.

Podając szklaneczkę, dotknął jej brzegiem rozwartych jej ust, zaś ona nie oparła się i nadpiła cośkolwiek. Odczuła gorąco podanej mikstury — było to ogrzane brandy zmieszane z wodą — ale nie chciała więcej i broniła się ręką.

— Jeszcze troszkę — nalegał — kilka tylko kropel... No, proszę się przemóc... przecież to nie jest takie straszne, a zrobi pani dobrze.

Ujął jej palce, wsuwając w nie ostrożnie podtrzymywaną szklanekę, ale nie ruszyła nawet nimi. Nadpiła jeszcze trochę, gdyż był nieugięty, po czym rychło i z niedowierzaniem spojrzała mu w oczy.

— Więc nie zapomniała pani o mnie, pamięta mnie jeszcze?

— Czy nie zapomniałam o panu? — powtórzyła zdumiona. Głos jej wyjaśniał, był nieco pewniejszy. — Co za naiwne pytanie, jak można tak myśleć?

Uśmiechnął się z lekka, nie wiedząc, co odrzec. Po chwili zaś rzucił:

— Trzy lata upłynęły. Niekrótki to okres.

— Będzie wnet cztery — dodała Marcja.

— Ale pani się nie zmieniła. Wygląda tak samo. Potrząsnęła głową. Na drobnych jej ustach pojawił się uśmiech.

— Komplementy, mój panie — odparła z przekorą. — Człowiek się starzeje, zatracą swą świeżość.

— Nie widzę — odrzekł. — Raduje mnie poza tym, że owe przeżycia łączą nas ze sobą.

Pochyliła się naprzód, zbliżając swe dłonie w kierunku płomienia.

— Och, te wspomnienia — westchnęła żałośnie. — Czy nie za wiele ich było, jak na krótki ten okres?

— Wiem tylko tyle, że nekają mi duszę. Ale cóż się z panią stało po owym wypadku? Szukałem jeszcze pani, starałem się ją znaleźć, ale zawsze wpadałem na niewłaściwy trop; gdy straciłem panią z oczu, nie dopuszczałem myśli, że przepadnie pani bez wieści.

— Ruszyłam dalej — odparła po chwili. — I wytrwałam na stanowisku, nie chciałam go porzucić. Było to straszne, okropne, przerażało mnie grozą, ale nie mogłam się przemóc. Może to paradoks, co powiem, ale zawsze w tym widziałam jakiś przejaw istnienia.

— Życie — zawołał — przejaw istnienia... Życie i Śmierć w obopólnym uścisku, tak, to jest prawda... A nigdy się nie wiedziało, ku czemu się skłonić i co było lepsze.

— Pan tak samo to odczuwał? — odparła z westchnieniem. — Dziwiłam się czasem.

— Czemu? — zapytał.

— Znaczeniu tych przeżyć, które targały mą duszą. I, podobnie jak

pan, zastanawiałam się nad kwestią, czy życiu czy śmierci mam przyznać pierwszeństwo. Myśląc zaś o panu, nie wiedziałam do tej pory, czy pan żyje, czy poległ.

— I nie zapomniała pani o mnie — dodał po chwili.

— Nie — odrzekła. — Nie zapominam tak łatwo. Wpatrzyła się nagle w płomień ogniska. Oparła się na rękę i po chwili

dodała:

— Nie zapomina się wrażeń, które odczuwa się do głębi. Byłam pełna podziwu dla pańskiej dzielności.

— Zmiłujcie się bogi! — zaśmiał się głośno. — Dla mojej dzielności? Czy nie przesada, Madame?... Bo zdawało mi się nieraz, że w porównaniu z innymi, przedstawiam się jak tchórz.

— O, nie — przerwała. — Pan umiał się przemóc i zmobilizować w trudnościach. Pan naprawdę był dzielny, na przekór swym sądom.

Zaśmiała się znowu.

— A czy nie można teraz rzec, że nasze życie się skończyło, choć niby żyjemy?

— Oczywiście, że można. Nie żyje się bowiem, jeśli nie ma się celu. Przytaknęła z powagą.

— Tak, to jest prawda. Im trwalsze jest poczucie użyteczności dla świata, tym silniej podtrzymuje się myśl o życiu.

— To mi się podoba! — zawołał z uśmiechem. — Ale czy pamięta pani jeszcze, jak się nazywam?

— Pewnie, że pamiętam. Nazywa się pan Morven. Wypowiedziała te słowa z absolutną pewnością. Po chwili dorzuciła.

— Ale imienia pana nie znam i nigdy go nie słyszałam. Straciłam pana z oczu po tej strasznej nocy.

— Wiem o tym — odrzekł. — Odesłano mnie do domu wbrew mojej woli. A na imię mi Eryk. Czy ulżyłem tym pani?

— Bardzo — odrzekła — dziękuję uprzejmie. Odwróciła się teraz i spojrzała przed siebie.

— Powinnam już odejść — rzuciła leniwie — cóż to ja widzę?... Pan tu, panie Peter?

Młodzieniec po tych słowach przybliżył się do niej.

— Czy ochłonęła już pani po tej przykrej przygodzie? To cudowne,

doprawdy, że trafiła pani do nas. Takie noce, jak dzisiejsza, nie zdarzają się często.

Na twarzy Marcji pojawił się uśmiech.

— To losy tak zrzędziły. Uwzięły się na mnie, by nie szczenić mi przygód, pana zaś wybrały na wybawcę z opresji. Spojrzała na Morvena.

— Czy słyssał pan już o tym, jak uratował mi syna?

— Nie, nie słyssałem, nie wspomniał mi o tym. Nie było zresztą kiedy. Przyjechałem dziś wieczór, przed kilku godzinami.

— Nie ma o czym mówić — zakłopotał się Peter. — Chłopak dziś utkwiał w szczelinie skalnej, ja zaś pośpieszyłem i wydobyłem go stamtąd i to wszystko. Rzecz była łatwa i nie przedstawiała, jak dla mnie, żadnego niebezpieczeństwa.

— Bardzo w to wątpię — odezwała się Marcja. — Wszyscy mężczyźni są podobni w tym względie. To niemożliwe, moim zdaniem, aby rzecz była łatwa i zupełnie bezpieczna. Niebezpieczeństwo, jak myślę, było wcale poważne. I tym większa moja wdzięczność za udzieloną mi pomoc. Teraz jednak wielki już czas, bym włożyła buciki.

Zwróciła się teraz do Eryka Morvena:

— Wiem o tym wprawdzie, że są jeszcze mokre.

— To niemożliwe — rzekł Morven. — Buciki w tym stanie nie dadzą się włożyć. Proszę spojrzeć na nogi, na mokre pończochy.

— No tak — rzekła Marcja.

Potrąciła buciki i spojrzała w ich stronę z wyrazem niechęci.

— Straszne — wyjąkała — do czego to podobne? Ale po co o tym myśleć, trzeba je brać, jakie są. Muszę odejść czym prędzej ze względu na dzieci.

— Pani nie pójdzie w nocy — ozwał się Morven. Spojrzała mu w oczy z wyrazem niepokoju.

— Muszę! — zawołała. — Wiem, że jest ciemno i że droga będzie trudna, ale poproszę pana o coś: pan pożycz mi latarkę. Mając światło przed sobą, zorientuję się jakoś i trafię do domu. Czuję się już dobrze, osłabienie przeminęło.

— Pani nie pójdzie tej nocy — powtórzył stanowczo. — Nawet nie pozwolę spróbować. Właśnie w tej chwili zahuczała syrena.

Dosięgnął ich długi, jękliwy odgłos od portu, ostrzegawczy znak dla mieszkańców osiedla. Marcja wzdrygnęła się. — Przeraza mnie to wszystko, ale muszę spróbować. Nie mogę ich zostawić, będą strasznie niespokojne. Mam dzieci na myśli.

— Nie zasną bez pani? — zapytał Peter.

— O, tak — odrzekła — to niewątpliwe, że zasną. Ale co będzie rano, co one pomyślą?.

Zerwała się szybko, zdecydowana pójść.

— Nie mogę tu zostać, stanowczo nie mogę! Morven się zaśmiał.

— Pani już więcej ryzykowała w obliczu niebezpieczeństwa. Pamięta pani, siostrze?

— Przecież nie są już dziećmi — ozwał się Peter. — Pójdę do nich rano i opowiem o wszystkim. Ale nawet sam bym nie poszedł w tak straszną noc. Gdy zapadną takie mgły, to na każdym niemal kroku grozi coś złego.

— Przecież muszę coś zrobić — ozwała się Marcja. — Nie mogę tak siedzieć z założonymi rękoma.

Spojrzała niespokojnie w stronę Morvena.

— Co pan mi radzi?

— W jakim są wieku? — zapytał po chwili.

— Dennis ma czternaście lat, Goldie trzynaście. Oboje są samodzielni i nie potrzebują opieki. Ale jednak, gdy pomyślę...

Urwała.

Morven się zaśmiał.

— To dziwne — powiedział.

— Co jest dziwnego? — spytała zdumiona. Nie zrozumiała stwierdzenia, dotknęło ją nawet.

Ciemne jego oczy spojrzały jej w twarz.

— Gdyby powiedziała mi pani, że syn ma... czternaście miesięcy, zrozumiałbym może ten dziwny niepokój.

— Nonsens — odrzekła, czerwieniejąc na twarzy. Po chwili dodała:

— Nie mogę sobie wybaczyć, że wyszłam dziś z domu. Co mnie pociągnęło do tych wydm na wybrzeżu?

— Jakieś dobre przeznaczenie — ozwał się Morven. — To doprawdy było trudne nie zbłądzić tej nocy i dostać się do nas.

Zaśmiali się oboje, zaś Peter przystanął, odstępując w tej chwili od udziału w rozmowie.

W Marcji ten śmiech obudził wspomnienia. Przypomniała sobie teraz, jak niegdyś tak samo ulegali wzruszeniom, zawsze tym samym, choć gatunkowo odmiennym, gdyż nigdy do tej pory nie śmiali się razem. Machnęła ręką, jakby rezygnując z walki z nieuniknioną koniecznością i po chwili dodała:

— Poddaję się zatem, skoro obaj odradzacie mi drogę do domu. Może dzieci już śpią, ta myśl mnie pociesza. Ale gdy mam już tu zostać, to pod jednym warunkiem: że spędzę tę noc na tym samym fotelu.

— Na to się nie zgadzamy — ozwali się wspólnie Peter i Morven. Zaśmiali się głośno i beztroska wesołość zapanowała w pokoju.

Peter po chwili przemówił pierwszy:

— Na górze mamy pokój, przeznaczony dla gości. Pójdę do pani Rider i polecę go przysposobić. Pewnie jeszcze nie śpi. Przyniosę pani również jakiś skromny posiłek.

Mówiąc te słowa, skierował się ku drzwiom. Marcja uparła się.

— Nie! — wykrzyknęła, protestując stanowczo. — Proszę się nie trudzić, bo nie tknę niczego. Zjadłam kolację, nim wyszłam z domu. Proszę go zatrzymać — nalegała gwałtownie, zwrócona do Morvena. — Ani kęsa nie przełknę, nie mogłabym nawet.

— Więc szklaneczkę mleka — rzekł Morven do Petera, który rzucił się ku drzwiom i zniknął za nimi.

— Nie skosztuję go nawet — obruszyła się Marcja. — I proszę mu powiedzieć, by i pokoju nie szykował. On na pewno to zrobi, a szkoda tylko trudu. Będzie mi o wiele przyjemniej, gdy zostanę na dole.

— Może zapali pani papierosa? — odezwał się Morven. Odmówiła zrazu, lecz po chwili przyjęła.

— Niechaj służy to za dowód, że wróciłam do równowagi — rzekła do niego, sięgając po papieros. — Bardzo mi jest przykro, że sprawiam panu kłopot. Ale wyczuwam, że nie zechce pan o tym mówić.

Podał jej zapalną i odrzekł po chwili:

— Jest więcej takich rzeczy, o których trudno nam mówić. Losy tak zrzędziły, że nie wolno nam rozmawiać szczerze i otwarcie. Spóźniliśmy się nieco, spotykając się w życiu.

Mówił to z zapalem, przykuwając jej uwagę. Słuchała go uważnie, przechylając się leniwie ku oparciu fotela. Uczuła jakiś czar, który unosił się nad nią. Nie mogła się otrząsnąć z dziwnego wrażenia.

Zapalił papierosa i stał przy kominku. Na ciemnej jego twarzy igrały płomienie.

Był smukły, postawny, jakąś dziwną powagą roztaczał wokół siebie. Rysy miał ostre, wskazujące na stanowczość, oczy wyraziste i pełne pogody. Chciała go przeniknąć, wiedzieć o czym myśli. Wydawał jej się mocny i jakiś dziwnie odmienny od znanych jej mężczyzn. Z kobiecą ciekawością pragnęła doświadczyć tej ujmującej ją siły.

— Możliwe, że to prawda — szepnęła po chwili. — Nie było zresztą czasu, by przekonać się o tym.

Wzruszył ramionami i opuścił głowę.

— Czas się odmierza charakterem wydarzeń. Tak o tym myślę. A czy od chwili owej nocy przytrafiło się nam w życiu coś równie pamiętnego?

— Mnie się nie zdarzyło — odparła z westchnieniem.

— Ani mnie — zapewnił ją żywo. — Stałem się bezdomny i jestem nim do dzisiaj. Pani, którą spotkałem, była jedyną oazą mego życia.

Zaśmiała się na to.

— Wszystko, co minęło, wydaje się lepsze niż naprawdę. Można się pomylić i ulec złudzeniu. Niejedno się przypisuje czarowi przeszłości...

— Nie w tym wypadku — odrzekł stanowczo. — Mam dziwne wrażenie, że wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się wczoraj.

Marcja zamilkła, rozpatrując w skrytości znaczenie tych słów. Dotknęły ją mile, ale zdawała sobie sprawę, że wyrzekł je celowo, jakby dając jej impuls do zareagowania na nie. Nie wiedziała co odrzec, wołała zamilczeć.

Przez chwilę oboje trwali w milczeniu. Morven palił i patrzył jej w oczy. Wreszcie zaczął znowu.

— Wiem o tym — rzekł, jakby usłyszał jej odpowiedź. — Pani tak samo jest zameżna, jak była nią wtedy, może więcej nawet dzisiaj, skoro powrót do męża ukrócił jej swobodę i zmusza do obowiązku. Ale fakt jest faktem i już nie da się zmienić. Proszę to rozważyć i zachować w pamięci.

— Może pan ma rację — odrzekła kłopotliwie. — Można żyć

wspomnieniem, odtwarzać je w sobie, ale nie wskrzesi się godzin, które minęły bezpowrotnie.

— Nie jestem tego pewien — odrzekł po chwili. — Jeśli istnieje tylko wola, to nie ma takich przeszkód, które mogłyby ją złamać.

Na twarzy Marcji pojawił się uśmiech.

— Nie! — odrzekła, potrząsając głową. — Nie ma takiej siły, która zmieniłaby na przykład kierunek rzeki, zdążającej ku morzu.

Nie dał jej odpowiedzi i długie milczenie zaległo między nimi. Ale milczenie wymowne.

Przerwało je wreszcie zjawienie się Petera. Oboje jednocześnie zwrócili się do niego.

— Wszystko już zrobione — rzekł wchodząc. — Pani Rider przysposobiła pokój do spania i poda mleko, gdy pani uda się do łóżka. Zabierze również rzeczy, by osuszyć je do jutra.

Marcja powstała.

— Jaki pan uprzejmy! Dziękuję serdecznie.

— Proszę się nie śpieszyć — ozwał się Morven.

— Muszę — odrzekła — robi się późno. Nie chcę zatrzymywać usłużnej pani Rider. A czy mogę jeszcze wiedzieć, któremu z was obu zabieram dziś łóżko?

Przeniosła spojrzenie z jednego na drugiego, a na pięknej jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Mnie! — rzekł Peter śmiało i szczerze. — Ale bardzo mi miło, cieszę się z tego. Wszystko mi jedno, gdzie położę głowę; wszędzie umiem zasnąć, o to nie ma obawy. Raniutko zaś wstanę, przyrzekam to pani, i pośpieszę do dzieci, jeszcze zanim się zbudzą. Proszę być spokojną i nie troszczyć się o to.

— Dziękuję — rzekła Marcja, wyciągając doń rękę. Chłopiec ujął ją z młodzieńczą nieśmiałością.

— Chciałbym więcej jeszcze zrobić, gdy nadarzy się sposobność... Dobranoc! — wykrzyknął — proszę spać bez obawy!

Marcja zwróciła się w stronę Morvena.

— Dobranoc! — szepnęła. — Serdecznie dziękuję. Zatrzymał w swej dłoni podaną mu rękę.

— Za co? — zapytał. — Za taką drobnostkę? Ale prawda, Madame, zapomniała pani o czymś.

— O czym? — spytała, udając zdumienie.

Spojrzał jej w oczy, głęboko i przenikliwie, a po chwili wykrztusił:

— Nie wiem nawet dotąd, z kim mam przyjemność.

— O nazwisko panu chodzi?

Pytanie ją zaskoczyło. W oczach jej błysnął wyraz zdziwienia.

— Nie słyszał pan o nim?... To dziwne doprawdy, aż nie chce się wierzyć... Nazywam się Marcja — Marcja Templeton.

— Marcja — powtórzył łagodnie i pieszczotliwie, jakby brzmienie imienia sprawiało mu rozkosz. — Marcja Templeton... Czy Templeton K. C? To *on* jest małżonkiem?

Pochyliła głowę.

— Tak, to jest on.

— A czy wiadomo pani, jak nazywa się miejsce, do którego bogowie przeznaczenia sprowadzili ją dzisiaj?

— Nie wspominaj pan o przeznaczeniu, nie wierzę w nie.

— Ja jednak wierzę — odparł stanowczo. — Przybyłem tu dziś wieczór, a pani zjawiała się niedługo później... Peter!

— zawołał. — Powiedz tej pani, jak się nazywa ta ferma.

Peter poczerwieniał.

— Ech! — wycedził, odmawiając odpowiedzi.

Morven się zaśmiał. Głośny jego śmiech ożywił cokolwiek atmosferę.

— Peter nie odpowiedział, rzekł tylko: „ech!” Ja ją nazywam fermą Przypadku, pani może znajdzie trafniejsze określenie. A ta ferma w istocie nazywa się inaczej... Nazywają ją tu wszędzie „*Pod Wierną Miłością*”.

Nie puszczał jej dłoni. Nie mogła jej zwolnić bez większego wysiłku. Zawahał się chwilę, nim zdecydował się wymienić nazwę obejścia. Gdy wymienił je wreszcie, uśmiechnął się dziwnie. Przez cały niemal czas spozierał jej w oczy.

Znowu w pokoju zaległo milczenie. Marcja przystanęła, nie wiedząc, co odrzec. Ale w końcu się przemogła i spoglądając mu w twarz, wyrzekła z uśmiechem:

— Co za dziwne, kliwie, staroświeckie przezwisko!... Niemodne już dzisiaj, stanowczo przestarzałe!

Peter tymczasem podbiegł ku drzwiom i chwyciwszy za klamkę, otworzył je dla niej. Skierowała się ku nim, nie chcąc aby czekał, zaś Morven powiedział jeszcze:

— Staroświeckie przezwisko, ale cenię je za to.

Wyrzekł to szczerze, zupełnie naturalnie, bez śladu cynizmu, który objawiał dotychczas. Po chwili zapytał:

— Nie podoba się pani?

— Niekoniecznie — odrzekła, obracając swą głowę. — Dobranoc, panie Morven, dobranoc, dobranoc!

Nie słyszała, czy odpowiedział, gdyż drzwi bezpośrednio zamknęły się za nią.

Poranek

Marcja tej nocy spała wybornie. Przeznaczony dla niej pokój był miły i schludny, łóżko wygodne i świeżo usłane, a gdy zbudziła się rano, nie mogła pojąć, że noc spędziła tak cicho i beztrudnie. Rozejrzała się dokoła i spojrzała w okno. Wychodziło na morze. Widok był specjalnie piękny.

Usiadła na łóżku. Myśląc, że już późno, zmartwiła się, iż zaniedbała obowiązek. Dennis i Goldie już zbudzili się pewnie, niepokoją się może, co sobie myślą? Ale Peter zapewniał, że odwiedzi ich rano, a młody Kornwalijszczyk budził w niej ufność, nie mogła mu nie wierzyć. Zauważyła z radością, że mgła ustąpiła i że dzień zapowiada się pogodny i słoneczny. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Oparta na parapecie, syciła swe oczy pięknnością widoku.

Wrażenia wieczoru przebiegły jak baśń przed oczyma wyobraźni. Odmłodziły ją teraz, odczuła jakąś radość i zadowolenie z życia jak młoda dziewczyna u progu żywota. Dnie, które spędziła przed laty w szpitalu, wyrobiły w niej dojrzałość, przedwczesną powagę. Nie odczuwała teraz tego, ożywiła ją młodość. To wszystko, co przeżyła, było czymś nowym zupełnie, nieznanym dotychczas. Odetchnęła głęboko, upajając się wonią cudnego poranka i dreszcz rozkoszy przeniknął jej ciało.

Nagle dosięgnął ją głos z dołu:

— Proszę się nie śpieszyć. To ja, pani Templeton. Jakże było z nocą? Czy dobrze się spało?

Nie widziała pytającego, który znajdował się na dole, więc zawołała na oślepa, uśmiechając się przy tym:

— Świetnie się spało, nawet na to nie zasłużyłam. Zaraz się ubiorę i wyjdę z pokoju.

— Proszę — odezwano się. — Rzeczy są za drzwiami. Nawet inne buciki i para pończoch, które przyniósł dziś Peter.

— Och, jak to dobrze! Jaki on grzeczny! Gdzież on jest teraz, czy także na dole?

— Jest na wybrzeżu i bawi się z dziećmi. Proszę się nie śpieszyć. Mają się świetnie.

Marcja zaśmiała się.

— I nie martwią się o mnie?... Ach, jak to dobrze!

— Ja również się cieszę!

Wymknęła się za drzwi, zabrała swoje rzeczy, potem szybko się obmyła, zarzuciła sukienkę i wróciła do okna. Z dołu dolatywał ją zapach tytoniu.

— Cudny dziś dzień! — powiedziała żywo.

— Proszę zejść, Madame! W ogrodzie jest pięknie.

— Idę już — rzekła i pośpieszyła ku schodom.

Gdy znalazła się na dole, zastała Morvena siedzącego na ławce. Na jej widok powstał i podbiegł naprzeciw.

Uścisnęli sobie dłonie i ruszyli ku słońcu.

— Wypoczęła już pani? — zapytał Morven. — Wygląda dziś pani pięknie, jeszcze piękniejsze niż wczoraj. Kazałem tu przynieść śniadanie dla pani.

Wskazał na stół nakryty obrusem i oboje w tej chwili podeszli ku niemu.

— Co za piękny pomysł! — powiedziała Marcja. — Trudno sobie wyobrazić jakiś miłszy zakątek.

W tej chwili pani Rider zjawiała się przed nimi. Przyniosła na tacy naczynia i śniadanie.

— Mam wyrzuty sumienia — mówiła Marcja. — Gdyby Dennis albo Goldie zachowali się jak ja, nie uraczyłabym ich za to tak smacznym śniadaniem.

— Należę pani kawy — rzekł Morven — a pani tymczasem posmaruje nam chleb. Tam są jajka i miód. Pani Rider już wie, jak pobudzić apetyt. Toteż od dawna cieszy się moim wielkim zaufaniem.

— Bardzo mi jest miło obsługiwać takich gości. Są grzeczni, uprzejmi i umieją mnie ocenić.

Pani Rider skłoniła się, wyrzekłszy te słowa. Po chwili dodała:

— Jak się pani czuje po odpoczynku w tym domu? Spodziewam się, że dobrze. Może trzeba jeszcze czego?... Proszę się nie kępować.

— Dziękuję — rzekła Marcja. — I tego już za wiele. Tyle pani przyniosła, że trudno wszystko zjeść.

Pani Rider skłoniła się i po chwili odeszła.

— Przezacna kobiecina — odezwała się Marcja.

Morven tymczasem nalał jej kawy i oparł się krzesłem na przyległym murze.

— Miło tu — rzekł — podoba mi się tutaj. Peter zazwyczaj tu spędza wakacje. Odwiedza to miejsce przy każdej sposobności.

— Jak to? Sam? — zdumiała się Marcja.

— Sam, proszę pani. Miss Rider go pamięta od dziecka nieledwie. Wychowała go sobie, gdyż niegdyś, przed laty była mu piastunką. Bardzo go lubi i jest mu oddana. A Peter, swoją drogą, daje się lubić. Dobry z niego chłopak, poczciwy z kośćcami. Jesteśmy spokrewnieni. Łączy nas z sobą dalekie kuzynostwo. Obecnie zostałem opiekunem Petera. I to jest właśnie powód, który zmusił mnie teraz do powrotu do Anglii.

Palił papierosa, spoglądał na Marcję z wyrazem zachwytu, ale zachował w tym umiar. Żadne z jego spojrzeń nie było natarczywe. Marcja zajadała z widocznym apetytem. Czula się tu dobrze, okazywała zadowolenie.

— Więc pan był za granicą? — spytała po chwili. Morven przytaknął.

— Nie podobało mi się w Anglii bezpośrednio po wojnie. Ojciec mój umarł zanim się skończyła i nic mnie już potem nie wiązało z krajem. Wyjechałem do Kanady i zakupiłem tam farmę. Powrócę tam jeszcze za parę tygodni.

Musiałem zaś przyjechać, gdyż przynagliły mnie sprawy, dotyczące Petera.

— Czy długo to potrwa, nim pan je uporządkuje?

— Wie pani, kim on jest? — zagadnął ją Morven.

— Nie — odrzekła, spozierając z uśmiechem. — Czy ktoś bardzo osobliwy?

— W tych stronach istotnie. Jest to Peter Tregassa, obecny właściciel okolicznych majątków.

Morven się zaśmiał.

— Żal mi chłopaka. Jest cały oszołomiony tym niezwykłym dziedzictwem. Ale zżyje się z tą myślą, przyzwyczai się do niej. Może obmierźnie mu nawet, jeśli się nie mylę w osądzeniu najmłodszej generacji.

— To doprawdy zajmujące — odezwała się Marcja. — Poznałam go nie dawniej niż wczoraj rano. Nie wątpiłam nawet w to, że jest z lepszej rodziny. Takie rzeczy się wyczuwa, uderzają po prostu.

— Nie omyliła się pani — ozwał się Morven. — Żałuję tylko bardzo, że nie sposobił się do armii lub do innego zawodu, z wyjątkiem gospodarki. Zna się na tych rzeczach jeszcze lepiej niż ja.

— Szkoda, że nie możecie zamienić zawodów. Marcja się zaśmiała.

Morven zaśmiał się także.

— Dziwne! — zawołał. — On to samo mi powiedział wczoraj wieczorem. Ale sądzi pani może, że czułbym się dobrze w roli dziedzica? Zapewniam, że nie. Za wiele się kosztowało z Drzewa Poznania, by zadowolić się teraz jakąś marną namiastką wymarzonego żywota.

— Zostawmy to czasowi — powiedziała Marcja. — Może uda się kiedyś zapomnieć o wszystkim.

Potrząsnął głową.

— Tak pani sądzi? Ja nie przypuszczam. Są duże możliwości, które rozważam obecnie. Albo wtedy, przed laty, nie doceniało się tego, co było tak bliskie albo teraz, ponieważ, przecenia się wartość minionego przeżycia.

— Och, to jest prawda, rozumiem to wszystko.

Na twarzy Marcji pojawił się smutek. Po chwili ciągnęła:

— Czy wyjechał pan do Kanady, by zapomnieć o wszystkim? Obrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

— Ale nie zdołałem zapomnieć. Nie znalazłem spokoju, który był mi potrzebny. Nie zmienił się nawet mój stosunek do ludzi. Ludzie są wszędzie tacy sami na świecie. Tak samo się nienawidzą i tak samo się kierują instynktem zazdrości.

Spojrzała mu w oczy z wyrazem zdumienia.

— I to pan tak mówi, panie Morven? Pan, który potrafił tak panować nad sobą i nawet wtedy być mocnym, gdy inni tchórzli w obliczu niebezpieczeństwa.

Odwrócił się od niej i opuścił głowę.

— Pani nie zna mnie jeszcze — wyjąkał półgłosem.

Zerwał się nagle, jakby pędzony jakąś siłą, niepojętą dla Marcji. Skierował się na ścieżkę, wiodącą ku morzu.

Nie mogła go zrozumieć. Obejrzała się za nim, nie dowierzając oczom. Przed chwilą była pewna, że łączy ich nić wzajemnej sympatii, teraz zaś wyczuła, że Morven zapewne uległ złudzeniu. Tak się tym przejęła, że nie śmiała nawet patrzeć w kierunku, gdzie poszedł.

Siedziała bez ruchu, nie kończąc śniadania, ale nagle go ujrzała ponownie przed sobą. Podchodził z wolna, krokiem leniwym, nie zmieniając ścieżki, którą obrał poprzednio.

Jego widok ją ukoił, uśmiechnęła się nawet. Gdy podszedł do niej bliżej, pochwyciła jego głos:

— Siostró — zawołał — albo Marcjo, jeśli wolno... Czy pozwoli mi pani, bym ją wołał po imieniu?... Czemu pani duma i nie kończy śniadania?

— Może mnie pan wołać, jak panu miło. Po chwili dodała jeszcze:

— Nie jestem już głodna, już dosyć zjadłam. Teraz usiądź pan koło mnie i opowiedz coś więcej o sprawie Petera. Ta rzecz jest w istocie niezwykle ciekawa.

— Interesuje panią Peter? — spytał zdumiony.

Na ciemnej jego twarzy pojawił się grymas, ale zatarł się prędkiej, nim zdołała odpowiedzieć.

On zaś tymczasem ją opowiadać:

— Otóż Peter jest synem dalekiego krewniaka i nie marzył nawet o tym, że zostanie spadkobiercą. Ale wojna zmiotła przewidywanych dziedziców, nie został ani jeden, i jego ojciec również zmarł, jako żołnierz. Peter był jedynakiem, a rodziców miał biednych. Nie mieli nawet pieniędzy, by odpowiednio go wykształcić. Ojciec był farmerem, gdy wybuchła wojna. Powołany do wojska, zostawił swoją żonę w największym niedostatku. Gdy poległ pod Cambrai, żona jego i Peter zostali nędzarzami. Biedna kobieta nie przetrwała ciosu. Następnej zimy umarła na płuca. Ale Peter miał odwagę, nie upadł na duchu.

Utrzymywał się sam przez szereg miesięcy. Ja jeszcze wtedy przebywałem we Francji. Widziałem go zaledwie raz w moim życiu. Jak powiedziałem już pani, nie jestem z nim w stosunku bliskiego pokrewieństwa. Znałem jednakże Sir Artura Tregassę, a syn jego, Percy, był jednym z mych starych, serdecznych przyjaciół. Zachorował na gruźlicę, gdy wyruszałem do Kanady, ale łudzono się nadzieją, że przetrzyma chorobę. Nadzieje, jak często, okazały się płonne. Żył jeszcze rok, czy cośkolwiek dłużej, potem zaniemógł poważnie i umarł prawie nagle. Akuratnie w tydzień przed śmiercią ojca. Nie wiem, czy Peter wiedział, że czekało go dziedzictwo po śmierci starego. Nikt o tym nie myślał, gdy Tregassowie jeszcze żyli, nie zwracano na niego najmniejszej uwagi. Ale przypadek tak zrządził i sprawa ostatecznie stała się jawną. Wyznaczony przez sąd na opiekuna Petera, musiałem przerwać mój pobyt w Kanadzie i wrócić do kraju. Wyznam pani szczerze, że aż do wczoraj wieczorem, nie cieszyłem się zbyt tym przymusem powrotu.

Mówiąc to, stał obok stołu i opierał się o mur. Spojrzał na Marcję, ona zaś w tej chwili pochwyciła to spojrzenie.

— Osobliwa historia — wyrzekła półszepem.

— Tak — powiedział. — I może pani ma rację, oceniając naszą sprawę tak bardzo sceptycznie. Teraz sam to rozumiem, że jest znacznie trudniejsza, niż wydała się z pozoru.

Nie rozumiała tego tonu. To powątpiewanie w jego głosie zdawało się wyczekiwać zaprzeczenia z jej strony. Ale nie czekał odpowiedzi. Opuścił głowę i podjął na nowo:

— Ale zdaję się na losy. Nie zamyślam się opierać wyrokom przeznaczenia. Będę miał wiele roboty przy uporządkowaniu jego spraw i nie wybrnę z tego prędzej niż przed trzema miesiącami. Ale i na tym nie koniec. Będę musiał nad nim czuwać i strzec go od błędów, nim się stanie pełnoletni. Gdy załatwię to wszystko i nie będzie już obawy, aby poniósł jakąś szkodę, może zabiorę go ze sobą, wracając do Kanady. Na pewien choćby okres. Nie wątpię nawet, że ten pobyt mu posłuży. On lubi gospodarkę, ma pociąg do tego. Ale potem go odeślę. Majątek nie może tak stać bez opieki. Jest jeszcze moc do zrobienia, aby go dźwignąć z upadku. Ostatni jego właściciele zaniedbali go nawet, a pobyt mój w Anglii nie może się przedłużyć. Nie będę miał czasu, aby zająć się wszystkim.

— Czeka pana praca — ozwała się Marcja. — Ale Peter jest potulny, ma wiele zalet. Jestem szczerze przekonana, że nie sprawi panu sobą nadmiernych kłopotów.

— Ja również tak sędzę — odezwał się Morven. — Ale nie znamy się, prawie nie byliśmy ze sobą. Objawia przy tym wszystkim jakąś dziwną nieśmiałość. To mnie niepokoi, choć wcale nie dziwi. W domu, w którym żył, nie troszczono się o to, aby mu dać wychowanie.

— Jest jeszcze młody — rzekła Marcja. — Rozwinie się z czasem, nabędzie ogłady.

Morven się zaśmiał.

— No, tak — zawołał — musimy przeczekać. Może i wpływ pani dzieci przyczyni się do tego. Przyda mu się, sędzę, to obcowanie z nimi.

— Pan widział moje dzieci? — zdumiała się Marcja.

— Widziałem je — odrzekł. — Nie mogłem się nadziwić ich swobodzie w obcowaniu. To istotnie zdumiewające, jak na młody ich wiek.

Mówił to z rezerwą, ale uśmiech na ustach zanikał mu teraz. Marcja odrzekła:

— Mam dziwne wrażenie, że nie podobały się panu. Morven w tej chwili potrząsnął ramionami.

— Trudno o tym mówić — odrzekł z wahaniem. — Moje zasady są stare, nie nadają się zbyt do objawiania swych sądów. Byłbym wolał na przykład, gdyby dzieci okazały nieco więcej troskliwości. Gdyby nie popędziły na plażę, jakby nic się nie stało, lecz przyszły tu naprzód, by zobaczyć się z panią.

Teraz Marcja na zmianę zaśmiała się głośno.

— Ale po co? — spytała. — To nie miałoby sensu! Przecież dobrze o tym wiedzą, że mi nic nie zagraża.

— Możliwe — odrzekł z wyrazem niechęci. — Nie będę się spierał, ani nigdy im nie powiem, że postąpiły niewłaściwie. W każdym jednak razie nie widzę powodu, aby je za to pochwalić.

— Jak to dobrze — rzekła — że pan nie jest żonaty! Wyciągnął papierośnicę i podtrzymał ją przed nią.

— A jaka szkoda — dorzucił — że pani tak samo nie osądza tych rzeczy! Ale proszę nie powstawać, nie puszczę pani do nich. Pani musi odpocząć, wygląda na zmęczoną. A Peter jest sprytny, ma głowę na karku. Nie dopuści do tego, aby stała im się krzywda.

Marcja przyjęła zaofiarowany papieros.

— Dziękuję — rzekła. — Jestem zupełnie spokojna, gdy Peter jest z nimi. Pan nie ma pojęcia, jak go lubię i cenię.

— Ja również go lubię — ozwał się Morven. — Ma zdrowe zasady i na pewno nie sprawi mi żadnych kłopotów...

Może obejrzy pani zamek, który odziedziczył po przodkach? Proszę z nim pomówić. Niedaleka tam droga, tylko kilka kilometrów. On nie widział go jeszcze, czekał, aż przyjadę. Nie miał odwagi, by samemu go zwiedzić. Ja również do tej pory nie byłem tam jeszcze. Umówiliśmy się właśnie, że zwiedzimy go dzisiaj.

Marcja zaśmiała się.

— Bardzo będę rada, gdy nadarzy się sposobność... Ale dziś tam nie pójde, nawet szkoda o tym mówić.

— Dlaczego nie dziś? — zapytał zdumiony, podtrzymując jej zapałkę.

Zaśmiała się do niego przez kłębek dymu, puszczony z papierosa. Po chwili odrzekła:

— Bo pan, panie majorze, spełni lepiej to zadanie, gdy nie będzie miał świadków.

Odrzucił zapałkę z widoczną niechęcią.

— Proszę mnie nazywać po imieniu. Na imię mi Eryk. Czy sprawi pani trudność ta forma?

Odrzekła mu żywo, nie spuszczać oczu.

— No nie, Eryku... Ale nie mogę z tej swobody korzystać dowolnie; postępuję tylko tak, jak uważam za stosowne.

— Pani ma pierwszeństwo — odrzekł nerwowo. — Należy się to pani, już ze względu na płęć.

Marcja nieśmiało potrząsnęła głową. Uśmiech na jej ustach począł zanikać.

Po chwili szepnęła.

— Nikt mi nie przyznawał nigdy pierwszeństwa. Nie myślano nawet o tym, że to należy się kobiecie.

Eryk Morven nie odrzekł ani słowa. Ale milczenie to mówiło. Było stokroć wymowniejsze, niż wyrażenie protestu, który zamarł mu na ustach. Marcja to zrozumiała.

Twarcz jej oblekła się lekkim rumieńcem; rozważając to wszystko odwróciła głowę.

Odwaga

Gdy dzieci Marcji zjawily się wreszcie w towarzystwie Petera, było już południe, godzina obiadu. Marcja siedziała bezpośrednio pod skałą, szkicując widoki z wybrzeża i plaży. Eryk Moreven, leżący opodal, spoglądał na niebo i wygrzewał się w słońcu. Na ciemnej jego twarzy rysował się wyraz cichego upojenia.

Marcja zerwała się na widok swych dzieci.

— Nadchodzą nareszcie! — krzyknęła ze śmiechem. — Akurat do obiadu! Cóż się z nimi działo, gdzie tak utknęły?

Myślałam już nawet, że zapomniały o matce.

Morven się dźwignął i spojrział jej w oczy.

— No, tak — zawołał — to stara historia!... Gdy żołądek zaskrzeczy, to zawsze jest głośniejszy w porównaniu z sercem.

— Daj mi pan spokój! — zaśmiała się Marcja. — Dzieci są dziećmi i nie można od nich żądać takiej głębi uczucia...

Nic to nowego... Zawsze tak było.

Grupa zbliżyła się. Widocznie roztrząsano jakiś ważny problem. Dzieci pani Marcji wysunęły się naprzód, Peter szedł w tyle i uśmiechał się dziwnie. Wyglądał w tej chwili, jakby chciał je pogodzić.

— Dobrze, że jest mama! — krzyknęła Goldie. — Zaraz ją spytamy. Ona będzie wiedzieć.

— Nie będzie wiedzieć—upierał się Dennis. — Nie wzięłaby do ręki żywego raka, a cóż dopiero, gdyby miała go ugotować!

Marcja zaśmiała się.

— To prawda — szepnęła, aby Morven mógł słyszeć. Ale teraz spoważniała, zwracając się do dzieci:
— Spokój, dzieci! Znowu się spieracie? Cóż się znów stało, o co wam chodzi?
— Nie spieramy się, mamó — zachnęła się Goldie, nadając sobie pozór przesadnej godności. — Dyskutujemy tak tylko i nie możemy się pogodzić. Dennis ma raka i schował go do kieszeni. Teraz chce go ugotować. A ja mu powiadam, że zanim to zrobi, powinien go oprawić. No, kto z nas ma rację? Niech mama mu powie.
— Nie słuchaj jej, mamó — ozwał się Dennis. — Ona nie wie, co mówi. Hallo! — dorzucił, ujrawszy Morvena. Morven tymczasem uniósł się z trawy i spojrzał na dzieci z wyrazem niesmaku.
— Dzień dobry! — zawołał, podkreślając swe słowa. — Dzień dobry, Madame — skierował się do Goldie.
— O, dzień dobry! — zaśmiała się Goldie. — Wprawdzie nie wiem, kim pan jest, ale wszystko mi jedno.
— Jestem znajomym mamusi — ozwał się Morven. Słowa te wyrzekł cokolwiek pompatycznie.
— Pan major Morven — przedstawiła go Marcja. Goldie zaśmiała się.
— To dobrze, mamusiu, nie będziesz się nudzić. Czy to dla niego tu przyszłaś, gdy zbłądziłaś tej nocy?
— Ale skądże, dziecino! — zmieszała się Marcja. — Nie wiedziałam nawet o tym, że ten pan tu przyjechał.
— Gdybyś była wiedziała, to jeszcze pewniej byś przyszła. Rzekła to naiwnie, jakby kierując się intuicją.
— Mamusia zbłądziła i musiała się schronić — ozwał się Morven. — Była burza i deszcz, mogły porwać ją fale. Co by teraz było, gdybyś ją była straciła?
— A jakże, a jakże! — zaśmiała się Goldie. — Sama sobie winna, nie musiała wychodzić. Nie kocham cię, mamó — zwróciła się do Marcji. — Nie — dodała, gdy ją Marcja ujęła. — Nie pocałuję cię, mamó, nie zasłużyłaś na to.
— Powiem ci coś, mamó — ozwał się Dennis ze złośliwym

uśmiechem. — Jeśli jeszcze raz to zrobisz, napiszę do papy, a papa nas zaraz zabierze z powrotem.

— Bąki! — wycedził przez zęby Morven, zaś Marcja zaśmiała się, zajęta ponownie kończeniem szkicu.

— Czy nie czas już na obiad? — krzyknęła Goldie. — Nad czym tak pracujesz? — zwróciła się do matki, spoglądając na szkic.

— Zabijam sobie czas — ozwała się Marcja. Goldie stanęła za plecami swej matki.

— Za wysoko ujęłaś tę skałę z oddali. To zupełnie niepodobne, nie ma proporcji. Prawda, Den?

Dennis usadowił się tuż obok matki. Nie próbował nawet spojrzeć na otwarty szkicownik. Ale Marcja mu sama pokazała rysunek.

— Jest zupełnie dobry — powiedział krótko.

Marcja zaśmiała się, a Morven także miał uśmiech na twarzy. Goldie spojrzała, szukając sprzymierzeńca. Po chwili rzekła:

— Dennis na pewno nie myśli, jak mówi. Popatrz tylko, Den! To jest ta skała, z której nie mogłeś się wydostać. Ona nie jest tak wysoka, to i ślepy by zobaczył.

Dennis badawczo spojrział na szkic.

— Ona jest znacznie wyższa — osądził ostro.

— Osioł! — krzyknęła oburzona Goldie. — Jestem głodna, mam, czy nie pójdziemy na obiad?

Przystanąła obok Marcji i nie opierała się teraz, gdy ją matka objęła. Po chwili nawet sama otoczyła ją ramieniem.

— Zostaw już to wszystko i chodźmy coś zjeść — poczęła nalegać.

— Dlaczego mamusia ma przerwać swą pracę? — ozwał się Morven. — Czy dlatego jedynie, że chce ci się jeść?

Goldie zmierzyła go wzrokiem pogardy.

— To powinno wystarczyć — odrzekła butnie. — No powstań, mam, tak zawsze się guzdrzesz... Możesz potem wrócić, gdy ci sprawia to przyjemność.

— Potem będzie deszcz — rzekł Morven zgorszony.

Goldie nie zwróciła na te słowa uwagi. Pochwyliła ołówek, który trzymała jej matka, i nie chciała go puścić.

— No chodź już, mam! Robi się późno.

Marcja po chwili poczęła ulegać. Spojrzała na Morvena, nim uniosła się z miejsca.

— Trzeba mi iść — wyrzekła bezradnie. — Młodość ma prawa, nie odstępuję od żądań.

— Zwłaszcza w wypadku, gdy chodzi o żołądek.

— Nie cierpię ludzi — zachnęła się Goldie — którzy udają rozmyślnie, że nie chce im się jeść.

— Obżarstwo jest grzechem — zaśmiał się Morven. — Pani doprawdy już idzie? — skierował się do Marcji. — Kiedyż w takim razie spotkamy się znowu?

— Wkrótce, przypuszczam — zaśmiała się lekko. — Jeśli pozwoli wam czas, to odwiedźcie nas kiedyś, pan i Peter. Mieszkamy niedaleko, tuż obok poczty. W tym małym domku naprzeciw torfowiska.

Goldie w tej chwili podeszła do Petera.

— Tak, panie Peter, niech pan nas odwiedzi. Jeśli będzie niepogoda, to zabawimy się w domu. Albo w karty zagramy, albo urządzimy sobie piknik.

— Dobre zajęcie — zaśmiał się Peter. Marcja zwróciła się również do niego.

— Dziękuję za gościnę — powiedziała szczerze. — Za odstąpienie mi pokoju i za wielki trud, który pan mi poświęcił. Może złoży się kiedyś, że potrafię się odwdziaczyć.

— Drobnostka, Madame — zarumienił się Peter. — To doprawdy nie warte, aby o tym...

— Pan poczerwieniał w tej chwili — ozwała się Goldie. — Nie rób pan tego, to dziś już niemodne. Bardzo panu dziękuję, że wyrządził jej grzeczność. To doprawdy było miłe, moja mama to lubi.

Rzekłszy te słowa, ominęła Morvena, nie darząc go nawet przelotnym spojrzeniem, potem pobiegła naprzód, zostawiając matkę daleko za sobą.

— Nie lubię majora — ozwała się butnie, gdy matka po chwili zdołała ją dopędzić. — Strasznie jest dumny i zanadto się panoszy.

Marcja spojrzała z wyrazem powagi.

— Jesteś za młoda, moje dziecko — rzekła po chwili — i za mało doświadczona, by wyrażać opinię o nieznanym ci osobach. Takie dzieci jak ty, nie mają jeszcze prawa wypowiadać swych sądów.

— Świetnie, mamusiu! — zaśmiał się Dennis, zadowolony z odprawy, którą dała jej matka. — Ona zawsze się miesza, tam gdzie nie trzeba! Ale powiedz coś o nim, czy już dawno się znacie? Poznałaś go zapewne w czasie służby na wojnie?

W oczach Marcji pojawiły się błyski.

— Tak — odrzekła, zwrócona do syna. — Poznałam go w szpitalu, gdzie pracowałam. Był bardzo dzielny i odznaczył się w wojnie.

— Czym się odznaczył? — zaśmiała się Goldie. Zadała to pytanie z widocznym niedowierzaniem.

Marcja zamilkła, a oczy jej zasnuły się mgłą. Po chwili ozwała się, jakby walcząc z oddechem:

— Przede wszystkim odwagą, której złożył dowody. Mało znałam ludzi tak śmiałych i odważnych.

Goldie spojrzała, jakby zdumiona tą opinią. Nie mogła tego pojąć, co usłyszała od matki. Po chwili wyrzekła:

— A założę się z mamą, że lękał się czasem.

— To prawda, moje dziecko, ale groza wśród wojny jest zjawiskiem codziennym. Co innego czuć grozę, a co innego być tchórzem. Pan Morven był dzielny, choć odczuwał niebezpieczeństwo. I to właśnie nazywam odwagą. Wszyscy go znali z tej wielkiej odwagi.

Goldie się zawahała.

— Nie mogę tego pojąć, jak można się lękać i jednocześnie być dzielnym. To zupełnie co innego, to się nie da pogodzić.

Dennis jednak pojął znaczenie tych słów.

— Dziewczyna tego nie rozumie — powiedział z dumą. Spojrzał w tej chwili z szacunkiem na matkę. Niebawem zaś dodał:

— Ale zdaje mi się, mamo, że ja pojmuję.

Marcja spojrzała z wyrazem uznania, ale odwróciła się zaraz, spoglądając na córkę. Zrobiło jej się żal, że złajała ją przedtem cokolwiek zbyt ostro.

— Ale i dziewczynka to rozumie, nie może być inaczej. Nieprawda, Goldie? No, powiedz, aniołku.

— Nie znam się na tym — skrzywiła się Goldie. Słowa matki nie wywołały widocznie pełnego wrażenia. Zamyśliła się nieco, a potem dodała:

— W każdym jednak razie pan major nie odznacza się gładkością manier. I dlatego go nie lubię. Gdyby słyszała jednocześnie, co mówił Morven, jej antypatia do niego przybrałaby formę wyraźnej nienawiści. Wracał w tej chwili z Peterem do domu i nie szczędził swych uwag, rozprawiając o dzieciach. Czynił to szczerze, bez żadnych osłonek.

— Do czego to dojdzie? — ubolewał z goryczą. — Takie dzieci jak Marcji są istnym ciężarem. A jeśli wziąć pod uwagę, że i wszystkie inne są w typie podobnym, to kogóż to zdziwi, gdy postarają się wkrótce o przedstawicieli do sejmu i nawet własnym rodzicom narzucają swe prawa? W warunkach obecnych nawet i to jest możliwe.

— Nawet bardzo prawdopodobne — ozwał się Peter.

Morven ze złością ogryzał papierosa. Nie umiał opanować wzburzenia swych nerwów.

— Taka miła kobieta, a tak straszne potomstwo! Chłopak jeszcze ujdzie, ale gdy pomyślę o tej małej.

Goldie by schlebiło, gdyby mogła być świadkiem, jak zachował się teraz broniący jej Peter. Nie chciał się spierać ze zdaniem kuzyna, ani wyraźnie mu oświadczyć, że znajduje się w błędzie, ale słowa, które wyrzekł, nie ukrywały sympatii dla poznanej towarzyszkii.

— Za surowo ją sądzisz — rzekł do Morvena. — Ma pęd do swobody i objawia samodzielność. Ale trudno kogoś sądzić, nie poznawszy go naprzód. Zauważyłem tylko tyle, że ma sporo odwagi.

Morven odrzucił ogryziony papieros i ujął pod ramię towarzyszącego mu kuzyna.

— I tu jest różnica między obu generacjami; między moją i twoją — zaśmiał się głośno. — Nie lubię wyuzdania, a razi mnie szczególnie, gdy spotykam je u dzieci. Matka jest za słaba, by utrzymać je w korbach. Czy wyobrażasz to sobie, jakby się zachowała w obliczu niebezpieczeństwa?

— Nie mam pojęcia — odezwał się Peter. — Zdaje mi się jednak, że zadziwiająco spokojnie.

— Zadziwiająco spokojnie! — powtórzył Morven. — Ten spokój miał godność, niebywale dostojeństwo. Nie spotkałem kobiety, o tak wielkiej odwadze. Śmiało mogę rzec, że setkom naszych ludzi przyświecała przykładem. I właśnie w tej chwili, gdy ogarniała ich groza!

Peter

— Teraz powiedz coś o sobie, ale dużo i dokładnie — ozwała się Goldie.

Peter się ociągał, był skromny, jak zawsze. Goldie spojrzała mu bystro w oczy i po chwili ciągnęła:

— Nawet nie wiem do tej pory, jak się nazywasz. Powiedz mi o wszystkim. Gdzie przebywałeś, gdzie się kształciłeś, jakie masz szkoły, jakie masz plany.

— Nie warto o tym mówić — przerwał jej Peter.

— Chcę jednak wiedzieć — skrzywiła się Goldie. — O mnie wiesz wszystko, już wszystko ci powiedziałam, a ty ani słowa mi nie chcesz powiedzieć. Czy to ładnie, Peterze? To doprawdy jest głupie, zupełnie bez sensu.

Byli w tej chwili w pobliżu zatoki, w parę tylko dni po pierwszym spotkaniu. Dennis był z nimi, ale oddalił się teraz, gdyż pociągały go skały, zaś Goldie zadowolona, że znalazła się sama, nie nakładała sobie tamy, by zaspokoić ciekawość.

— Taką mam naturę — tłumaczyła się przed nim. — Każdego, kogo znam, chcę poznać gruntownie, a ty przecież także nie szczędziłeś mi pytań. Pytałam nawet mamy, czy nie ma informacji, ale mama była zdania, że najlepiej ich zasięgnąć bezpośrednio u ciebie. To dziwne, doprawdy, bo nie wiem, dlaczego.

— Jak to pięknie z jej strony — powiedział Peter.

— Tak, to jest prawda — przyznała mu Goldie. — Ale dlaczego to ukrywa, dlaczego tak wszystko osłania tajemnicą?

— Mylisz się, Goldie — odezwał się Peter. — Bo po cóż by ukrywała, skoro prędzej czy później i ty się o tym dowiesz.

— W tym tkwi tajemnica! — zachnęła się Goldie. — Ja od dawna to przeczuwam, to jasne jak słońce. Ale co to może być, dlaczego mi nie mówisz? No, powiedz, Peterze! Może o ojca twego chodzi? Popułnił jakieś głupstwo, przeskrobał coś może?

— Nie — rzekł Peter. — Mój ojciec nie żyje, poległ na wojnie. Czy nie dobrze, że poległ, jak sądzisz, Goldie?

— Ach, nie nudź mnie, Peter... Mów zatem dalej... Więc o czym mam usłyszeć i czego się dowiedzie?

— Czas jeszcze na to, nie powiem ci teraz.

— Nieznośny! — krzyknęła, trącąc go łokciem. — Sam powiedziałeś, że dowiem się kiedyś. Więc po co to ukrywać i po co przeciągać? Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz?

— Peter Tregassa — przedstawił się Peter. Goldie szeroko rozwarła oczy.

— Peter Tregassa? — spytała zdumiona. — Czy mówisz to serio? Nie stroisz sobie żartów?

— Nie lubię żartować — odrzekł z powagą. — Powiedziałem ci prawdę.

Spojrzała mu w oczy, nie wiedząc, co myśleć.

— Słyszałam o majątku, należącym do Tregassów. Czy jesteś może krewnym właściciela pałacu?

— Jestem nim sam.

Żrenice Goldie błysnęły jak świece.

— Czy to prawda, Peterze, nie kłamiesz świadomie?

— Zaręczam, że prawda — powiedział Peter. — Ale nie cieszę się z tego, mam raczej kłopoty.

— Zamek Tregassa należy do ciebie? Goldie jeszcze ciągle nie mogła się ocknąć. Peter przytaknął.

— Jeszcze raz powtarzam, że wolałbym go nie mieć.

— Jesteś więc księciem, lordem, albo kimś innym podobnym?

— Zaledwie baronetem — odrzekł Peter. — Ale i tego nie pragnąłem — dodał po chwili.

Spojrzała badawczo, zaś Peter się zmagał, by stłumić rumieniec. Wreszcie dorzucił:

— Nie nadaję się do tego. Nie mam ku temu odpowiedniej edukacji.

— Jesteś Peter Tregassa? — spytała go znowu.

— Tak — rzekł Peter, rumieniąc się nagle na przekór wysiłkom. — Czy nie brzmi to dziwnie, być może i głupio? Ale widzisz, moja Goldie: wojna ich zmiotła, ani jeden nie został.

Goldie ostatecznie nabrała przekonania.

— Głupie to nie jest — odrzekła wreszcie. — Powiedziałabym raczej, że bardzo wskazane. Ale co pan Morven ma z tym wspólnego?

— Wyznaczono go obecnie na mego opiekuna. Dobry z niego człowiek. W każdym jego słowie przebija życzliwość.

Goldie powstrzymała się od dalszych uwag. Interesował ją teraz jedynie Peter.

— Czemu mi mówisz, że nie posiadasz edukacji? Jeszcze nie jest za późno. Mógłbyś się wpisać do któregoś Collegium.

— Ja... — rzekł Peter.

Urwał na chwilę, jakby gromadząc energię, nim da odpowiedź. W końcu wybuchnął:

— Miałbym pójść do Collegium, aby dać się tam wyśmiać? Nie, moja Goldie. Nie zrobiłbym tego.

— Nikt cię nie wyśmieje — odezwała się Goldie. — Mogę cię zapewnić, że cię bardzo polubią.

— Wcale mnie nie polubią — zachnął się Peter. — Wytworzyłyby się z tego wzajemna nienawiść. Szkoda zresztą mówić; nie pójdę i basta. Mówiłem już o tym z kuzynem Erykiem. Na szczęście podziela moje zdanie w tym względzie.

— Ale ja go nie dzielam — wzburzyła się Goldie. — Byłbyś bardzo nierozsądny, gdybyś nie starał się doksztalić. Zamilkła na chwilę, nie wiedząc, jak skończyć.

— Aby zostać dżentelmenem? — poddał jej Peter. Ciemna jego twarz posiniała ze złości.

— Niekoniecznie dlatego — odrzekła Goldie. — Chodzi tylko o to, aby osiągnąć stąd korzyść. Abyś nauczył się czegoś, o czym nie masz pojęcia.

— Na diabła mi nauka — odmruknął Peter. — Mam pociąg do malarstwa, to jedyne, co lubię. Nie zaszedłbym daleko, gdybym zaczął się uczyć.

— To głupie, co mówisz. Musisz to nadrobić, co dotąd zaniedbałeś. Czy nie wstyd ci się przyznać, że nie chodziłeś do szkoły? Przy odrobinie woli szybko byś osiągnął odpowiednie wykształcenie.

Peter się zadumał. Nie odrzekł ani słowa, ale Goldie wyczuła, że nie zdoła go nakłonić.

Nie ustawała jednak w walce. Wytaczała coraz nowsze i silniejsze argumenty.

— Będziesz żałował tego kiedyś, gdy nie usłuchasz mojej rady. To brednie, co mówisz, że nie zależy ci na tym. Musi ci zależeć, tak jak innym zależy. Parę jeszcze lat, a staniesz się mężczyzną. Zechcesz się ożenić. A będąc baronetem, zapragniesz oczywiście, odpowiedniej kobiety. Czy zdajesz sobie sprawę, co wtedy się stanie?

— Nie mogę sobie wyobrazić — powiedział Peter. Na bladych jego ustach zaigrał uśmiezek.

— Przyszła twoja żona okaże ci pogardę. Będzie mierzyć cię spojrzeniem od góry do dołu.

Goldie triumfowała, wytaczając ten argument. Zaśmiała się dziko i po chwili ciągnęła:

— Czy będzie ci z tym miło, gdy uczujesz się poniżony? Wyobrażam już sobie, jak będziesz się martwił. Ale będzie już za późno, nie zdołasz jej przekonać.

— Nie ożenię się z taką, która nie zechce mnie uznać.

— Ale żadna cię nie uzna — nacierała nań Goldie. — A będziesz musiał się ożenić; jak nie z jedną, to z drugą.

— Dlaczego będę musiał? — zdumiał się Peter.

— Bo każdy się żeni, to weszło już w zwyczaj.

Goldie uniosła się — traciła cierpliwość. W końcu wytoczyła jeszcze jeden argument:

— Przecież musisz mieć syna, by odziedziczył majątek. Peter się zaśmiał.

— I to ma być powód? Głupstwo, moja droga, nie martwię się o to. Eryk jest ostatnim z żyjących jeszcze krewnych. Mianuję go dziedzicem i zostawię mu majątek.

— Ale nie przekażesz mu tytułu, on inaczej się nazywa. Tytuł więc wygaśnie — ciągnęła surowo. — A wszystko przez ciebie, przez twe własne niedbalstwo. Jedynie dlatego, że nie chciało ci się uczyć.

— Co za straszne perspektywy! — zaśmiał się Peter.

— Śmiejesz się teraz—obruszyła się Goldie.—Ale później będziesz płakał, pożałujesz tego śmiechu. Zobaczysz, Peterze, że zmarnujesz sobie życie. A już nikt ci nie poradzi, bo będzie za późno.

— Przestań już, Goldie! — ozwał się Peter.

— Nie przestanę — odrzekła — ja muszę cię ostrzec. Zamykasz teraz oczy, aby nie widzieć tych faktów. Ale to pomści się potem, to musi się pomścić. Przekonasz się jeszcze, jak strasznie zbłądziłeś.

— No, spójrz teraz na mnie — powiedział Peter. — Czemu mnie nie mierzysz od góry do dołu? Nie widziałem do tej pory, byś okazała mi pogardę.

— To zupełnie co innego — wtrąciła Goldie. — Po pierwsze dlatego, że jeszcze sama się uczę. A po wtóre, mój drogi, że teraz są wakacje.

— Rozumiem — rzekł Peter. — Ale nie wiesz jeszcze teraz, jak postąpisz w przyszłości? Czy omyliłem się może, mówiąc to za ciebie?

— Nie chcę o tym mówić — odrzekła wyniośle. — Ale jedno jest pewne: gdy człowiek się starzeje, staje się wybredny. Przykłada wtedy wagę do każdej drobnostki.

— Innymi słowy — zaśmiał się Peter — gdy dojdiesz mniej więcej do lat osiemnastu, to nie zechcesz mnie znać, nie poznasz mnie nawet?

— Oczywiście, że nie zechcę, gdy nie skończysz Collegium. Mówiąc te słowa, podniosła głowę. Peter w tej chwili obrócił się od niej.

— Dobrze — rzekł, nie patrząc jej w oczy. — Możesz już teraz przestać mnie znać. Bądź zdrowa, Goldie! Nie czekał odpowiedzi i pobiegł na piaski. Goldie stanęła, jak przykuta do ziemi. Uważała go dotąd za oddanego towarzysza, który potrafi ocenić okazywaną mu życzliwość. Nie mogła tego pojąć, że zbuntował się teraz. Świadomość, że ją rzucił, zaparła jej oddech. Peter — ten dobry, prostoduszny towarzysz jej zabaw, który na każde zawołanie był gotów do usług!

Okrzyk jej pasji, który brzmiał wyraziście, gdyż i złość i żal nadawały mu wyraz — doleciał go wprawdzie, gdy pędził po piaskach, ale Peter nań nie zważał, nie obrócił się nawet. Nie zmienił kierunku swej drogi na oślep. Jakaś dziwna stanowczość kierowała nim teraz, coś więcej, niż stanowczość — po prostu zaciekłość.

Ale nagle się zatrzymał. To prawda, co twierdził: nikt nie miał prawa zakłócić mu spokoju. Goldie istotnie nadużyła swej swobody. Doprowadziła go nawet do stanu wzburzenia. Ale czy zasłużyła sobie na to, by ją podobnie potraktował? Czy nie okazał jej tym samym owego braku kultury, o który go oskarżyła? Była jeszcze dzieckiem, niewątpliwie zasłużyła na udzielenie jej lekcji, ale nie jego było sprawą zastosowanie tych środków. Czy takie szorstkie potraktowanie było cechą dżentelmena?

Serce mu drgnęło, jakby uczuł w nim sztylet. Palił się ze wstydu, zrozumiał swój nietakt. Nagle, bez namysłu, zawrócił ze swej drogi. Nie mógł się pogodzić z tym wszystkim, co zrobił. Uprzytomnił sobie teraz, że to on był tym, który postąpił niegodnie. Za daleko się posunął, ulegając swej pasji.

Goldie dostrzegłszy go, porzuciła znienacka swą martwą postawę. Ruszyła się nagle i zaczęła biec, nie zważając na skały i kałuże błota, które zagraadzały jej drogę. Zdjęła kapelusz, by nie ściągnął go wiatr, by włosy tym mniejszy stawiły mu opór. Powiewały jak fale i burzyły się w słońcu. Otoczyły jej twarz, jakby złotą aureolą.

Dosięgli się wreszcie. Przystanęli obok siebie bez tchu i pamięci. Goldie zachwiała się. Upadła mu ciężko w otwarte objęcia. Łzy potokami ściekały jej po twarzy.

— Jak mogłeś! — dyszała — jak mogłeś, Peterze?

Peter, podtrzymując ją, dziwił się sam, że mógł tak postąpić. Nie wiedział, co odrzec, był strasznie zmieszany.

— Wybacz mi, Goldie! — wyjąkał bez tchu. — Postąpiłem jak brutal, nie gniewaj się na mnie! No, nie płacz Goldie, uspokój się, mała!

Goldie tylko z trudem zdołała się przemóc. Peter ją objął i poniósł ku wybrzeżu.

Wśród łez rzekła ze szlochaniem:

— Nie myślałam nawet o tym, że potrafisz mnie porzucić.

— Nie zależało ci na mnie — odezwał się Peter.

— Nieprawda — jęknęła — zależało, zależało...

Potrąciła go łokciem, jakby chcąc go ukarać. Otarła sobie oczy i po chwili dodała:

— Zawsze myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Jesteśmy, Goldie — zawołał stanowczo. Na ustach dziewczyny pojawił się uśmiech.

— Nie okazałeś mi tego — rzekła po chwili. — Czy nie mogę tak sądzić, oceniając twe zachowanie? Ale nie mówmy już o tym, zapomnijmy o wszystkim.

Chwytiła go za ramię i ścisnęła mocno.

— Ja również byłam winna — przyznała z uśmiechem. — Teraz już rozumiem, o co ci chodzi. Jeśli nie chcesz się uczyć, to nie moja to sprawa. To mnie nic nie obchodzi.

— Dziękuję — rzekł Peter, szczerze zadowolony, że zrobiła ustępstwo. — Bardzo to uprzejmie i miło z twojej strony.

— Nie widzę w tym uprzejmości — odcięła się Goldie. — Powiedziałam, co myślę. Nie ustąpiłabym tak łatwo, gdyby szło o innego. Ale z tobą jest inaczej. Uznaję cię takim, jakim jesteś w istocie.

— Dziękuję — rzekł Peter, ujęty zgodą. — Spodziewam się, Goldie, że nie zmienisz już zdania?

— Nie, nie zmienię go — rzekła stanowczo. — A teraz chyba nic nie zakłóci nam przyjaźni?

Peter się zaśmiał.

— Nigdy! — zawołał z wyrazem triumfu.

Czuł się szczęśliwy. Był szczerze przekonany, że Goldie spełniła jego wszystkie życzenia.

Poszli teraz dalej w kierunku wybrzeża, pogodzeni już ze sobą, z dziwnym szczęściem, które napawało ich serca.

Spotkali Dennisa, schylonego nad bagnem. Gdy podeszli doń bliżej, spojrzał na Goldie z wyrazem nieufności. Nie mógł tego ukryć, że podejrzewa ją o coś.

— Wyglądasz spłakana — rzekł do niej. — Cóż to ma znaczyć? — zapytał ją ostro.

Peter niezwłocznie wymyślił odpowiedź.

— Upadła na drodze i uraziła się w rękę. Ale to przeszło po chwili, już wszystko w porządku.

Dennis się nachmurzył.

— Z dziewczętami tak zawsze. Beczy to zaraz, choć nie wie, dlaczego.

Te słowa ją ubodły, chciała się odciąć, ale Peter znowu ją ubiegł.

— A ty będziesz beczał, gdy będzie za późno. Miałbym ochotę natrzeć ci uszu.

Dennis nie dowierzał tym gromkim słowom. Obrócił się zaraz, a po chwili wycedził:

— Lepiej byś zrobił, nie udając wariata. Zapominasz widocznie, że życie jest krótkie.

Peter przemilczał uwagę Dennisa. Nieporozumienie tym samym natychmiast upadło.

Młodość

— Jak pani sądzi? Czy ten pobyt pani służy? — odezwał się Morven. Zdażali ku brzegom torfowiska. Marcja trzymała szkicownik w ręce. W oddali roztaczał się widok wybrzeża, który wydał jej się trudny do narysowania. Jeszcze wczoraj, gdy tu byli, uznała to w duchu. Sporo lat temu, gdy była jeszcze panną, ołówek w jej ręku używany był z wprawą. Późniejszy jednak okres, wciągający ją raczej do zajęć domowych, nadwerżył tę sprawność i nabytą rutynę. Spojrzała na szkicownik i odrzekła beztrąsko:

— Mam dziwne wrażenie, że odmłodziłam nad morzem. Morven się zaśmiał.

— Pani również to dostrzega?—zapytał po chwili. — Jednego tylko szkoda: że nie posiada pani daru, aby i dzieciom swoim wpoić to poczucie młodości.

— Pan ma dziwną awersję do obecnej generacji. Morven się strapił. Otrząsnął się jednak i po chwili ciągnął:

— Pani jest w błędzie, Marcjo. Jeśli chodzi o ścisłość, to my przedstawiamy obecną generację—ja i pani. Dzieci niestety, należą do przyszłej. Nie widzę w nich nic, co by pociągało mą duszę. Dziecko, gdy podrośnie, będzie już stare. Takie dzieci jak pani już teraz są stare.

Zaśmiała się tylko, nie wiedząc, co odrzec. Poufalskość jego tonu, którą stosował tak często, gdy znajdowali się sami, wydała jej się teraz czymś naturalnym. Jakby zewnętrznym znakiem tej duchowej przyjaźni. Takich przyjaciół z urodzenia poznaje się instynktownie. Był nim na pewno Morven.

— Ale oto jest miejsce, jak wymarzone dla celu! Zostanę tu chwilę i spróbuję szkicować. Obawiam się tylko, że przyłapie nas deszcz.

Rozłożył krzesło, które przyniósł ze sobą, a gdy Marcja usiadła i zaczęła szkicować, oddalił się od niej i zapalił fajeczkę. Błądził bez celu i zatopił się w myślach.

Dzień był posepny, niebo ponure, pokryte chmurami, ale wiatr je rozpędzał od czasu do czasu, a wtedy na chwilę przebijało się słońce. Morze burzyło się, spienione jego fale mruczały i huczały, można było rzec, że dostrajały się nawet do myśli Morvena. Niebawem powrócił. Marcja tymczasem śpieszyła ze szkicem.

Przystanął koło niej i obserwując ją z boku, przez chwilę milczał. Nagle wybuchnął:

— Nie widziałem na ziemi piękniejszej kobiety. Wyobrażam sobie panią w sukni balowej.

Potrząsnęła głową, a w kątach jej ust pojawił się uśmiech.

— No nie, Eryku, nie zaliczam się do typu kobiet do zabaw. Jedyne, o czym myślę, to wyciągnąć z mego życia jakąś korzyść dla ducha.

Spojrzał jej w oczy i dumiał przez chwilę.

— A więcej o niczym? — zapytał zdumiony. Na ciemnej jego twarzy pojawił się uśmiech. Trudno było orzec, czy spytał poważnie.

Marcja niewzruszenie kończyła swój szkic. Po chwili rzekła:

— Siega się po wszystko, co da się wyzyskać. Takie już jest życie, to jest jego cel.

Morven milcząco potwierdził to zdanie. Zaśmiał się dziwnie, a po chwili dodał:

— Owoc zakazany smakuje najlepiej.

— Pan jest dziwnie zgnębiony — ozwała się Marcja — Czy pan często się poddaje tak wielkiej depresji?

— Czy przygnębiam i panią? — zapytał troskliwie.

— No nie, Eryku, nie poddaję się łatwo. Urwała na chwilę, by wygładzić swój szkic.

— A zresztą — dodała — nie biorę tego serio. Mam dziwne wrażenie, że pan nie mówi poważnie. Gdybym była tego pewna, że mnie mylą pozory.

— To co? — zapytał, zbliżając się do niej. Pochyliła się znowu nad kartą szkicownika.

— To współczułabym panu — odrzekła po chwili. — Nie lubię o tym wiedzieć, gdy któryś z mych przyjaciół nie czuje się szczęśliwy. — Ciekawam, co dzieci robią w tej chwili?

— Czy zależy pani na tym? Mogę je odszukać, jeśli o to pani chodzi. Marcja przecząco potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję, proszę się nie trudzić. Pan ich nie lubi, będą pana nudzić. Jestem spokojna, gdy Peter jest z nimi. Morven się zaśmiał.

— Prawda, Peter spokorniał obecnie, jak młody baranek. Zawdzięcza to zapewne wpływowi córeczki. Pani to tak samo musiała zauważyć.

— Nie zdaję sobie sprawy — zaśmiała się Marcja.

— Jeśli nie mylą mnie pozory, to nie pierwszy to jej triumf.

— Dlaczego pan tak sądzi? — spytała Marcja. — Przecież to dziecko jeszcze i zupełnie naiwne. A Peter, jak przypuszczam, nie spokorniał tak strasznie. Goldie go poważa, ma respekt dla niego.

— Choć jeden się znalazł, dla którego ma respekt. Ale czy słyszała pani o tym, że on uczy się powozić?

— Tak, słyszałam. Pragnąłby nas zawieźć do zamku Tregassów. Słyszałam to od Goldie wczoraj wieczorem. Wyrzekła te słowa z jakąś dziwną nieufnością.

— I cóż pani na to?

— Powiedziałam jej tylko, że porozumiem się z panem. I że nakłonię go może, by powoził osobiście. Morven się zaśmiał.

— Bardzo roztropnie — odrzekł po chwili. — Ale możemy inaczej załatwić tę sprawę. Dzieci mogą iść, odległość niedaleka, tylko parę kilometrów, my zaś oboje wyruszymy powozem. Cóż pani sądzi? Czy dobry mam pomysł?

— Świetny — odrzekła. — Cieszyłabym się nawet, gdyby ten plan się udał.

Spojrzała ponownie na wykończony już szkic. Po chwili dodała:

— Ale co będzie z dziećmi... Może nie zechcą się zgodzić? Morven się zachnął.

— Któż by się tym martwił, czy zechcą czy nie zechcą? To doprawdy niesłychane, pani psuje swoje dzieci. Do czegoż to doprowadzi, gdy się będzie im ulegać? To jest właśnie powód, że opanowały tak panią. Gdyby Goldie знаła klapsy, gdy była jeszcze mała, okazywałaby dzisiaj nieco więcej umiaru. I szanowałaby panią, nie była tak butna. Teraz idę do Petera i powiem mu zaraz, że rzecz załatwiona. Odwiedzę dziś panią, niedługo po południu, i zabierzemy prowianty oraz trochę naczyń. Zamek jest pusty, nawet nie ma w nim służby. Myślimy właśnie o tym, aby sprowadzić dozorców. Gdy Peter tam zamieszka, nie może być sam.

— Chciałabym zobaczyć, jak zamek wygląda.

— Postanowione już zatem! Pojedziemy powozem, szosą ciągnącą równolegle do wybrzeża, dzieci zaś pójda w kierunku torfowisk. Jeśli chodzi o odległość, to ta droga jest krótsza i znacznie łatwiejsza.

Nie posiadał się z uciechy, promieniał, mówił to wszystko z młodzieńczym zapałem. Po chwili dorzucił:

— A gdy szkic będzie gotów, to czy mogę się spodziewać, że otrzymam go w podarku? Bardzo o to proszę. Będzie on miłą pamiątką spędzonych tu chwil.

— Czy życzy pan go sobie? — zaśmiała się Marcja. — Nie udał mi się jednak, ma pewne usterki.

— Z serca go pragnę. Wydaje mi się lepszy, niż wszystkie inne, które widziałem dotychczas.

Rzekłszy te słowa, odwrócił się od niej, pragnąc czym prędzej odszukać Petera.

Rozlane mleko

Propozycja Eryka została przyjęta. Dzieci z Peterem ruszyły piechotą, zaś Marcja tymczasem zabrała prowianty i uporawszy się z pracą, związaną z wyjazdem, podeszła do okna, czekając Morvena. Nawet teraz, przy oknie, dokonywała poprawek na skończonym już szkicu.

Tak bardzo się zajęła wygładzaniem swej pracy, że przerwała dopiero, gdy turkot kół ją obudził z zadumy. Zerwała się nagle, pozdrawiając Morvena, który wysiadł z powozu.

— Mamy cudne popołudnie! — krzyknęła wesoło. Przystanął obok okna i wyciągnął rękę.

— Czy dostanę go teraz? — zapytał z uśmiechem.

— Nie jest jeszcze dobry — odrzekła z wahaniem. — Poprawiam go właśnie. Może zatrzymam go jeszcze, by usunąć usterki?

— Nie! — wykrzyknął. — Chcę go takim, jaki jest.

Mówił to stanowczo, ale w kątach jego ust pojawił się uśmiech. Po chwili podjął:

— Nie żądam poprawek, on i teraz jest świetny. Wolę, by pozostał w swym pierwszym ujęciu.

Marcja uległa.

— Owinię go w kopertę — rzekła z uśmiechem. — Teraz pomóż mi pan jeszcze spakować prowianty. Zebrałam już wszystko, co było potrzebne.

Wspiął się na okno i przesadził je zgrabnie. Zrobił to wszystko bez żadnej ceremonii.

— Szkoda, że dzieci nie zabrały swych porcji. Wyruszylibyśmy teraz w przeciwnym kierunku.

Marcja spojrzała z wyrazem zdumienia.

— Dlaczego? — spytała. — Od dawna pragnęłam odwiedzić wasz zamek.

Morven przeszedł się po małym pokoju. Chodził nerwowo tam i z powrotem. Był dziwnie podniecony, nie zważał na formę. Odnosiło się wrażenie, że zerwał z tradycją i nie przestrzega już form, obowiązujących w towarzystwie.

Marcja była rada, że nie był smutny.

— Męczy mnie chodzenie całymi gromadami — zauważył po chwili. — A pani to lubi?

— Wszystko pana nudzi — rzekła z niechęcią. — Nie można się poddawać byle wrażeniom. Przyznam się szczerze, że bardzo już dawno nie czułam znudzenia. Pobyt w tym miejscu ucieszył mnie trochę, zrobił mi dobrze.

Zwrócił się do niej z uśmiechem ironii.

— Skąd taka pewność, że to sprawił tylko pobyt?

Marcja zajęła się składaniem prowiantów. Nie zważała teraz zbyt na tok konwersacji.

— Polubiłam to miejsce — rzekła po chwili. — Wyobrażam sobie teraz, jak wygląda tu w lecie. Rozkosznie, zapewne, jeszcze stokroć przyjemniej. Czy weźmie pan ten kosz? Ale ostrożnie, proszę, jest bardzo obciążony.

— Mogę wziąć wszystko — odrzekł bezmyślnie. — Czy wzięła pani płaszcz? Może przydać się dzisiaj, pogoda niepewna.

— Tak, panie Morven, nie zapomnę o płaszczu. Znajduje się w hallu. A tu jest pański szkic — dodała z uśmiechem.

— Czy mogę go schować, aż wrócimy z wycieczki? Włożę go tymczasem do jednej z tych szuflad.

— Ale klucz wezmę ze sobą — ozwał się Morven. — Nie chcę ryzykować. A co do tamtej sprawy, to nie podzielam opinii, wyrażonej przed chwilą. Tu nie może być rozkoszniej, gdy lato jest w pełni. Tylko teraz jest przyjemnie, teraz, w tej chwili.

— I to jest możliwe — przyznała mu Marcja. — Czy zamierza pan i teraz przeskoczyć przez okno? Wolałabym jednak, aby pan wyszedł drzwiami.

Pośpieszył ku drzwiom i otworzył je dla niej.

— Pójdę za panią — odrzekł usłużnie.

Przewinęła się przez próg bez szmeru, jak zjawą. Słońce świeciło. Powietrze pachniało świeżością wiosny.

Powóz Petera był starą dryndą. Eryk go zakupił dla celów praktycznych — okazjnie po prostu, za tanie pieniądze — ale poznać było po nim, że już dawniej był w użyciu u ludzi początkujących, wprawiających się dopiero w powożeniu.

— Można mu zaufać — powiedział Eryk, gdy Marcja zajęła miejsce w powozie. — Ten chłopak jest pewny, pani może być spokojna. Jedną z jego zalet jest wielka ostrożność.

— Cieszę się z tego — odrzekła Marcja. — Dennis i Goldie nie wyszliby z domu, gdyby im nie towarzyszył.

Morven się zaśmiał i powtórzył:

— Można mu zaufać.

— Wiem o tym dobrze i lubię Petera.

Szosa była wąska, gdzieniegdzie nierówna, ale zupełnie spokojna, pozbawiona ruchu spotykanego na drogach.

Odnaczała się jednakże barwnością widoków. Niektóre z jej odcinków były wprost malownicze. Morze i niebo zlewały się miejscami jakby w jedną błękitną, przepastną całość.

— Czuję się obecnie, jakbym cofnęła się nagle o dziesiątki stuleci — odezwała się Marcja.

Morven się zaśmiał, po chwili zaś dodał:

— Budzi się w pani pierwotna kobieta... Ale pojmuję to teraz... Panią razi zapewne ten wóz sprzed potopu... On sam już wygląda na straszny anachronizm... Czy sądzi pani może, że powinniśmy wysiąść?

— O, nie! — zawołała — ale jedź pan powoli. Chcę się napawać każdym zakątkiem.

Pociągnął cugle i konie w tej chwili ruszyły stępa.

— Ma pani rację — przyznał z ochotą. — Szkoda coś stracić z tych cudnych widoków. Przyznam się szczerze, że i mnie zachwycają, nie widziałem podobnych. Ale nie zdaję sobie sprawy, czy to samej tej miejscowości należy przypisać. Jeśli będę myślał o niej kiedyś, to niezwłocznie i pani mi stanie przed oczyma.

Marcja zaśmiała się. Malowniczość widoków zdawała się docierać do głębi jej duszy.
— Ja podobnie odczuwam doznane wrażenia — rzekła po chwili. — Miejsca wiążą mi się dziwnie ze wspomnieniem osób. Uważam to za szczęście, że zdarzyło nam się spotkać w tak uroczym zakątku.
— Zwłaszcza po rozstaniu w tak strasznym piekle.
Było to pierwsze wspomnienie epizodu poznania, który wśród ognia i grozy zbliżył ich ku sobie. Przyjęła je w milczeniu, nie wiedząc, co odrzec.
Morven tak samo zamilkł na chwilę. Potem ozwał się nagle, spokojnie, lecz stanowczo:
— Właściwie nie widziałem w tym piekła... dla siebie. Gdy wspominam te chwile, wydaje mi się teraz, jakbym spędził je w niebie.
Marcja milczała, on zaś tymczasem zatrzymał karete. Tak bardzo w tej chwili zagłębiła się w myślach, że nie zauważyła tego, iż konie stanęły. Wzrok jej nadal spoczywał w oddali.
Przerwał jej myśli niespodzianym okrzykiem:
— Marcja! — zawołał.
Ruszyła się nagle i zwróciła ku niemu. Przeniosła swe spojrzenie na twarz Morvena, patrząc jasno, zupełnie spokojnie. Nie było w tym wszystkim żadnego zakłopotania.
— Co? — spytała, uśmiechając się z lekka.
— Nie słyszałem jeszcze od pani ani słowa o mężu. Może nie pragnie pani tego lub ociąga się rozmyślnie.
— Nie mówiłam jeszcze o nim? — spytała zdumiona. — Nie zdaję sobie sprawy. Nie wpadło mi na myśl, że to pana zaciekawi.
— Zaciekawia mnie wszystko, co ma łączność z panią — rzekł gorączkowo.
— To pięknie z pana strony — odezwała się Marcja.
— Nie powiedziałbym tego. I dorzucił:
— Nie mogę się przemóc. Mam dziwne zainteresowanie dla spraw dotyczących pani.
— Ta sprawa nie jest zbyt ciekawa — odrzekła Marcja. Po chwili ciągnęła:
— Mój mąż jest człowiekiem ogromnie zajęтым. Nie mówił mi

o tym, ale sama wiem, że we wszystkim kieruje się ogromną ambicją. Osiągnął już teraz niezwykle stanowisko, a nie wątpię nawet, że osiągnie jeszcze większe.

— I uznaje to pani? — zapytał znienacka. Marcja leniwie potrząsnęła głową.

— Nie wiem, doprawdy. Ale w niczym mu nie przeszkadzam, aby czuł się szczęśliwy. Niełatwo jest sądzić albo myśleć za drugiego.

Morven w tej chwili wyjął papierosa.

— Znam jednak ludzi, którzy usiłują to zrobić.

— Nie zaliczam się do nich — odrzekła Marcja. — Jestem zdania, że każdy powinien myśleć za siebie.

— Kosztem drugiego — dodał złośliwie.

— Ach, nie — obruszyła się. — Ale powinno się ustępować. Chodzi bowiem o to, aby nie krępować drugiego, oszczędzić mu rozczarowań. To jest moje zdanie. Czy pan również tak myśli?

Uśmiechnęła się wprawdzie, ale ton jej słów rozbrzmiewał powagą.

— Sądzę — odrzekł — że w warunkach, jak obecne, jest zgoła niemożliwe byście obydwójce byli zadowoleni. Czy jest pani pewna, że nigdy w swym życiu nie doznała rozczarowań?

— Jeśli doznałam ich kiedyś, to z własnego przewinienia. Niejedno już przeżyłam. Za wiele w moim życiu zdarzyło się sposobności.

Morven się zaśmiał.

— Rozumiem — odrzekł — wśród wojny, zapewne. Z dala od więzów domowej atmosfery. I cóż wtedy było?

Ale nagle spoważniał. Po chwili dorzucił:

— Powrót do domu musiał nie być łatwy. Wyobrażam to sobie, jakie sprawiał trudności.

Walczyła teraz ze sobą, by okazać się szczerą. Nie chciała się pozbawić tej jedynej sposobności.

— Pan się myli — odrzekła. — Miałam obowiązki. Oczekiwały mnie dzieci.

— No, oczywiście — przyznał, nie tając niechęci. — Dzieci, małżonek... Czy bardzo się ucieszył, gdy panią zobaczył?

Marcja zamilkła. Na bladym jej czole zjawiała się bruzda.

— A zatem? — nalegał.

Sprawiło mu to rozkosz, że pytanie ją męczy.

— Ucieszył się? — powtórzył, nie spuszczać z niej oka. Odwróciła się od niego ruchem zmęczenia.

— Nie wiem — odrzekła. — Przypuszczam, że tak. Zajęty był zresztą nawąłem pracy.

— Ale i panią czekały nie mniejsze obowiązki. — Jakaś dziwna oziębłość brzmiała w jego głosie. — Podjąć ów ciężar, który rzuciło się niegdyś, może większy nawet teraz niż wydawał się poprzednio, dostosować się do niego i znowu go dźwignąć na zmęczone barki. Nikt się wtedy nie troszczył, aby ulżyć pani.

— Pan nie powinien tak mówić — powiedziała Marcja. — Czy nie widzi pan sam, że to wielce niestosowne? Postępuje pan tak, jakby zależało panu na tym, abym czuła się nieszczęśliwa.

— Nie widzę w tym szczęścia, gdy ktoś syci się popiołem — rzucił po chwili z widocznym podnieceniem. — Nie wiem, doprawdy, co myśleć o pani. I nie zdaję sobie sprawy, który z tych stanów odczuwałbym łatwiej. Ale teraz panią cenię i tak się przejąłem pani sprawami, że nie mogę się przemóc, aby zachować obojętność.

— Pan zanadto mnie ceni — odrzekła spokojnie. Mówiąc te słowa, nie patrzyła na niego. — Może kiedyś w przyszłości zmieni pan zdanie.

— Nie zmieniam zapatrywań — dorzucił z goryczą. Skinęła ręką, nie dając mu skończyć. Po chwili rzekła:

— Nie mów pan o tym, nie poruszajmy tej sprawy. Nie potrafimy tego dociec, gdzie kryje się prawda. Oboje coś niecoś zawdzięczamy przeżyciom, wojna nas uświadomiła, otwarła nam oczy, ale mam szczere przekonanie, że zabrała nam poczucie właściwych proporcji. Podniosła naszą dumę i wzmogła samowiarę. Wydajemy się ważniejsi niż jesteśmy w istocie. Pan ma rację, gdy pan twierdzi, że powrót był ciężki. Ale zawdzięczam to sobie, moim błędom przede wszystkim. Nie byłabym sprawiedliwą, obwiniając o to drugich.

— Pani zanadto jest wyrozumiała, jeśli chodzi o drugich. Marcja zaśmiała się.

— A pan jest stronnicy. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłam źle. Nie należało ich porzucić, tak jak ja to zrobiłam.

— Pani chętnie to zrobiła — zawołał nerwowo — z własnego popędu. I powtórzyłaby to znowu, gdyby zaszła potrzeba.

Marcja milczała.

— I powtórzyłyby to znowu — napierał z zapalem.

— Możliwe — odrzekła — nie zdaję sobie sprawy. Nie jestem jednak pewna, czy postąpiłabym odpowiednio. Zdawało mi się wtedy, że musiałam to zrobić. Może zawinił zapał, który ogarnął nas wszystkich. Ale gdy myślę o tym teraz, nie mogę nie uznać, że miejscem kobiety jest jej dom i ognisko.

Po raz pierwszy wynurzyła tę cichą wątpliwość, która dojrzewiała w niej z wolna, od kilku lat, a teraz wybuchnęła. Uświadomiła sobie zresztą, że milczała za długo. Musiała się zwierzyć z gniozącej ją troski.

Morven zmiękł po tym dziwnym wyznaniu. W głosie zabrzmiała mu nuta współczucia, zdawał się odczuwać rozterkę jej duszy.

— Chciałbym o coś zapytać — odrzekł życzliwie. — Czy była pani szczęśliwa w okresie przed wojną?

Oczy jej spoczęły wśród wód oceanu. Zdawało się, że świadomie zatrzymała je na nich.

— Któż to może wiedzieć? — odrzekła z pokorą. — Trudno na to odrzec, to ukrywa się w głębi. Zapomina się, poza tym. Ale przypuszczam, że tak, tak mi się zdaje. Dzieci były małe, takie miłe, kochane. Szkoda, że pan ich nie znał w tym pierwszym okresie. Na pewno by pan inaczej odnosił się do nich.

Urwała nagle, gdyż słowa jej uwięzły wśród spazmów. Morven się przechylił i spojrzał jej w twarz. Potem ujął jej rękę i zatrzymał ją w dłoni.

Marcja załkała. Wolną swą rękę skierowała ku oczom.

— Jaka ja jestem śmieszna — wyjąkała. — Zawsze tak płaczę, gdy nie pora ku temu. Gdy już mleko się rozlało. A to pan temu winien, pan mnie pobudził.

— Nie myślałem nawet o tym, aby sprawić pani przykrość. Zaśmiała się do niego, ocierając oczy.

— Pan jest zanadto uprzejmy, a ja to wykorzystuję. Wyobrażam sobie teraz, jak umęczyłam tym pana. Zawsze w to wierzyłam, że mam więcej rozsądku.

Morven się zaśmiał.

— Nie należy ukrywać serca przed przyjacielem — odrzekł łagodnie. — Jestem z tego dumny, że zasłużyłem na zaufanie.

— Dziękuję — szepnęła, ujmując jego rękę. — Ale nie chcę, by pan

sądził, że umartwiam się w żalu. Życie jest za krótkie, aby spędzać je w skrusze.

— Zupełnie to uznaję — przyznał jej Morven. Marcja ocknęła się z zadumy.

— Czy nie czas nam ruszyć? Za długo tu stoimy, a do celu daleko. Morven się ociągał.

— Czy mogę o coś spytać? — rzucił po chwili. Spojrzała mu w oczy śmiało i ufnie.

— Oczywiście, że pan może, dlaczegóżby nie?

— Bagatelka — zawołał, nie kryjąc zakłopotania. — Ale chciałbym o tym wiedzieć, to mnie kusi po prostu. Otóż tyle pani daje, poświęca dla ludzi. Czy żałuje pani potem, że okazała im serce? Czy zdarzyło się już kiedyś, że był powód ku temu?

— O, nie — odrzekła — nie zdarzyło się jeszcze. Ale pan mnie przecenia, mój drogi Eryku. Nie jestem wspaniałomyślna.

Zaśmiał się do niej z wyrazem pobłażania.

— Więc nie żałuje pani i tego, co mi dała w przeszłości? Proszę mi nie mówić, jeśli czuje pani żal. Wolałbym nie wiedzieć, gdyby tak było istotnie.

Chciała coś odrzec, ale ostatnie jego zdanie stłumiło jej słowa. Powóz tymczasem potoczył się dalej. Zwróciła się ku niemu i rzekła cicho, jakby już tonem swego głosu pragnęła go uśmierzyć:

— Patrzmy raczej w przyszłość niż w to, co minęło. Nie lubię się zagłębiać w koszmarach przeszłości.

— Ja również tak myślę — odezwał się Morven.

Powóz teraz mknął w kierunku torfowisk a rozmowa na razie urwała się.

Zamek Tregassa

Mury zamku Tregassa, który na pewno pamiętał czasy średniowiecza, wznosiły się szeroko na wysokim wzgórzu, skąd roztaczał się widok na ogrody i morze. Zamek był zniszczony, nie oparł się, widać, zębowi czasu, ale kręte jego schody, które wiodły ku skrzydłom, zapadłe gdzieś i wykazujące braki, nie męczyły zbyt, były dosyć wygodne. Dokoła rozciągały się piękne ogrody. Pamiętały, tak jak mury, kilka stuleci. Okna od zachodu wychodziły na morze. Najpiękniejszy był widok od strony południowej. Zaznaczały się tu wszędzie wysiłki pokoleń, których własnością był pałac. Mury z tej strony pokryte były bluszczem, w ogrodzie naprzeciw, w samym jego środku, wznosiła się dumnie wspinała magnolia. Kto widział ją w lecie, gdy kwitła na słońcu, nie mógł zapomnieć doznanych tu wrażeń. Pośród dużych gazonów, rozsypanych w ogrodzie, wiły się dróżki, pokryte żwirem, wszystkie zaś wiodły ku miejscu przed tarasem, gdzie rosły aloesy i olbrzymie palmy. Otaczały je zewsząd grzędy róż, i długo kwitnących, egzotycznych kwiatów. Odnosiło się wrażenie, że bogactwa natury, zebrane w tym miejscu, przetrwają bez szkody i dalsze stulecia.

Droga, która biegła od strony północnej, wiodła bezpośrednio ku okazałej bramie. Cała była wykonana z ciężkiego żelaza. Po obu jej stronach spoczęły na cokółkach wyciosane w kamieniu postacie smoków. Opodal wznosiła się budka portiera. Ale teraz była pusta, a żelazne wrota na oścież otwarte. Morven bez przeszkody wjechał od razu w aleję sosen, ciągnącą się za bramą.

— Ach, jak pięknie! — odezwała się Marcja. — Ile dostojęstwa i ducha przeszłości! Wyobrażam sobie teraz, jak Peter się cieszy!

— Jeszcze nie zżył się z myślą, że ten zamek jest jego — zaśmiał się Eryk.

— Poznać po tym miejscu, że brakuje w nim pana! Spojrzała na mury z wyrazem współczucia. Po chwili dodała:

— Czy nie żal, że jego prawi dziedzice zginęli tak marnie?

— Dziwnie tu ponuro — rzekł Morven, zatrzymując karetę przed bramą pałacu. — Zwłaszcza z tej strony. Tu naprawdę pokutują wspomnienia przeszłości. Widok od południa jest bardziej pogodny. Chodźmy nieco dalej, może stamtąd zaczniemy?

Poprowadził ją dróżką, która wiodła bezpośrednio ku ogrodowi. Doszli w ten sposób aż do palm przed tarasem.

Marcja przystanąła, jakby nagle oczarowana wspaniałością widoku.

— Cudownie! — krzyknęła. — Co za śliczny zakątek!

Eryk stał obok, nie mówiąc ani słowa, lecz widocznie zadowolony z zachwytu towarzyszki. Obróciła się wreszcie.

— Nie myślałam nawet o tym, że zastanę takie cuda. Pan nie mówił mi o nich. Czy Peter ma pieniądze by utrzymać ten zamek?

— W tym właśnie kłopot—powiedział Eryk. — Może zdobędziemy je z czasem, na razie trzeba czekać. Nie mamy zresztą planów, jeszcze nic nie postanowione. Zamek, oczywiście, domaga się rekonstrukcji, ale byłoby szaleństwem zabrać się do tego w naszych warunkach. Odkładam to do czasu, gdy Peter zmężnieje i pomyśli o ożenku.

— Jaka szkoda, że on nie jest starszy — odezwała się Marcja. — Ale chodźmy, panie Morven, zajrzemy do środka. Czy nie ma tu naprawdę nikogo ze służby?

— Na razie ogrodnik czuwa nad zamkiem. Starszy to już człowiek, ale bardzo sumienny. Spełnia swój obowiązek i wszystko utrzymuje w należyтым porządku. Nie rozczaruje się pani, gdy wejdziemy do wnętrza.

Zwrócił się ku bocznym drzwiom, wychodzącym na taras i sięgnął po klucz.

Marcja ochoczo postępowała za nim.

— Nie wątpię, że wewnątrz jest wspaniały — powiedziała żywo.

— I przyznam się szczerze, że jestem ciekawa. Może bardziej ciekawa niż Dennis i Goldie. Nie przyjdą tak prędko, będzie więc czas, by swobodnie pogawędzić.

— Prawda, że to miło, gdy nie trzeba się kępować? Uśmiechnął się przy tym i otworzył drzwi.

Weszli do kamiennej sieni, która wiodła widocznie do pokojów dla służby, a po chwili stanęli przed innymi drzwiami. Te prowadziły do hallu pałacu.

— Pokażę pani hall i galerię. Czy nie jest pani zimno?

Sień, co prawda, wionęła chłodem, ale nie wpływało to ujemnie na nastrój Marcji.

— Ach, nie — odrzekła — owinęłam się po uszy. Ale spójrz pan na okna! Światło dociera tu zupełnie z ukosa.

Wygląda to z oddali, jakby świeciły pochodnie! Ale groźnie, tak dziwnie tajemniczo.

Weszli do hallu, który zajmował rozmiarami więcej, niż połowę całego budynku. Niegdyś, przed laty, służył niezawodnie za rodzaj kaplicy. Ale z czasem, tak jak reszta zamkowych pomieszczeń, zatracił surowość pierwotnej powagi. Zdobiły go zewsząd dębowe boazerie, u góry zaś otaczała go ogromna galeria, również wykonana z kamienia i drzewa. Wiodły do niej schody, zakończone u góry pięknie rzeźbioną, dębową balustradą.

— Nie widziałam jeszcze w życiu piękniejszej galerii!

Marcja mówiąc to, rozglądała się po hallu z nieopisanym zachwytem.

— Wejźmy do komnat — rzekł Eryk. — Jest tu pewna sala, francuską zwaną, która cieszy się sławą najpiękniejszej na zamku.

Otworzył drzwi, widniejące opodal i puścił ją naprzód. Znalazła się teraz w przestronnej komnacie, której wysokie okna były szczelnie przysłonięte, a staroświeckie meble straszyły jak widma z ukrytych zakątków.

Weszła z rozmachem, lecz znienacka przystanęła.

— Eryku! — krzyknęła — ja się boję tego miejsca... Co to może być, co napelnia mnie grozą?

Morven postąpił.

— Może dlatego, że ciemno? — spytał po chwili. — Pani pozwoli, pani Marcjo. Podejdę do okna i otworzę je zaraz.

Marcja gwałtownie zatrzymała go w miejscu.

— Nie! — krzyknęła — proszę tu zostać! Pan myśli zapewne, że niedobrze mam w głowie. Ale nie poradzę nic na to, coś mnie straszy w tym miejscu. Wróćmy, Eryku, proszę pana.

Obrócił się ku niej i ujął jej rękę.

— Pani boi się duchów? — spytał zdumiony.

— Nie wiem — odrzekła, dysząc ze strachu. — Ale coś w tym pokoju rozstraja mi nerwy. Może to we mnie jest tylko, co odczuwam tak strasznie. Odejdźmy stąd, proszę, opuśćmy to miejsce.

Chwyliła go za rękę, jak dziwnie przelęknione, niezaradne dziecko i niebawem z powrotem znaleźli się w hallu.

— Co się pani stało? — zapytał ją teraz.

Na ustach Marcji pojawił się uśmiech. Zakłopotał ją pytaniem, nie wiedziała co odrzec.

— Głupstwo — rzekła — może kaprys kobiecy. Ale zamknij pan drzwi, jeśli mogę o to prosić. Teraz wyjdźmy na powietrze i zaczekajmy tak długo, aż zjawią się dzieci. Możemy potem z nimi powrócić do komnat.

Morven nie opierał się. Może zbyt dobrze to wyczuł, że nie była w nastroju, aby słuchać jego uwag. Nie mówiąc ani słowa, zamknął drzwi, wiodące do pokoju, i wyszedł z nią na powrót na kamienny korytarz.

Ocknęła się dopiero, gdy wstąpiła na taras. Otrzeźwił ją wiatr i widok słońca, które lśniło wśród drzew.

— Bardzo mi żal, że tak dziwnie się zachowałam. Ale coś mnie tknęło w tej sali francuskiej; coś zupełnie podobnego do wrażeń, przeżytych na zamku we Francji. Pan wie już w którym. W tym, który władza przeznaczyła na szpital. Nie mogę tego opisać, nie mogę określić. A pan przecież wtedy tak samo był ze mną. Jakieś upiorne wspomnienia powstały w mej głowie.

— Nie mają już dzisiaj gdzie się schronić — odezwał się Morven. — Biedne upiory!

Marcji uderzyła krew do policzków.

— Niech pan nie sądzi, że jestem histeryczką. Doprawdy nie jestem. Ale ogarnęło mnie nagle niezwykle zdumienie. Zdawało mi się nawet, że jakiś duch mnie porwał i poniósł ku przeszłości, i majaczyłam przez chwilę, że sama, tak jak on, przeobraziłam się w ducha.

— Wiem, że jest pani dzielna. Pani sądzi, że nie pamiętam, jak ginąłem ze strachu? I jak koła mnie pani wówczas, jak tuliła do piersi?

Marcji znów uderzyła krew do policzków. Ale przemogła się w porę, udając, że nie traktuje tej sprawy nazbyt poważnie.

— Pan również był dzielny — odrzekła po chwili. — Któż by to przetrzymał w takim stanie, jak pański? Przecież był pan raniony. Nigdy się nie bałam, kiedy mogłam być z panem. Miałam dziwne wrażenie, że pan mnie obroni.

Mówiła to bez tchu, z tak dziwną szczerością, że nie mógł wątpić, iż mówi mu prawdę.

— Dziękuję — odparł z wyrazem powagi. — Przypuszczam, że ta wiara i dziś jeszcze trwa.

Nie odparła już nic na to, odpowiadając jedynie życzliwym uśmiechem, w tej samej bowiem chwili dosięgły ich głosy zbliżających się dzieci, które pojawiły się nagle pośrodku alei.

— Jak szybko nadchodzą! — krzyknęła Marcja. Eryk się zaśmiał.

— Zawsze są wtedy, gdy ich najmniej potrzeba.

Spojrzała mu w oczy, jakby nie uznając tych słów i zwróciła się żywo w kierunku nadchodzących. Goldie, dostrzegłszy ją, wyłamała się z szeregu i wybiegła naprzeciw.

— Halo, mamusiu! — wołała biegnąc. — Czy czekasz tak na nas, że jeszcze nie zwiedziłaś zamku? Strasznie śpieszyliśmy, aby nie przyjść za późno.

— Mogli się nie śpieszyć — odezwał się Eryk, ogryzając ze złością papierosa.

— Nie, moje dziecko — powiedziała Marcja. — Właśnie czekamy, aby z wami i Peterem udać się na górę.

W spojrzeniu Eryka przemknął nieznacznie cień podejrzenia.

Goldie

Ulegając Goldie, która poczęła nalegać, przystąpiono natychmiast do zwiedzania pałacu. Przetrzęsnięto go dokładnie od strychów do piwnic, oprowadzał zaś Peter, który z dumą się zajął rolą przewodnika. Atmosfera zamku udzieliła się wkrótce całej gromadzie.

Goldie jak cień przesuwała się bezgłośnie z komnaty do komnaty, z kąta do kąta, nigdzie nie pozwalając przebywać zbyt długo, zachwycając się i niejedno krytykując. Eryk te uwagi przyjmował milcząco, zaś Marcja obserwując jego dziwną powściągliwość, straciła swobodę i nie czuła się dobrze. Dennis podtrzymywał zachwianą równowagę. Nie szczędził upomnień, gdy Goldie zbyt jawnie wyrażała opinię, ona zaś tym samym z wolna, lecz stopniowo traciła pewność. Próbowwała, co prawda, okazywać mu wyższość, broniąc swych tez z uporem, ale nikt nie popierał jej zdania, zaś Peter zachowywał wyniosłą neutralność.

Ogólnie podziwiano meble, obicia i dzieła sztuki, nagromadzone ze znanstwem, zaś Goldie otwarcie wyjawiała ubolewanie, że wszystko to przechodzi do rąk człowieka, który nie zna się na niczym, prócz wiejskiej gospodarki. Peter uśmiechał się, nie próbując na ten temat wszczynać dyskusji, zaś Goldie po chwili opanowała się nieco. Szczególnie zajęły ją wspaniałe łóżka, umieszczone w sypialniach. Przyrzekła Peterowi, że odwiedzi go jeszcze i przedłuży nawet wtedy swój pobyt na zamku, jeśli on tymczasem urządzi się jakoś i postara się przynajmniej o potrzebną mu służbę.

— Urządzimy sobie piknik — oświadczyła swobodnie — ale musimy mieć pomoc, nie damy rady, nie mając nikogo. Przenocuję w tej sypialni, a ty będziesz w drugiej. Wtedy będę spokojna, nie pomyślę nawet o tym, że tu mogą być duchy.

— Nie możesz tego zrobić, nie będąc mężatką — powiedział Dennis. — Ta sypialnia należy do „Pani na zamku”. Czy nie widzisz napisu, który widnieje na drzwiach?

— Nie rozumiem, dlaczego? — zachnęła się Goldie. — Dziś się nie zważa na takie drobnostki. Każdemu wolno robić, co mu się podoba. Prawda, mamusiu?

— Oczywiście, moje dziecko, ale wszystko z umiarem, w odpowiednich granicach.

Dennis na te słowa wybuchnął śmiechem. Na twarzy miał wyraz szczerzego triumfu.

Goldie poczerwieniała. Obróciła się od nich, podchodząc do Petera.

— Czy i ty byś się oburzył, gdybym spała w tej sypialni, nie będąc zameżną?

— Dlaczego? — rzekł Peter z naiwną prostotą. — Owszem, moja Goldie, byłbym bardzo zadowolony.

Morven się zaśmiał.

— Ale ja jako opiekun, zabroniłbym tego. A zresztą, mój drogi, bądź trochę mądrzejszy! Czy nie rozumiesz jeszcze tego, że ona śmieje się z ciebie i chce cię wypróbować?

Powiedział to dla żartu, ale Goldie momentalnie straciła równowagę. Nie mogąc zapanować nad nagłym wzburzeniem, wybuchnęła zniecka gwałtownym okrzykiem:

— To bezczelność! — zawołała — pan jest podły, nikczemny!... Jak pan ma odwagę przemawiać tak o mnie?

Wszystkich ogarnęła konsternacja. Nikt się nie spodziewał takiego wybuchu. Nawet Morven wyglądał, jakby nagle go ugryzł złośliwy owad.

Marcja pobladła, nie wiedząc, co począć. Nie było jej zwyczajem łajać swoje dzieci na oczach obcych, nie mogła zaś przepuścić wybryku swej córki. Musiała coś zrobić; załagodzić przynajmniej tak nagle i niespodziewanie zaostrzoną sytuację.

— Goldie! — krzyknęła. — Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że pan major żartował?

— Nie żartował! — ozwała się Goldie z pasją. — Za dobrze go znam. W tym wszystkim, co mówi, połowę przynajmniej bierze na serio.

Morven z ironią pochylił się przed nią.

— A czasem się zdarza, że i dwa razy tyle.

Peter w tej chwili pośpieszył na odsiecz. Nie chciał dopuścić, aby spór się zaognił.

— Dla mnie jest jasne, że nikt nie myślał poważnie. Za wiecie hałasu

o taką drobnostkę. Zapomnijmy o wszystkim i chodźmy tymczasem na małą przekąskę.

Rzekłszy te słowa, objął Goldie i przemocą po prostu wyprowadził ją z sali. Dennis z rękoma, włożonymi do kieszeni, nie tail zgorszenia

i wyszedł za nimi, Marcja i Eryk zostali na miejscu, nie wiedząc na razie, jak się odnieść do sprawy.

Morven był pierwszy, który przerwał milczenie.

— To moja wina — odezwał się w końcu. — Bardzo mi przykro. Nie należało w ten sposób obejść się z dzieckiem, ale nie miałem pojęcia, że się tak bardzo tym przejmie.

Marcja odruchowo wyciągnęła doń rękę.

— Pan jest bardzo wyrozumiały, obraziła przecież pana, postąpiła fatalnie. Ale niech się pan nie gniewa, zapomnijmy o wszystkim.

Ujął jej rękę i po chwili ją zwolnił.

— To była moja wina — powtórzył ze skruchą. — Dziecko nie zasłużyło, aby zganić je za to.

— Zejdźmy teraz — rzekła nieśmiało. — Sądzę, że już wszystko zdołaliśmy obejrzeć.

— Pozostała tylko wieża zamkowa. Ale zostawmy ją dzieciom, niech ją same obejrzą. Pani zmęczona, nie dziwię się temu.

Spojrzała nań wzrokiem pełnym wdzięczności i oboje po chwili ruszyli ku schodom.

Może dobrze się stało, że usunęli się teraz, gdyż Goldie, znalazłszy się sama z Peterem, nie ukrywała nadal wielkiego wzburzenia. Głos jej rozbrzmiewał niezwykle donośnie.

— Od pierwszej chwili nienawidzę go. Nie mogę tego pojąć, że mama go lubi... Taki brutal, niegodziwiec, takie zwierzę po prostu!

Peter wprawdzie nie chciał utracić jej względów, ale nie mógł na to przystać, by poniżała Morvena. Uznał za konieczne obronić kuzyna.

— Mylisz się, Goldie — rzekł pojednawczo. — On nie jest ani zły, ani nie jest brutalem. Nie rozumiecie się po prostu i oto jest wszystko. Oddziela was od siebie różnica usposobień. Zażartował sobie tylko, a ty go nie rozumiałaś.

— Ładne mi żarty! — zachnęła się Goldie. — Powiedział wyraźnie, że cię chcę wypróbować. Tak, jakby istotnie było to prawdą, jakbym myślała choć o tym! To było wstrętne, niegodziwe, bezwstydné... Nigdy, póki żyję, nie zapomnę mu tego!

— Uspokój się, Goldie — łagodził ją Peter. — Zanadto się przejmujesz, a to niemądrze z twej strony. Polubisz go jeszcze, gdy poznasz go bliżej.

— Nie chcę go poznawać! — oburzyła się Goldie. — On pokpiwa ze wszystkich, naśmiewa się tylko. Nie zamierzam być celem jego głupich wycieczek, niech z innych się śmieje, gdy pozwolą mu na to.

— Każdy się bawi, czym umie i może — odezwał się Peter. Goldie z prostotą spojrzała mu w oczy.

— To prawda, co mówisz. Czy sądzisz może o mnie, że nie lubię się bawić?

Peter się zaśmiał i spoglądał na nią prostodusznym spojrzeniem.

— Nie powiedziałbym, że bardzo — odrzekł po chwili.

Goldie uderzyła krew do policzków. Chwyciła go za rękę, jakby chciała go uszczypnąć za ten objaw szczerości. Ale przemogła się nagle, zarzuciła swój zamiar. Odwróciła się od niego i załkała głośno.

— Cóż ci się stało? — zdziwił się Peter.

Pochwycił ją szybko i objął ramieniem. Goldie stawiała mu opór.

— Nie chcę — krzyknęła. — Odejdź ode mnie!... Nie potrzebuję karesów, gdy mi nie chcesz powiedzieć.

— No, powiem ci, powiem. Przyznaję zatem, że lubisz się bawić. Przestała się opierać, ale twarz jeszcze ciągle odwracała od niego.

— Chciałem być szczery — nalegał gorąco. — Czy wolałabyś może, bym ci prawil pochlebstwa?

— Przestań! — odrzekła.

Obróciła się nagle i objęła go teraz obiema rękoma.

— Lubię cię, Peter — wyznała mu skrycie. — Ująłeś mnie teraz swą szczerą prostotą. Ale potrafię się odwzajemnić.

I zanim się spostrzegł, pochylała się i ucałowała go w usta.

— Chodź — powiedziała. — Pójdziemy do mamy, aby skończyć z tym wszystkim. Jest trochę zacofana, ma stare poglądy i oczekuje teraz pewnie, że się przyjdę wytłumaczyć. Chcę pokazać, że mam dobre wychowanie.

Zaśmiała się głośno, po czym ujęła go za ramię i zeszli w kierunku dziedzińca.

Marcja i Eryk przygotowywali podwieczorek na tarasie, gdy nagle na stopniach zjawiła się Goldie. Peter i Dennis podążali jej śladem.

— Przychodzę się wytłumaczyć — rzekła do Morvena. — Przepraszam pana za to, że nazwałam go w złości podłym i nikczemnym.

Mówiąc te słowa, patrzyła mu dziwnie prosto w oczy, ale czuła podniecenie, usta jej drgały.

Morven się zdziwił tym nagłym występem. Myślał początkowo, że Goldie go obdarzy jakąś nową impertynencją, ale drgające jej usta przekonały go wkrótce, że znajduje się w błędzie. Zamierzała już odejść i odwróciła się nawet, ale Morven w tej chwili zaśmiał się do niej i podał jej rękę.

— Proszę się nie tłumaczyć — powiedział szczerze. — Czasem się zasłużyło, aby usłyszeć prawdę. Pani w tym wypadku jest zupełnie niewinna.

Goldie pochwyciła podaną jej dłoń.

— Bardzo dziękuję—odezwał się Morven. — Przypuszczam, że ten uścisk przypieczętuje nareszcie obopólną zgodę. Spojrzała mu w oczy dziwnie nieufnie, nie mogąc się otrząsnąć z pierwszego wrażenia. Nie wiedział, co mówić i jak się zachować. Zwolnił jej rękę.

— Gdybym kiedykolwiek to powtórzył — zauważył z uśmiechem — to pozwalam za karę natrzeć sobie uszu.

Goldie się ocknęła.

— Nie chcę pana karcić — rzekła nieśmiało. — Ale nie mów pan w przyszłości tak strasznych rzeczy, zwłaszcza zaś wtedy, gdy w nie sam nie wierzysz.

— Zgoda! — rzekł Morven i zaśmiał się znowu. — Przyrzekam to pani, a należę do ludzi, którzy dotrzymują obietnic.

— Chodź, moje dziecko — rzekła Marcja. — Pomożesz mamusi przygotować herbatkę.

Goldie obróciła się i pobiegła do matki.

Podwieczorek spożyto w harmonii i zgodzie. Ale zaledwie się skończył, dzieci pośpiesznie odesłano do domu, gdyż zbierały się chmury i zanosilo się na deszcz, zaś Eryk i Marcja zajęli się zaraz składaniem bagaży.

— Zapal pan fajkę — odezwała się Marcja. — Dam sobie radę bez pańskiej pomocy.

Zapalił wprawdzie fajkę, ale nie chciał o tym słyszeć, by pracowała za niego. Złożyli naczynia i resztę swych rzeczy i sposobili się żywo do drogi powrotnej.

— Mamy jeszcze czas — zawołał po chwili. — Zostańmy tu jeszcze, gdyż wrócimy za wcześnie.

— Zanosi się na deszcz.

— Ale nie zaraz, Madame — zaśmiał się żywo. — A gdyby nawet spadł, to nic nam nie robi.

Spojrzał jej w oczy, jakby chciał ją przekonać.

— Zejdźmy na wybrzeże — poprosił po chwili — gdyby złapał nas deszcz, ukryjemy się w schronie.

— Czy można się odważyć? — zawołała Marcja.

— Ależ oczywiście. Droga jest łatwa, a miejsce tak ciche i pełne uroku, że z pewnością i pani się bardzo spodoba.

— Czy nie spóźnimy się tylko? — ociągała się jeszcze. Ale poznać było po niej, że zaczyna ulegać.

— Proszę się nie lękać. Droga tam wiedzie aleją cisów i biegnie bez przerwy równo i prosto. No i cóż, pani Marcjo? Decyduje się pani?

— Czy też lepiej się nie decydować? — zawahała się nieco, spoglądając ku alei.

— Oto pytanie! — odezwał się Eryk. — A więc chodźmy, Madame. Będziemy się gonić, jeśli pani to lubi.

Marcja zaśmiała się, odmawiając udziału.

— Nie jestem taka młoda — rzekła żywo. — Pójdziemy tylko tam i zaraz z powrotem. Bardzo się boję, by nie wrócić za późno.

Spojrzał na zegarek.

— Jeśli zdwoimy teraz tempo, w którym jechaliśmy poprzednio, to nie ma wątpliwości, że dopędzimy piechurów.

Nie myślę zresztą, że będą się śpieszyć.

— Ja również nie myślę. Po chwili dodała:

— Dziękuję za uprzejmość, którą okazał pan Goldie.

- Alez proszę — zawołał, nie kryjąc zdumienia. — Zaimponowała mi jej wielka odwaga. Odziedziczyła ją zapewne bezpośrednio od matki.

— Ach, nie! — zawołała. — Nie widzę między nami żadnego podobieństwa.

— To okaże się jeszcze — zapewnił ją Eryk. — Byłbym z tego rad, gdyby Peter zakochał się w Goldie.

— Ależ Goldie to jeszcze dziecko — zaśmiała się Marcja. — Jak pan może myśleć, że wydam ją za męża?

— I na to przyjdzie pora — odrzekł z uśmiechem.

— Ale nieprędko — odrzekła rumieniąc się nieco. — Będę już wtedy starą kobietą.

— Pani i po dziesięciu latach nie zmieni się w niczym.

— Owszem, zmienię się — odrzekła z wahaniem. — Będę wtedy obchodzić swe srebrne wesele.

Na chwilę zaległo między nimi milczenie. Zeszli na boczną ścieżkę, która wiodła od stoku ku piaskom wybrzeża. Eryk wysunął się naprzód.

— Pójdę teraz pierwszy — zawołał do Marcji. — Jeśli poślizgnie się pani, znajdzie oparcie. A powiedziała pani sama, że czuje się bezpieczna, gdy znajduję się koło niej.

Nie odpowiedziała na te słowa.

Ruszyła bez wahania bezpośrednio za nim, myśląc teraz więcej o przyszłości Goldie, niż o wszystkim innym, co gotowały jej losy.

Przyływ

— To wybrzeże wygląda jak port przemytników — powiedziała Marcja.

— Może było nim kiedyś — przytaknął Morven.

Przystanęli obok siebie, oparci na skale, spoglądając na piany toczących się wirów. Mewy okręwały ich, wrzeszcząc donośnie, oddźwięk ich głosów rozbijał się dokoła wyraźnym echem.

Uwaga Marcji skupiła się teraz na płaskiej skale, widniejącej opodal. Wskazała na nią i rzekła po chwili:

— Wejdźmy na tę skałę. Stamtąd będzie lepiej przypatrywać się wirom.

— I udawać rozbitków na opuszczonej wyspie — zaśmiał się Eryk. Zaśmiała się również.

— Choćby na dwie minuty — ciągnęła wesoło. — Ma pan ochotę? Nie czekając odpowiedzi, podbiegła naprzód przez sypiący się żwir,

zaś Morven bez słowa rzucił się za nią.

Wdrapanie się na skałę nie sprawiało trudności. Zajęli ją szybko i zwrócili się twarzami w kierunku morza.

— Oto, co lubię! — krzyknęła Marcja.

Uczuła dotknięcie na swym ramieniu i odwróciła się nagle z dziwnie niepewnym, blednącym uśmiechem.

— Gdyby nie istniał tylko czas! — westchnęła szeptem i urwała nagle, uderzona niepokojem, który przemknął w tej chwili po twarzy Eryka.

Uśmiechnął się wprawdzie, lecz dziwnie kłopotliwie. Oparł dłoń na łokciu jej ręki.

— Ani zjawisko przypływów — dodał do jej słów, spoglądając za siebie.

— Och! — krzyknęła, objawiając niepokój.

W chwili, gdy siedziała, zgubiona w podziwie natury, woda podpłynęła do złoża skały i otoczyła ich teraz coraz bardziej szerzącym się kręgiem przypływu.

— Nie może być głęboka — rzekła po chwili, pragnąc raczej siebie niż jego uspokoić.

— Będzie sięgać do kolan — odrzekł Morven. — Ale proszę się nie trapić. Przeniosę panią.

Mówiąc to, ściągnął bez namysłu buty i skarpety. Marcja patrzyła nań z dziwnie komicznym wyrazem lęku.

— Po co pan to robi? — spytała niechętnie. — Dam sobie radę, ja też umiem brodzić.

— Możliwe — rzucił — ale nie dopuszczę do tego.

Nie patrzył teraz na nią, czyniąc przygotowania; każdą z swych skarpet włożył do buta, potem powstał szybko i przerzucił je, jeden za drugim, daleko poprzez fale, aż do miejsca obok schronu, gdzie woda nie dopływała.

— Jak mogłam być tak głupia? — wykrzyknęła Marcja. Obrócił się ku niej.

— To nie pani w tym wina, to ja zawiniłem. Należało się naprzód upewnić we wszystkim. Czy gotowa już pani?

Lepiej będzie przejść, póki woda pod skałą nie pogłębi się jeszcze. Proszę tu poczekać, schodzę teraz.

Spuścił się ze skały i zabrnął w wodzie po same kolana. Przystanąwszy na gruncie, wyciągnął ku Marcji oba ramiona.

— Pan cały przemoknie — biadała Marcja. — Proszę się nie trudzić, ja sama przebrnę.

— Nie ma o tym mowy! — krzyknął stanowczo. — Proszę teraz zejść! Woda podnosi się z każdą sekundą.

Marcja uznała, że to jedyne jej wyjście. Musiała zawierzyć wyciągniętym ramionom. Zrozumiała to również, że szkoda było czasu. Z każdą falą, która napływała ku skale, woda pod nimi stawała się głębsza i utrudniała tym samym dostęp do schronu.

Zsunęła się lekko wzdłuż brzegu skały i wpadła od razu w otwarte ramiona. Odczuła, jak Morven wyprężył je silnie, jakby sposobiał swe

mięśnie do dźwignięcia ciężaru i uznała po chwili — doznając w tym ulgi — że dostatecznie są mocne, by sprostać zadaniu.

— Proszę objąć mą szyję. I wyprostować nogi. Podeprę je ręką! Marcja usłuchała rzuconego wezwania, zaś Morven w tej chwili

ruszył z nią naprzód, postępując z wolna i niezwykle ostrożnie. Woda tymczasem z każdą niemal chwilą podnosiła swój poziom.

— Czy nie ranią pana kamienie? — spytała niespokojnie, gdy nagle przystanął pośrodku drogi.

— Nie — rzekł krótko. — Nie czuję ich nawet.

— Opuść mnie pan teraz, jeśli panu za ciężko. Wyrzekła te słowa nieledwie prosząco.

— Nie jest mi za ciężko — odparł stanowczo.

Po chwili dotarli do wybrzeża. Marcja myślała, że opuści ją teraz, jak opuszcza się worek, dobiegłszy do celu. Ale opuszczał ją z wolna, prawie zgoła nieznacznie i jeszcze mocniej ogarnął swym silnym ramieniem.

— Dziękuję — rzekła — dziękuję serdecznie.

Urwała zniecka. Odczuła jakby dreszcz, który przeniknął mu mięśnie. Stała już na nogach, miała już grunt, oparcie pod sobą, ale Morven jej nie puszczał, więził ją dalej w uścisku swych ramion.

— Marcjo! — zawołał. — Marcjo, Marcjo!

Głos jego zachrypł, brzmiała w nim teraz nuta rozpacz.

— Marcjo! — ciągnął, spozierając jej w oczy. — I mam cię teraz puścić, gdy cię czuję w ramionach, zostawić cię teraz, pozwolić ci odejść? Och, jak to boli, jak szarpie mi duszę!... Zmiłuj się, Marcjo, miej litość nade mną!

Zanim się spostrzegła, przytulił ją do siebie, jakby trzymał ją w kleszczach. Głowa jej spoczęła na jego ramieniu, nogi bezwładnie zwisały ku ziemi. Skłonił ku niej twarz i wpił się namiętnie w rozwarte jej usta.

Była zupełnie bezradna, obezwładniona nieomal nagłością zdarzenia. Gdyby opuścił ramiona, musiałaby upaść. Jej ręka otaczała jego szyję, ale zacisnęła ją jeszcze, by podtrzymać równowagę. Gorący pocałunek, który złączył ich usta, zaparł w niej oddech i odebrał po prostu możliwość mówienia. Uczuła jakiś zamęt, który zamroczył jej zmysły.

Może nie odczuł tego zrazu, gdyż gwałtowny jego uścisk uniemożliwił jej opór. Toteż wybuchnął po chwili, nie kryjąc egzaltacji, która drżała mu w głosie:

— Kochasz mnie — zawołał — wiesz o tym sama!... A ja cię ubóstwiam, uwielbiam cię, Marcjo!... Jesteś jedynym moim szczęściem, jedynym moim marzeniem w wędrówce po ziemi!

Przywarł ponownie do ciepłych jej ust i znowu, tak jak przedtem, nie mogła się oprzeć. Była teraz zdana na łaskę i niełaskę. Torował sobie drogę do wnętrza jej duszy, nie zważając nawet na to, że pozbawił ją środków, by się mogła obronić.

Gdy uwolnił ją wreszcie, opadła bezwładnie na przydrożny żwir.

Ukląkł koło niej, podtrzymując ją silnie i błagalnym wzrokiem spozierał jej w oczy.

— Pani jest taka blada — jęknął półszepem. — Czy sprawiłem pani ból? Wolałbym umrzeć niż dowiedzieć się o tym. Albo może to niepokój, jakiś lęk przede mną? Na Boga, Marcjo, czemu pani milczy?

Leżała na ziemi z przymkniętymi oczyma. Wyglądała w tej chwili, jakby ostatki sił opuściły ją nagle.

— Tak — szepnęła, nie otwierając oczu i walcząc z oddechem, który zaparł ją w piersi. — Lękam się pana...

— Ależ czemu, czemu? — nalegał uparcie. — Czy wyrządziłem pani krzywdę albo czy mógłbym dopuścić, by cierpiała przeze mnie? Pani wie o tym sama, jak bardzo ją cenię.

Marcja stopniowo wracała do sił. Gdy pochylił się nad nią, jakby ją chciał pocałować, oparła się temu, zatrzymując go ręką.

— Nie, Eryku! — rzuciła stanowczo, a nakaz jej głosu skuteczniej go powściągnął niż ruch jej ręki.

— Pan nie wie, co robi — dodała spokojnie. — Nie możemy w tym trwać, to musimy zwalczyć.

— Tylko to będę zwalczał, czym mógłbym obrazić. A nie poczuwam się do tego, bym panią obraził.

Pochwycił jej ramię i ucałował.

— Nie jestem obrażona — rzekła po chwili. — Ale dziwnie dotknięta, smutna, Eryku...

Podniosła oczy i spojrzała mu w twarz. Po chwili ciągnęła:

— Bardzo mnie to boli, że tak się stało... To już nigdy w przyszłości nie zdarzy się więcej.

Twarz Eryka zmieniła się nagle. Zniknął z niej zapal, który pokazał się przedtem. Znowu przybrał wyraz cyniczny.

— Czy zamierza więc pani porzucić mnie teraz? Teraz, gdy świadomie złamała mi serce — jakieś obłudne oskarżenie brzmiało w tych słowach. — Nie przypuszczałem do tej pory, że i pani zalicza się do rzędu tych kobiet. A jeśli to jest prawda, w co trudno nie uwierzyć, to zapewniam panią teraz, że dzieło jej okrucieństwa będzie stokroć straszniejsze niż sama przypuszcza.

Zaśmiała się gorzko, jakby czekając ciosu, który mu miała wymierzyć. Ale Marcja nie mogła, zabrakło jej sił.

— Melodramaty — rzekła, jakby próbując rozjaśnić cień ich tragedii. — Zdaje się, Eryku, że zanadto poważnie traktujemy swe role. Ale żyjemy wśród ludzi i nie można tego lekceważyć.

Wsparła się na rękę, próbując się podnieść, ale pochwycił ją nagle i zatrzymał w ramionach.

— Marcjo! — zawołał, spoglądając jej w oczy. — Musimy przecież raz porozumieć się wreszcie!... Jeśli nie obraziłem pani, jak pani powiada, to nie może tym samym czuć się dotknięta. To jasne, jak słońce. Albo się odczuwa i jedno i drugie albo, jak sądzę, żadnego z tych uczuć.

Spojrzała mu w twarz.

— Nie mogę się wysłowić — odezwała się w końcu. — Muszę zostać z sobą sama, przetrwać to wszystko.

Słowa jej brzmiały, jakby broniła się przed nim. Zamilkła na chwilę, a potem dodała:

— Tylko tyle teraz wiem, że jestem zgnębiona. Ale wracajmy, Eryku, zapada już wieczór.

— Rozumiem, co to znaczy — rzekł oschle. Nie patrzył teraz na nią. Oczy swe skierował na przestrzeń nad zamkiem.

Nie czuł się na siłach, aby podjąć dyskusję. Przemilczała jego słowa, niezdolna w swym zgnębieniu nawet myśleć o wysiłku.

Rozpoczęli bezzwłocznie jazdę powrotną. Eryk przesadzał w dotrzymaniu obietnicy. Nie tylko zdwoił, ale potroił nawet szybkość, z którą jechali poprzednio. Konie mknęły, jakby szło o zawody.

Gdy zbliżali się do celu tej dziwnej podróży, oboje odetchnęli z tą samą ulgą. Marcja do tej pory co chwila przemyślała, że napięcie jej nerwów dosięga już granic. Zdumiała ją nawet ich dziwna wytrzymałość. Eryk jednak milczał. Popędał tak jak przedtem spienione rumaki.

Wreszcie karetka zatrzymała się nagle. Marcja rozejrzała się, obawiając się w duchu, że ujrzy swe dzieci. Ale nie dostrzegła nikogo, wysiadając z karety.

— Niech pan nie wysiada — rzekła do Eryka. — Poradzę sobie sama.

Ale Eryk nie usłuchał, wyskoczył z pojazdu.

— Proszę spieszyć do bramy i nie stać na deszczu. Kosze i tobołki zaniosę do sieni.

Przyjęła propozycję, ale odczuła niechęć, że musiała mu ulec. Ogarnął ją znowu dreszcz niepokoju. Tłumaczyła sobie samej, że nie ma ostatecznie innego wyboru.

Cicho podziękowała i pobiegła do sieni. Pozostawiła mu rzeczy.

Pomknęła przez schody, potykając się w drodze i dopadłszy pokoju, zamknęła się zaraz. Upadła na łóżko i ukryła w nim twarz.

— O, Boże! — zawołała. — Wybacz nam, Panie, racz nam dopomóc!

Spod domu doleciał ją turkot powozu, który ruszył w tej chwili.

Decyzja

Z zapamiętania w modlitwie wyträciły ją wreszcie głosy dzieci. Zerwała się szybko, ale dziwnie apatyczna, czując zdrtwienie w każdym swym członku. Otrząsnęła się dopiero, gdy doszedł ją tupot kroków od klatki schodowej, a wtedy się obróciła i automatycznym ruchem podążyła ku drzwiom. Pierwsza do pokoju wpadła Goldie. Policzki jej płonęły, a na twarzy igrał triumfujący uśmiech. Udało jej się w drzwiach wyprzedzić Dennisa.

— I cóż tam, mamusiu? — gruchnęła wesoło. — Czy miałaś może znowu zabawną przygodę? Ja i Dennis przemokliśmy strasznie. Peter się nie chciał nigdzie zatrzymać. To nie miało przecież sensu, postąpił jak głupiec. Ale i ty, jak widzę, przemokłaś na deszczu. Czy nie podnieśliście budy, wracając kareta?

— My również nie mogliśmy przeczekać deszczu — powiedziała Marcja.

— Biedna mamusiu! — krzyknęła Goldie, schlebiając jej teraz, by poprawić jej humor. — Przebierz się zaraz, nie przebrałaś się jeszcze? Ja również za chwilę muszę się przebrać. Odejdź stąd, Den, nie przeszkadzaj nam. Odejdź, powiadam, i o drzwiach nie zapomnij!

— Zamknij je sama — rzekł Dennis, który zasadniczo nie lubił ulegać siostrze. — Jak ci się podobał zamek Tregassa? — zwrócił się teraz w kierunku matki. — Piękny i wspaniały — dodał po chwili. — Chciałbym być teraz w skórze Petera. Szczęśliwe chłopisko!

Marcja zwolniła się z uścisku Goldie, która zarzuciła jej tymczasem ramiona na szyję. Twarz jej skrzywiła się lekkim uśmiechem, ale dziwnie nienaturalnym, wyglądającym w tej chwili, jak maska.

— Nie musicie się przebierać — rzekła do dzieci. — Pora już późna, pójdziecie zaraz spać, a kolację można zjeść wyjątkowo na gorze.

Dzieci wybuchnęły okrzykiem protestu. Nie chciało im się stracić niemal całej godziny i to dlatego jedynie, że wróciły przemoczone. Uważały to za krzywdę i oparły się temu. Błede ich twarze skrzywiły się nagle wyrazem buntu, zaś Marcja obróciła się i nie rzekłszy ani słowa, poczęła ściągać przemoczoną sukienkę, nie zważając na to, że zostały w pokoju.

Dennis był pierwszy, który zwrócił uwagę na niezwykły jej nastrój. Przystanął koło niej i spojrzał jej w oczy przenikliwie i badawczo.

— Cóż ci się zdarzyło? — zapytał ją nagle. — Czy miałaś może w drodze niemiły wypadek?

Marcja rozbierała się, nie reagując na pytanie, i niemiłe milczenie zaległo w pokoju. Dzieci przystanąły, przenosząc swe spojrzenia z matki na siebie i z siebie na matkę. Słowa ich protestu nie spotkały się widocznie z odpowiednią oceną. Nie widziały jeszcze matki w tak złym usposobieniu, wydawało im się nawet, że słyszy, co do niej mówią. Cofnęły się w końcu jakby ulegając instynktowi, przejęte obawą przed zachowaniem się matki.

Goldie po chwili przemówiła pierwsza. Ściszyła swój głos i mówiła nieco wolniej niż było jej zwyczajem.

— Co się mogło stać? — spytała zdumiona. — Czy nie wydaje ci się, Den, że może zachorowała?

Marcja ściągnęła przemoczoną sukienkę i poczęła ją składać. Potem usiadła na łóżku i zdjęła buciki. Wszystko to czyniła w zupełnym milczeniu.

Dennis niezręcznie posunął się naprzód.

— Pomogę ci, mamó — rzekł do niej.

Marcja w tej chwili powstała z łóżka. Jej twarz była blada, a wyraz jej oczu napełniał lękiem. Przemówiła uprzejmie, ale słowom jej brakło ciepła.

— Czy mam wam powtórzyć, o co raz już prosiłam? Usłuchajcie wezwania i zostawcie mnie samą.

Dennis się cofnął, jakby nagle ukłuty. Goldie po prostu zdrętwiała z obawy. Gdy Marcja po chwili usiadła na krześle, oboje jednocześnie opuścili jej pokój. Wysunęli się cicho, jakby istotnie czymkolwiek

obciążyli sumienie. Dennis, wychodząc, zamknął bezszelestnie drzwi za sobą. W całym jego zachowaniu przebijała teraz niezwykła ostrożność.

Gdy znaleźli się w sieni, spojrzeli sobie w oczy, jakby pytając o radę, ale nadal zachowywali uparte milczenie.

Goldie wskazała na drzwi jej pokoju i wysunęła się naprzód, krocząc na palcach. Dennis, zgnębiony, posuwał się za nią. Dlaczego o to dbali, by nie czynić w tej chwili żadnego hałasu, ani jedno, ani drugie nie wiedziało. Gdy drzwi pokoju zamknęły się wreszcie, odważyli się w końcu na cichą rozmowę.

— Co się mogło stać? — zapytał ją Dennis. — Coś się zdarzyło, to więcej niż pewne. Nie widziałem jeszcze matki w tak strasznym nastroju.

— Ja również nie widziałam — odezwała się Goldie. — Przypuszczam, że Morven wypłatał jej figła. Bezpośrednio po herbacie była w świetnym humorze.

— Ale co mógł zrobić? — zawahał się Dennis. — Czy myślisz może

o tym, że posprzeczali się ze sobą?

Goldie nerwowo wzruszyła ramieniem.

— Bóg raczy wiedzieć — rzekła po chwili. — On umie być brutalem, gdy mu na tym zależy. Ale wobec mamy do tej pory zachowywał uprzejmość. Bardzo w to wątpię, czy w tym leży powód.

Dennis tak samo nie chciał w to wierzyć, ale trudno teraz było wysuwać domysły. Zrezygnował ostatecznie z roztrząsania tej kwestii, zaś Goldie tymczasem ściągnęła sukienkę i przebrawszy się w inną, podeszła do okna. Na strapioną jej twarz uderzyły złośliwie krople deszczu.

— Przebierz się także — rzekła po chwili. — Przeziębisz się jeszcze w tym mokrym ubraniu.

Obrócił się do niej i jął się przechadzać z rękoma w kieszeniach.

— Nie chcę się przebrać — odrzekł stanowczo. — Jestem leniwy i dziwnie zmęczony.

Otworzył drzwi i zajrzał do sieni. Gdy wrócił po chwili, podszedł do stołu niezwykle ostrożnie. Zależało mu na tym, by nie czynić w pokoju żadnego hałasu.

W pół godziny później zjawiała się Marcja w pokoju dzieci. Dennis i Goldie siedzieli przy stole i właśnie w tej chwili kończyli kolację. Gdy stanęła na progu, spojrzeli w jej stronę z wyrazem niepokoju, ale ochłonęli momentalnie, gdy Marcja niebawem przysiadła się do nich.

Wygląd jej twarzy był mniej zmieniony. Przebijało z niej tylko wyraźne zmęczenie.

— Czy bawiliście się dobrze? — spytała po chwili.

— O, tak! — rzekł Dennis, zachowując rezerwę. Nie był jeszcze pewny, co z tego wyniknie.

— A ty, moje dziecko? — zwróciła się do Goldie.

— Ja również, mamusiu — odrzekła Goldie, wpatrzona uważnie w oczy matki. — A czemu o to pytasz?

— Dlatego, dziecino, że pobyt nasz tutaj musi się skończyć. Dostyc już długo przebywamy w tym miejscu, teraz zaś pora powrócić do tatka. Nie musimy przecież czekać do końca wczasów.

Nie zdołała nawet skończyć, gdyż okrzyk dzieci ją wstrzymał. I znowu zabrzmiały słowa protestu. Znikła gdzieś nagle tak niedawno zrodzona obawa przed matką. Goldie i Dennis polubili to miejsce i każda minuta była im droga. Nie mogli się pogodzić z myślą o wyjeździe, gdy okres wakacji nie skończył się jeszcze. Wątpili też, czy ojciec istotnie zatęsknił za nimi. A tutaj jeszcze tyle czekało przyjemności! Był powóz Petera, była łódka w dodatku, którą przyrzekł wypróbować i oddać do użytku. Za mało też widzieli na zamku Tregassa. Zaledwie połowę. A Peter jeszcze wspominał, że pokaże im schron w pobliżu wybrzeża. Niegdyś, jak mówił, służył za kryjówkę dla band przemytników. Argumenty mnożyły się. Coraz więcej ich przytaczano, by przekonać matkę. Zaś Marcja siedziała, zachowując milczenie, co jeszcze bardziej dowodziło, że jej decyzja jest niezłomna.

Dennis był pierwszy, który połapał się w tym, toteż z miejsca odstąpił od udziału w dyskusji. Goldie natomiast, już z samej natury mniej ustepliwa, próbowała jeszcze dalej wytaczać argumenty. Ale i ona niebawem musiała się poddać.

— Bardzo mi żal, że sprawiam wam przykrość — odezwała się Marcja. — Ale wypoczęliście, jesteście już zdrowi, nie pora więc teraz, by marnować swój czas i trawić go tutaj na pustym lenistwie. Za czternaście dni wróćcie do szkoły, a tymczasem powoli przygotowuje się wszystko.

— Na przygotowanie wystarczy dzień albo dwa — zachnęła się Goldie, chmurząc oblicze.

— Trochę więcej, moje dziecko, ty nie znasz się na tym. Ale nie o to

mi chodzi, są ważniejsze powody. Piszę dziś do ojca, że wracamy do miasta najdalej pojutrze.

— Ależ mamó, mamó! — przeraziła się Goldie. — Pozostańmy jeszcze tydzień, a przez drugi będzie czas przygotować się do szkoły. Ten jeden tydzień nie sprawi tatusiowi tak wielkiej różnicy. Nie zauważy tego nawet, nie spostrzeże się.

— Nie, moje dziecko, to zgoła niemożliwe. W głosie jej brzmiała niezłomna stanowczość.

— Nie wolno być tak chciwym, tam gdzie chodzi o przyjemność. Gdyby tatuś to zauważył, na pewno by nie miał powodu do radości.

Goldie powstała i nie panując nad złością, potrafiła krzesło. Dziecinna jej twarz pokryła się bladością. Podbiegła do matki i garnąc się do niej, objęła jej szyję.

— Proszę cię, mamusiu — poczęła ją błagać — pozwól nam tu zostać choć jeden jeszcze tydzień! Tatuś się nie pogniewa, to nie sprawi mu przykrości. Sama o tym wiesz, że nie jest tak czuły. A tyle by się dało zrobić przez tydzień!

Marcja nadal siedziała nieugięta.

— Na pewno nic dobrego — odrzekła po chwili. — A zresztą, moje dziecko, już dosyć spędziliśmy czasu za miastem. Za długo tu siedzimy, stanowczo za długo. Początkowo myśleliśmy o krótkich wczasach. Chodziło tylko o to, by postawić was na nogi po przebytej chorobie.

— A jednak za krótko! — przymilała się Goldie, przytulając się policzkiem do czoła matki. — Ja i Dennis nie chcemy jeszcze wrócić. Chcesz może, Den? Przyznaj się szczerze!

— Zdaję się ze wszystkim na wolę mamy — odezwał się Dennis. Rezolutna ta odpowiedź zdumiła Goldie.

Matka i ona spojrzały nań teraz, ale Goldie po chwili przeniosła spojrzenie z powrotem na matkę.

— To nieprawda, mamó — krzyknęła gwałtownie. — On również chce zostać, sam mi to mówił... Tu coś innego w tym jest — rzuciła gorączkowo. — To tylko ty chcesz wyjechać, ty masz jakiś powód!

W głosie jej brzmiało stanowcze oskarżenie, ale nie zdołała tym matki wytrącić z równowagi. Marcja nadal siedziała spokojnie, po chwili zaś rzekła:

— Czy tak bardzo cię to dziwi, że chcę wrócić do ojca?

Milczenie Goldie było wymowną odpowiedzią na zadane pytanie. Marcja to odczuła i wzdrygnęła się nagle, jak człowiek przed sądem, przyłapany znienacka na fałszywej przysiędze.

— A więc? — spytała, spoglądając nieufnie.

Goldie zwolniła uścisk swych ramion. Zsunęły się nagle ze szyi matki, zaś dziewczyna przystanęła i spojrzała jej w twarz. Nagle do jej oczu nabiegły łzy. Pragnąc je ukryć, odwróciła się od niej.

— Dobrze — jęknęła zdławionym głosem. — A więc mówisz, że jedziemy?... Nie mam w takim razie już nic do powiedzenia.

Wymknęła się z pokoju i pobiegła na schody. Dennis leniwie podniósł się z krzesła.

— Dobranoc, mamó — odezwał się oschle. Marcja wyciągnęła rękę ku niemu.

— Bardzo mi przykro — rzekła półgłosem. Chwycił jej rękę i trzepnął ją lekko.

— Jest różnica między nami. Nie osądzasz tak rzeczy, jak my je osądzamy, a wobec tego, co nas cieszy, jesteś zimna i obojętna. Biedna Goldie wariuje za Peterem. Ale już czas się położyć, trzeba mi odejść.

Nie zdarzyło się dotąd, aby kiedykolwiek się zdobył na taką uwagę. Usta Marcji zadrżały uśmiechem.

— Dobranoc! — rzekła, podając mu usta.

Pochylił się nad nią i ucałował je z musu, bez śladu uczucia. Uczynił to raczej zupełnie mechanicznie. Marcja nie próbowała zatrzymać go dłużej. Ale gdy oddalił się od niej, oparła się na rękach, a twarz jej pokryła się cieniem smutku.

Dennis to spostrzegł, gdy obrócił się w drzwiach. Zawahał się na chwilę, ale poczucie krzywdy zwalczyło w nim teraz miłość do matki. Nie uznawał egoizmu osób dorosłych. Oddalił się rychło i zniknął za drzwiami.

W dwie godziny później Marcja zasiadła do biurka pod oknem i przy świetle staroświeckiej, naftowej lampy pisała do męża, zapowiadając swój przyjazd.

List był krótki, nie zawierał wiele. Jej listy do męża nigdy nie odznaczały się zbyt dużą długością. Czuła to dobrze, że on za mało ma czasu, a umysł zajęty głębszymi sprawami. Nie napotkała na trudności w doborze wyrazów, nie obawiała się również, że mąż między wierszami domyśli się czegoś.

Ważne sprawy

Everard Templeton siedział w gabinecie i przerzucał dokumenty leżące na biurku. Badał je skrupulatnie, a na twarzy miał wyraz wielkiego skupienia. Był to mężczyzna wysoki, postawny, o pięknie sklepionym czole i dużych, bystrych, przenikliwych oczach. Gładko ogolona, poważna jego twarz przedstawiała w sobie typ, niemal stale spotykany na obliczach sędziowskich. Prosiła się po prostu o trefioną perukę. Lat mógł liczyć około czterdziestu. Godzina była późna, ale Templeton z łatwością pracował w nocy. Nie zauważał nawet tego, że czas przemija. Przyzwyczyił się, że spał tylko wtedy, gdy koniecznie potrzebował chwili spoczynku. Był odporny, a mózg miał bystry, nie nużący się łatwo. Nie uznawał przeszkód, gdy chodziło o pracę. Każde z jego zajęć wymagało skupienia, ale poświęcał je o chotnie, z dziwnie nieugiętym, żelaznym uporem.

Marcja uważała to za objaw siły. Ale siostra Everarda, Lilith Barrowdale, kobieta bystra i niezwyklej energii, posądzała go raczej

o jej brak.

— Jest słaby i niestały jak liść na wietrze — zwykła o nim mawiać. — I nic go nie zawróci, gdy zmieni kierunek. Nie postępuje w ten sposób, kto jest silny i odważny.

Marcja nie podzielała zdania szwagierki, ale zastanawiała się nieraz, rozmyślając o mężu, na czym pani Barrowdale opierała swe zdanie. Musiała mieć ku temu jakieś głębsze powody. Inna jednak rzecz, że nie przyznawała Everardowi zbytniego uduchowienia. Zanadto był trzeźwy i zanadto prozaiczny.

Ale Marcja nie okazywała szwagierce, że żywi wątpliwości. Ukrywała je w sobie, nie lubiła ich roztrząsać, choć Liiith jawnie wyrażała swą opinię i nie wróżyła swemu bratu nadzwyczajnej kariery. Fakt, że Marcja inaczej sądziła i przypisywała mu nadal niezwykle zdolności, wprawiał ją czasem w stan oburzenia.

— Ma wielkie zdolności do wytrwania w trudach — oświadczyła jej raz — ale na pewno mu brak właściwości geniusza.

Ale i Lilith uznawała jego wielkie wysiłki. Przerastały, jej zdaniem, przeciętne możliwości i miały coś w sobie, co zmuszało do podziwu. Żadna siła nie była tak mocna, aby go ugiąć. Uważała to za rezultat jego zmysłu porządku i ściśle odmierzonych, wyrachowanych wysiłków. Miał swą metodę i służył jej ślepo. Jeśli Lilith odmawiała mu właściwości geniusza, to powodowała się może ubocznymi względami. Geniusz, jej zdaniem, nie mógł być drobiazgowy, ani zajmować się sprawami, które wydawały się drobne. Marcja i w tym nie podzielała jej zdania. Miała podziw dla męża, który trwał i wzrastał, choć lata mijały. Szacunek ten wprawdzie zmieniał się czasem, ulegał wahaniom, ale nigdy w sprawie wielkiej prawości Everarda Templetona. Nigdy w tym względzie nie doznawała rozczarowań. Myślała nieraz o tym, że podziw dla niego zastępował jej miłość. Była zupełnie tego pewna, że cokolwiek by zaszło, zawsze ją zatrzyma siłą swych zasad.

Dla przeciętnego przybysza, który zjawiłby się teraz, nastrój, który zastał w gabinecie Templetona, wydałby się dziwny. Człowiek przed biurkiem siedział skupiony, nic go nie wytrącało z jego pracy. W kącie pokoju stała bez ruchu młoda kobieta. Była to Marcja.

Przyszła niedawno, zaledwie przed chwilą. Drzwi otworzyła cicho i ostrożnie, ale zamyślony Templeton nawet nie podniósł swych oczu, by powitać przybyłą. Była jedyną osobą, której wolno było wejść, nie pytając o pozwolenie. Zatrzymała się w progu, a po chwili podeszła. Drzwi zostawiła lekko rozwarte.

Ogień na kominku pochodził z żarówek. Przystanęła przed ogniskiem — smukła, wiotka i zgrabna kobieta, pełna powabu i dziewczęcej gracji. Twarz jej okazywała dziwne zmęczenie. Wyciągnęła rękę w kierunku kominka, ale nie odruchowo, lub zgoła mechanicznie, lecz jak chora osoba, instynktownie odczuwająca potrzebę ciepła.

Człowiek za biurkiem nie zdawał się zauważać obecności kobiety. Badał swe papiery i przerzucał je żywo, czasami się pochylał i wykreślał jakieś słowa. W końcu podświadomie, jakby wbrew swej woli, ruszył się nagle i nie przerywając swych zajęć, ani nie podnosząc od nich oczu, odezwał się krótko i dziwnie obojętnie:

— Czemu nie usiądziesz?

Zabrzmiało to w ciszy zupełnie bez dźwięku. Nieraz się tak pyta, gdy się mówi przez sen. Kobieta drgnęła, jakby przejął ją lęk. Obróciła się i spojrzała na niego.

Zatopił swe oczy w jakimś akcie na stole. Nie zauważył tego nawet, że żona go śledzi. Zacisnął tylko palce i ściągnął brwi. Marcja milcząc, wróciła po chwili na dawne miejsce. Stała przy kominku i przybrała z powrotem pierwotną pozę.

Ubrana była w suknię koloru czarnego. Jej szyja i ramiona olśniewająco odbijały od otaczających ją cieni. Twarz jej oblokła się dziwną bladością. Z oczu przebijał wyraz powagi.

W pokoju ponownie zaległo milczenie. Nie przerywało go nawet tykanie zegara. Panująca tu cisza nie różniła się niczym od skupienia mężczyzny.

Przerwał ją wreszcie szelest papieru. Po chwili nastąpił drugi, twardszy. Everard Templeton obrócił się w krzesło.

— Będę musiał mieć szkła do pracy przy świetle — powiedział, zwrócony do Marcji.

Nie ruszyła się z miejsca. Po chwili rzekła:

— Myślisz to serio? Nie bardzo to pocieszające w tak młodym wieku.

Templeton nerwowo zabębnił palcami.

— Trudno — zawołał. — Nie jesteśmy tak młodzi, jak byliśmy niegdyś.

— Co za straszna prawda — przyznała Marcja. Zastanowiło go nagle brzmienie jej głosu. Może odczuł zmęczenie, które wyraźnie w nim tkwiło. Spojrzał jej w oczy z rosnącą uwagą.

Ale nie widział jej dobrze w miejscu, gdzie stała. Po chwili dorzucił:

— Jesteś zmęczona, moje dziecko. Czemu nie idziesz do łóżka i nie odpoczniesz?

Białe ramiona ruszyły się nagle. Możliwe, że dźwignął je wstrząs niechęci. Może dreszcz po nich przeszedł, wywołując w nich odruch. Przebijał się w tym ruchu rodzaj protestu. Ale nie wyrzekła ani słowa.

Templeton przerwał niemile milczenie.

— Przyszłaś tu zapewne, by powiedzieć mi „dobranoc”?

Nie obejrzała się na niego. Rzekła po chwili głosem suchym, zupełnie bezdźwięcznym:

— Bardzo już późno. Minęła pierwsza. Czy nie sądzisz, Everardzie, że i dla ciebie już pora, abyś poszedł do łóżka?

— Jeszcze nie teraz — odrzekł stanowczo. — Nie położę się, nim nie skończę swej pracy. Nie czekaj na mnie, dziecko. Im prędzej stąd pójdziesz, tym rychlej ją załatwię.

Nie było w tych słowach świadomej niegrzeczności. Marcja to zrozumiała i uznając ich sens, skinęła głową.

— Bardzo cię przepraszam, że przeszkodziłam ci w pracy — rzekła po chwili.

Templeton jeszcze ciągle spoglądał w jej twarz. Uderzyło go niemile jej dziwnie powściągliwe, nieszczerze zachowanie. Po krótkiej chwili odłożył papiery. Potem spytał zniechęcony:

— Co ci dolega?

Wykonała jakiś ruch, jakby odrzuciła coś nagle w kierunku ogniska. Potem obróciła się do niego i spojrzała mu w twarz.

— Byłam długo nieobecna — rzekła po chwili. — Czy wiesz jak długo?

Everard Templeton zmarszczył brwi. Wyglądał w tej chwili, jakby z dwiema sprawami się starał uporać.

— Nie wiem dokładnie — odrzekł z uśmiechem. — Straciłem po prostu rachubę czasu. Nie masz pojęcia, jak wiele miałem roboty. Zaskoczyłaś mnie niemal swym nagłym powrotem.

Marcja zaśmiała się.

— Rozumiem cię — rzekła — ty stale pracujesz. Po chwili dodała:

— Dzieci się opierały. Nie chciały tu wrócić przed końcem wczasów.

— Nie skończyły się jeszcze? — spytał zdumiony. — Więc czemu wróciłaś? Mogłaś jeszcze śmiało przedłużyć swój pobyt.

Odpowiedziała mu głosem, który brzmiał jak wyzwanie.

— Myślałam, Everardzie, że ci sprawię przyjemność.

— Byłbym się nie trapił — rzekł ze szczerością. — Tak mało mam czasu podczas sesji sądowych i tyle kłopotów z porządkowaniem papierów.

— Znam to — odparła.

Spojrzał jej w oczy, nie kryjąc zdumienia.

— Zadowolonaś przynajmniej? — zapytał ciekawie. — Myślę, że wakacje zrobiły ci dobrze.

— Dzieciom posłużyły — przyznała radośnie. — Przecież dlatego wyjechałam, o to chodziło.

Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Odrzucił swoje sprawy, pragnąc niepodzielnie poświęcić jej uwagę.

— Nie — zauważył, jakby zwalczając jej zdanie. — Chodziło i o ciebie; i tobie był potrzebny chwilowy odpoczynek.

Ale nie wyglądasz teraz, jakby poprawił twoje zdrowie. Jesteś zmęczona.

— Tak — odrzekła. — Jestem zmęczona.

Spojrzała na niego, a na bladej jej twarzy pojawił się uśmiech. Był dziwnie wymuszony, nie tętnił życiem.

— Zmęczyła mnie podróż — rzekła po chwili. — Powinnam się była już dawno położyć.

— Istotnie — odrzekł, śledząc ją dalej. — Przepracowałaś się pewnie. A dzieci, tak jak zawsze, nie chciały ci pomóc.

— Ach, nie! — odrzekła — nie myślałam o dzieciach. Za młode są jeszcze, aby mogły mi pomóc. Ale wiesz, co ci powiem? Po raz pierwszy w moim życiu myślałam o sobie. Było to w chwili, gdy zasiadłam do obiadu.

— Prawda — wtrącił, nie kryjąc zmieszania. — Bardzo mi jest żal, że spóźniłem się na obiad. Ale tyle miałem zajęć, tak ważne przeszkody.

— Bagatela — odrzekła — przecież wiem, jak pracujesz. Przywykłam już zresztą, by samej jeść obiad.

Urwała, jakby wahając się teraz, czy skończyć zdanie. Po chwili dodała:

— Sądzę, że doprawdy powinnam iść spać... Dobranoc, Everardzie. Podniósł się z krzesła i podszedł do niej. Otoczył ją ramieniem

i z powrotem skierował się w pobliże kominka.

— Czuję, że ci zimno — zauważył troskliwie.

Stała obok niego, nie zdając sobie sprawy, że ją przyciągnął do siebie. Odczuła w tej chwili gwałtowny dreszcz.

— Masz rację — rzekła. — Zimno mi. Pochylił się rychło i podał jej krzesło.

— Usiądź na chwilę i ogrzej się trochę. I opowiedz mi, co tam robiłaś?

Usiadła na krześle, on zaś opuścił rękę.

— Nie wiem — odrzekła, cokolwiek zmieszana. — Całymi niemal dniami siedziałam w domu.

Templeton się zaśmiał.

— Teraz będzie lepiej — jął ją pocieszać. — Wkrótce cię otoczy grono przyjaciół. Będą garnąć się do ciebie jak ćmy do światła.

— Nie spałam się — rzekła z głową zwieszoną.

— No, no! — zawołał, poklepując ją z lekka. — Ja inaczej myślałem. Nie należysz do kobiet, którym daje się spokój. I oto jest wszystko. Czy odebrałaś już pocztę? Gdy przechodziłem przez hall, widziałem jakiś pakiet, zaadresowany do ciebie.

— Nie otworzyłam go jeszcze — rzekła z wahaniem.

— Więc otworzysz jutro — odparł zgryźliwie. Marcja drgnęła.

— Jutro? — spytała. — Mam dziwne wrażenie, że już teraz jest jutro.

Zaśmiał się znowu.

— Jeśli pragniesz, aby było, nie sprzeciwię się temu. Ale dla mnie ten dzień jest jeszcze wczorajszy.

— Lękam się, Everardzie, że przeszkadzam ci w pracy. Czas mi już odejść.

— Nie troszcz się o to — zawołał życzliwie. — Naprzód się ogrzej. Te kilka minut nie sprawi różnicy.

Marcja ponownie zaśmiała się lekko.

— Przyjemnie mi się żyło wśród ciszy na wsi — rzekła po chwili.

— Więc byłaś zadowolona? — spytał z uśmiechem.

— Bardzo — odrzekła.

Spojrzała mu teraz prosto w oczy. Po chwili rzekła:

— Jak myślisz, Everardzie? Czy zdarzy się to kiedyś, że wspólnie spędzimy choć cząstkę wakacji?

Oparł się plecami o kant kominka.

— Trudne pytanie — odrzekł zmieszany. — Wiesz, moja droga, że zakres moich zajęć nie ogranicza się tylko do badania dokumentów.

— Wiem — potwierdziła niecierpliwie. — Ale czy nadal tak zamysłasz poświęcać się w pracy? Przecież nie jesteś maszyną. I tobie się należy choć marne wytchnienie.

— Gdy uznam, że go potrzebuję, skorzystam na pewno z należytych mi praw. Ale nie mam teraz czasu, by trwać w bezczynności. Nienawidzę lenistwa. Zwłaszcza obecnie, gdy chodzi w mojej sprawie o wielką wygraną.

Marcja westchnęła. Po chwili spytała:

— A jeśli ją wygrasz?

Templeton wyciągnął papierośnicę z kieszeni. Otworzył ją rychło i podtrzymał przed nią.

— Opowiem ci coś, Marcjo, co zabawi cię może. Ale zatrzymaj to na razie w bezwzględnej tajemnicy.

Marcja z rezygnacją spojrzała przed siebie. Splotła swe ręce w nerwowym uścisku.

— Dziękuję — rzekła — nie będę palić. Ale co chcesz powiedzieć? Czy czeka cię może jakaś nowa kariera?

Zapalił papierosa i spojrzał jej w oczy. Ciemna jego twarz zasnęła się nagle chmurą dymu. Jakieś dziwne zakłopotanie zjawilo się na niej. Ale gdy mgła ustąpiła, uśmiechał się znowu.

— A więc? — zapytał. — Co na to powiesz? Czy zasmuci cię to może, gdy zostaniesz „Ekscelencją”?

Marcja wyciągnęła ręce nad głowę. Zapatrzyła się w dal, jakby starając się zrozumieć wizję przyszłości. Templeton w tej chwili nie spuszczał jej z oka.

Ocknęła się nagle i powstała z krzesła.

— Postaram się obecnie o mandat do sejmu — rzekła z uśmiechem. — To jedyna rzecz, która pozostaje mi jeszcze.

Templeton, zdziwiony, podniósł brwi.

— Czy mówisz to serio?

Po twarzy Marcji prześlizgnął się uśmiech. Oparła swą rękę na ramieniu męża.

— Nie, mój drogi, nie myślę poważnie. I jestem spokojna. Nie mam powodu się lękać o ciebie. Życzę ci szczęścia, mój drogi Everardzie. Pragnę tylko tego, abyś mógł we mnie uznać niezawodną podpore.

Chwyił jej rękę i przez dłuższą chwilę trzymał ją w dłoni.

— Osiągniesz stąd korzyść — rzucił z uśmiechem. — Przede wszystkim dlatego, że zyskasz na znaczeniu wśród towarzystwa.

— Dostarczyłeś mi tematu do nowych rozmyślań. Mówiąc te słowa, spojrzała mu w oczy. Po chwili dodała:

— To musi być miło, mieć wielkie znaczenie.

Templeton z rozkoszą zaciągnął się dymem. Nie puszczał jej ręki z uścisku swej dłoni.

— Istotnie — przytaknął. — I nie będziesz zbyt długo czekała tej chwili.

Na chwilę zaległo milczenie w pokoju. Marcja zmieszana powstała z krzesła.

— Dobranoc! — rzekła. — Mógłbyś mi w końcu coś jeszcze powiedzieć. A wtedy na pewno nie mogłabym zasnąć.

Po wakacjach

Wakacje minęły. Dennis i Goldie wrócili do nauk, życie, jak dawniej, toczyło się szaro. Przeszedł ostatecznie i czas Wielkanocy, sezon rozrywek i towarzyskich seansów. Ale Marcja nadal okazywała zgnębienie, a smutek bez przerwy trwał na jej twarzy.

Nie wiedziała nawet sama, czemu to przypisać. Czuła się zmęczona i dziwnie odgradzona od świata i ludzi. Przestała ją bawić to, czym radowała się dawniej. Zobojętniała na wszystko i przestała nawet marzyć i rozmyślać. Ogarnęła ją nagle niezwykła tępota. Jakieś okropne uczucia nurtowały jej duszę, nie miała zaś sił, by się z nich otrząsnąć.

Wspomnienia z Kornwalii, które nawiedzały ją często, kołysły jej pragnienia i budziły tęsknotę. Ale tym silniej powściągały jej pęd ku życiu. Wycofała się z życia, choć ono radośnie garnęło się ku niej.

— Nie poznali się na mnie — mawiała do siebie. — Dziwią się teraz, łamią sobie głowy, nie mogąc mnie przeniknąć, a nie zdają sobie sprawy, że całe oceany odgradzają mnie od nich.

Spotkała się raz ze swą szwagierką, Lilith. Było to w Renelagh, w okolicy parku, a dzień był przepiękny, aż pławił się w słońcu. Lilith spozierała na Marcję nieufnie. Bystremu jej oku nie uchodził przeważnie ani jeden szczegół.

— Co cię tak trapi? — rzekła do niej. — Czy nowa jakaś miłość, czy też zawód doznany w którejś z miłostek? Marcja w odpowiedzi zaśmiała się do niej. Lilith była starsza — o pięć lat starsza — zaś Marcja nie lubiła, gdy okazywała jej wyższość.

— Nie jestem tak zacofana — zwróciła się do niej. — A zresztą, moja droga, od dawna to zauważyłam, że chudnę na wiosnę.

— Przypuścimy, że to wiosna — ozwała się Lilith. — Ale przyznam się otwarcie, że nie bardzo w to wierzę. Należę do kobiet, niemłodych już dzisiaj, stanowczo przestarzałych, które czują się dobrze w zaprzęgu małżeństwa.

— To jedyna twa cecha, która dowodzi staroświeckości — rzekła Marcja. — Jak się ma Cradock?

— Żyje, jak sądzę — zaśmiała się Lilith. — Zajmował się wędkowaniem, gdy byłam z nim w Spey.

Mówiła te słowa z dziwnie jawną, niezwykłą szczerością, która nie pozwoliła nie wierzyć, że zachowuje rezerwę.

— Byłam z nim razem do ostatniej chwili — dodała złośliwie. — Ale zaczął się boczyć, nie chciał się ruszyć, więc zostawiłam go w końcu i wyjechałam bez niego.

— On przyjedzie tu za tobą — zauważyła Marcja.

— Ja również tak myślę. Gdy zabraknie mu ryb i poczuje, że jest sam, na pewno się domyśli, że należy mnie szukać. A jak się ma Everard? Czy ciągle jeszcze zajęty aktami i pieniędzmi?

Marcja milczała. Skierowała swe oczy na daleki horyzont.

— A dzieci? — ciągnęła niestrudzenie Lilith. — Wspomniał mi ktoś, że cierpiały na koklusz i że wyjechałaś dlatego, aby przyszły do siebie.

— To była tylko odra. Biedna moja Goldie zachorowała pierwsza. Niedługo zaś po niej zapadł i Dennis.

Wyjechaliśmy do Pentreit na czas rekonwalescencji.

— Bez żadnej opieki? — spytała Lilith.

— Hobbs zostawiłam, nie potrzebowałam jej zresztą. Dzieci niebawem wyzdrowiały zupełnie. Od trzech tygodni już chodzą do szkoły.

— Musiałaś się męczyć — ozwała się Lilith. — Jak się obyłaś bez żadnej służącej?

Marcja spojrzała jej prosto w oczy:

— Przecież nie są już dziećmi w końcu.

— Tym gorzej — rzuciła uparcie szwagierka. — Gdy patrzę, jak dzieci dokuczają rodzicom, cieszę się czasem, że ich nigdy nie miałam.

Spojrzała na Marcję, oczekując z jej strony słowa protestu, ale Marcja milczała; nawet nie uważała za stosowne spojrzeć w oczy.

Po chwili rzekła:

— Gdybyś była je miała, nie byłyby może tak bardzo dokuczliwe.

— Na miłość Boską! — zachnęła się Lilith. — Nie schlebiaj mi tylko, bo nie lubię, jak wiesz, gdy ktoś mnie przecenia. Dennisa ani Goldie nie widziałam już wieki. Jakże się mają, kochane dzieciaki? Czy poprawiły się trochę i są już grzeczniejsze?

— Wyjazd im posłużył — odpowiedziała Marcja. — Wróciły do zdrowia i rozwinęły się nawet.

Na twarzy Lilith pojawił się grymas.

— Wyobrażam to sobie — rzekła po chwili. — A co było z tobą? Bawiłaś się na wsi, miałaś rozrywki? Nie uwierzę, gdy powiesz, że wystarczyło ci morze i widok wybrzeża.

Marcja zaśmiała się.

— I dzieci — wtrąciła z wyrazem szczerości. Lilith po tych słowach uniosła powieki.

— Nie mów tak, Marcjo, to niemożliwe już dzisiaj. A czy Everard was odwiedził pod koniec wczasów? Musiała być rozkoszna ta idylla nad morzem.

Marcja spojrzała jej prosto w oczy.

— Zawsze w to wierzyłam, że jesteś szczęśliwa w swym jarzmie małżeńskim — rzekła z uśmiechem.

— Jestem — przerwała jej Lilith. — I powiem ci nawet, jak się to robi. To moja tajemnica. Ale zapewnij mnie naprzód, że zależy ci na tym.

— Dziękuję — odrzekła spokojnie Marcja.

Lilith i Marcja niemal zawsze prowadziły podobne rozmowy. Twierdzono ogólnie, że dzieli je od siebie różnica zapatrywań, ale nikt nie potrafił ustalić przyczyny. Rzadko zgadzały się na punkcie przekonań, ale nigdy z tej racji nie wszczynały zatargów. Wobec natury Marcji, która zasadniczo unikała jakichkolwiek nieporozumień, była to sytuacja naturalna. Ale Lilith Barrowdale miała dziwny popęd do uwag zjadliwych.

Nie była to zjadliwość o typie złośliwym, nawet wprost przeciwnie, miała wszelkie pozory zupełnej niewinności, ale stosowana była często, jakby dla dania upustu nadmiarowi temperamentu. Lilith lubiła takie „szcutki po nosie”, jak zwykła je nazywać, i sama najlepiej się nimi

bawiła. Podtrzymywały jej humor i służyły jej często za rodzaj zabawki. Kłują, gdzie mogła, ale rzadko odbierała ukłucia z powrotem. Szermowała biegle i nie znosiła ludzi, nie umiejących się odciąć. Ale Marcja, na szczęście, nie zaliczała się do nich. Umiała w tych wypadkach zachować subtelność, która nawet srogich przeciwników zmuszała do podziwu. Nie mogła powiedzieć, że nie lubi Lilith, ale nie była jej pewna i nie darzyła jej dlatego nadmierną ufnością.

Że Marcja nie umiała parować jej ciosów, to uchodzić mogło raczej za jedną z jej zalet. Zdawała sobie sprawę, że Lilith nie zasługuje, by potępić ją za to. Nie była temu winna, że ulegała tak łatwo wrodzonym instynktom. Może lubiła nawet Marcję, ale nie potrafiła jej oszczędzić, mimo szczerzej sympatii. Nie było w niej bowiem ani krzty sentymentu.

— Niech ludzie sami się troszczą o siebie — mawiała prostodusznie. — Nie czuję się na siłach, aby ułatwiać im życie.

Mówiła to szczerze. Nie zdarzało się jeszcze, by kogoś pocieszyła, lub umiała mu pomóc.

Usiadły obok siebie na jednej z ławek, a Lilith nie ustawała w swych przykrych docinkach. Ale sukcesu nie odniosła. Marcja się opierała, nie dając się wytrącić z swej zdrowej równowagi, aż zjawienie się Lady Barrowdale, teściowej Lilith, położyło wreszcie kres uciążliwej rozmowie.

— Schudła pani nieco — odezwała się Lady, zwrócona do Marcji. Poklepała ją przy tym lekko po kolanie. — Pani musi się podtuczyć.

Lilith w tej chwili zaśmiała się głośno.

— Z tym właśnie kłopot — rzekła do teściowej. — Marcja mówi, że nie trzeba jej przytyć. Zanadto jest próżna.

Lady życzliwie spojrziała na Marcję.

— Nie mogę w to uwierzyć — rzekła uprzejmie. — Pani Marcja nie wygląda na próżną kobietę. Jest młoda, przystojna i zanadto rozsądna.

— I w tym leży kłopot — zaśmiała się Lilith. Marcja bez trudu zaśmiała się również.

— Czuję się czasem cokolwiek znudzona — przyznała się szczerze. — Może to stąd wynikają niektóre kaprysy. Ale to przeminie, przypuszczam; prawda, że przeminie? Dziwię się tylko, skąd się to wzięło?

— Ja również się dziwię — rzekła Lilith.

Lady Barrowdale zwróciła się znowu do Marcji. I teraz poklepała ją lekko po kolanie.

— Nie wierzę — rzekła, patrząc jej w oczy. — To chwilowe zapewne, „anemia duchowa”. Pani za dużo ma w sobie słonecznej pogody. A cóż tam z małżonkiem? Czy jest prawdą to wszystko, o czym mówią ostatnio?

Marcja jeszcze ciągle uśmiechała się lekko.

— To zależy — rzekła.

— .Od czego? — spytała zdumiona Lady. Interesowały ją zawsze sprawy znajomych.

— Od tego właśnie, co mówią ludzie.

— Pani żartuje w tej chwili — odezwała się Lady. Zmrużyła oczy, a w słowach jej brzmiała nuta protestu.

— Przecież nietrudno zrozumieć, o czym chcę wiedzieć — rzekła po chwili.

Marcja skierowała swą twarz do Lilith.

— Czy wiesz coś o tym? — spytała z uśmiechem.

— Tyle, co ty — odrzekła szwagierka.

— Nie mówmy już o tym — rzekła Lady. — Nie chcę wam sprawiać żadnego kłopotu, a ten temat, jak widzę, nastęcza wam trudności. Wiem o tym sama, że małżonek pani Marcji zasługuje na podziw. Dziś on jest sędzią, zwyczajnym pracownikiem. A kto wie, czy jutro nie stanie przed nami jako pierwszy prokurator?

— Czy nie za szybki to przeskok? — spytała Marcja.

— Nie — oświadczyła z powagą Lady. — On zasługuje nawet na to. Mało jest ludzi, tak chętnych do pracy. Ale też mało jest takich — tu znowu poklepała Marcję po kolanie — którzy mają tak miłą podporę przy sobie.

Lilith zaśmiała się, zaś Marcja ścisnęła rękę Lady.

— Pani przecenia mnie — rzekła, spoglądając jej w oczy. — Nie wszystko, być może, zgadza się z prawdą.

— Prawda! — odrzekła Lady stanowczo. — Wszyscy o tym wiemy, jak panią uwielbia. I nie dziwię się temu, rozumiem go nawet.

— Może znajdą się tacy, którzy podzielą to zdanie — docięła Lilith.

— Zaniechajmy tej rozmowy — rzekła Marcja. — Zaczekajmy jeszcze trochę, aż będą dowody. Ale kogóż ja widzę? Virginia Freeman przechodzi tamtędy. Wybaczcie mi, panie, chcę z nią pomówić.

Zerwała się nagle i podążyła szybko ku młodej kobiecie. Była to piękna, ciemnowłosa dziewczyna, ubrana w suknię koloru żółtego. Marcja zdołała ją dopędzić.

Lady Barrowdale w tej chwili uniosła brwi i żywo spojrzała w oczy synowej.

— Nie powinnyśmy jej wprawiać w niepotrzebne zakłopotanie — rzekła do niej.

Na twarzy Lilith pojawił się uśmiech.

— Ona nie przejmuje się zbytnio — rzekła zgryźliwie. — A zresztą, jak sądzę, jej myśli są teraz czym innym zajęte. To zupełnie było jasne, rzucała się w oczy. Dziwię się, mamó, jak mogłaś z nią mówić o sprawach Everarda. I dopuścić się nawet wielkiej przesady. Jestem szczerze przekonana, że nie troszczy się o nią i nie odnosi się do niej jak mąż do żony. Ten człowiek przede wszystkim ma siebie na myśli. Własną karierę. Powinnaś o tym wiedzieć. Chyba dosyć słyszałaś, co mówią ludzie.

— Nie wierzę — odparła z przekąsem Lady. — To zgoła niemożliwe, by poślubił tę młodą, czarującą kobietę i nie okazywał jej teraz należnego szacunku. To nie byłoby ludzkie. Nie mogłabym zrozumieć, że może tak postępować.

— Nawet największe uwielbienie ma wreszcie swój koniec — odezwała się Lilith. — A oni już piętnaście lat są w stanie małżeńskim.

— Kto by to powiedział? — zdumiała się Lady. — Marcja wygląda jak młoda panienska!

Słowa te wyrzekła z wyraźną szczerością. Po chwili dodała:

— Przypuszczam, że się czuje szczęśliwa w małżeństwie. Nie mogę sobie wyobrazić, aby było inaczej.

— A czy nie dosyć ma powodów? — powiedziała Lilith. — Ma męża, stanowisko, pieniądze, dzieci, a szczęście jej również dopisuje we wszystkim. Czy trzeba czegoś więcej, aby nie narzekać na los i czuć się szczęśliwą?

— Czy trzeba czegoś więcej? — powtórzyła Lady.

— Ale ona je ma — zachnęła się Lilith. — Nie może się żalić, że los ją pokrzywdził.

— Nie naszą jest rzeczą — rzekła Lady — sądzić tu o tym, kto na nie zasłużył.

Oczy jej pomknęły w kierunku Marcji. Rozmawiała jeszcze ciągle z Virginią Freeman.

— Ona dla każdego jest tak samo życzliwa i uprzejma — rzekła po chwili. — Zasługuje więc na to, aby czuć szczęście.

— Gdyby każda z nas mogła na nie zasłużyć! — westchnęła Lilith. Na ustach Lady pojawił się uśmiech.

Po chwili rzekła:

— Mam szczere przekonanie, że każda spośród nas ma pewne zasługi...

Miła nowina

Marcja się czuła wyczerpana wieczorem. Powietrze było parne, w oddali pomrukiwały dudniące grzmoty, jakieś dziwne napięcie przeniknęło atmosferę. Wmawiała w siebie teraz, że mile i beztrudnie spędziła popołudnie, ale wewnętrzne przekonanie było uparcie odmienne.

— Starzeję się — rzekła, wstępując na schodki, wiodące ku drzwiom. Zamierzała tego dnia obiad zjeść w domu i udać się potem na proszone przyjęcie. Miał się odbyć tam też koncert. Dawniej takie rzeczy sprawiały jej radość, ale dziś już straciły poprzedni swój urok. Gdyby nie spotkała Virginii, która mówiła jej przedtem, że również tam będzie, wyszukałaby pretekst i wolała ten wieczór spędzić u siebie. Ale przyrzekła przyjaciółce, że zjedzą się wieczorem, nie miała zaś powodu, by nie spełnić przyrzeczenia. Żałowała jednak teraz, że ten powód nie zaistniał. Na stole w hallu zastała listy, więc przystanęła na chwilę, by zabrać je z sobą. Everarda na pewno jeszcze nie było w domu. Nigdy nie wiedziała, czy się zjawi na obiad. Ale pogodziła się już z tym, że wiedli swe życie zupełnie osobno, tym bardziej że oświadczył, iż nie poświęci swych zajęć, by jej sprawić przyjemność.

Było między listami i kilka biletów. Spojrzała teraz na nie, skupiając uwagę. A więc była Mrs. Leatherwaite, pocziwa staruszka! Musi ją odwiedzić przy pierwszej sposobności. Sięgnęła odruchowo po drugi bilet. Książka Henry Fordisty! Przyszedł zapewne, aby zająć się loterią. Przyrzekła mu już raz, że coś złoży na ten cel. Ale cóż mu przyrzekła? Nie

pamiętała w tej chwili. Czy nie komplet naczyń, potrzebnych do herbaty? Musi ostatecznie załatwić tę sprawę. Opoдал dostrzegła następny bilet. Któż to mógł być? Czy stary przyjaciel, czy domokrażny handlarz, który nie zastał jej w domu? Spojrzała na bilet z obojętną ciekawością. Ale nagle drgnęła, jakby przeszedł ją prąd. Czowała, że blednie i że kolana nagle ugięły się pod nią. „Eryk Morven” — widniało u góry, poniżej zaś słowa, pisane ołówkiem i w widocznym pośpiechu:

Przyjechałem do miasta (na dwudniowy pobyt) i jestem dziś rano w hotelu Regency. Czy mogę panią prosić, by raczyła się zjawić i zjeść ze mną obiad? Proszę przyjść, jeśli to możliwe, gdy nie, zadzwonić.

Odczytując te słowa, odniosła wrażenie, że Eryk jest za nią i sam osobiście wypowiada je do niej.

Proszę przyjść, jeśli to możliwe, gdy nie, zadzwonić.

On zawsze tak mówił, poznała po tym. Nigdy swym słowom nie poświęcał czasu, wyrażał się krótko i zawsze dobitnie. Ani mniej, ani więcej niż było potrzeba. Wyobrażała sobie teraz, jak musiał się odnosić do podwładnych mu ludzi.

Przeczytała ponownie słowa wstępu:

Przyjechałem do miasta (na dwudniowy pobyt).

Nie ulegało wątpliwości, że przybył w interesach. Czy przywiózł i Petera, czy przyjechał sam? Niewątpliwie sam. Peter zapewne by nie chciał przyjechać. A jeśli Eryk chciał ją widzieć, to nie postąpiłby tak głupio, by zabierać Petera. Nie widziała powodu, by odmówić mu teraz. Przyrzekła mu to przecież, że mogą się spotkać, opierając się przy tym na starej przyjaźni. Everard zapewne nie zjawi się rychło, nie miała zaś obowiązku czekać aż przyjdzie. Pomyślała tylko o tym, czy nie należałoby zadzwonić do hotelu Regency i poprosić Eryka, aby zjawił się u niej. Nie wiedziała, co zrobić. Gdyby Eryk się zgodził, musiałaby go potem przedstawić mężowi, a wątpiła teraz w to, czy Everard ze spotkania byłby zadowolony. Ci dwaj mężczyźni nie mogli się wzajemnie sobie podobać. Różnili się wszystkim. I zewnętrzną aparycją i sposobem myślenia. Jeden drugiego krytykowałby później. Marcja zaś wiedziała, że żaden jej wysiłek nie zdołałby ich później przekonać do siebie.

Potrząsnęła głową, decydując ostatecznie, że zbliżenie tych mężczyzn ani jednemu, ani drugiemu nie przyniosłoby korzyści, ją zaś naraziłoby na przykre kłopoty. Chciała w spokoju i beztrósce roz-

koszować się myślą o przeżytej idylli. Wspomnienie Kornwalii jeszcze ciągle napelniało ją tęsknotą do szczęścia. Słowa Morvena utkwiły w jej pamięci jak widok skał i zapach soli z morskiego pobrzeża. Gdy myślała o Eryku, wszystko co przeżyła w tym cichym zakątku, roztaczało się przed nią, jakby nagle na nowo. Westchnęła głęboko i obróciła się z wolna ku stopniom schodów. Widziała przed oczyma torfowiska, paprocie i niezgłębiony lazur wód, otaczających wybrzeże.

Gdy weszła do pokoju, był w nim mrok, gdyż story u okien opuszczono starannie. Z sąsiedniego okna napłynął do wnętrza zapach nikotyny. Odurzył ją nieco swym egzotycznym aromatem. Podziałał jak narkotyk. Czuła się w tej chwili, jak pszczoła schwymana we flakon na kwiaty. Zapragnęła swobody, świeżego powietrza, wiatru, ozonu, zapachu torfowisk, nawet woni deszczu, który przenikał ją zawsze do głębi wnętrza. Nie wiedziała, co począc z tą dziwną tęsknotą. Skierowała swe kroki na oślep ku oknu.

— Czy podać pani obiad? — usłyszała nagle głos służącej. Marcja przystanąła, jakby przytrzymała ją zniecka fizyczna przeszkoda.

— Och nie, moja Hobbs — odezwała się do niej, skupiwszy myśli. — Będę jadła dziś obiad w hotelu Regency. Ale powiedz Wilsonowi, aby obiad miał gotowy, gdy pan Templeton powróci. O siódmej czterdzieści niech przyśle tu auto.

— Dobrze, Madame — odrzekła Hobbs. — A jaką toaletę mam przygotować dla pani?

Marcja się zaśmiała.

— Nie wiem — odrzekła.

Eryk nie ubierał się zwykle do obiadu i nie widział jej również odświeżnie ubranej.

— Przygotuj mi niebieską — rzekła w końcu. — Będzie się nadawać na tak chłodny dzień.

Jednocześnie pomyślała:

— Ciekawam, co powie, gdy mnie zobaczy w tej sukni.

— A perły, Madame? — przypomniała jej Hobbs.

— Daj jakiś sznurek — zaśmiała się Marcja. — Ale nie więcej, Hobbs. To nie jest okazja do wielkiej parady.

Wkrótce się ubrała, zarzuciła na ramię pluszową narzutkę koloru szafirowego i zwróciła się szybko w kierunku drzwi.

— Pani nie spojrzysz na siebie? — zdumiała się Hobbs. — Przecież dość jeszcze wczesnie, jest dużo czasu. Marcja przystanąła, przypominając sobie teraz, że istotnie za dużo okazała pośpiechu. Wróciła do lustra i aby przypodobać się Hobbs, obejrzała swą postać badawczym spojrzeniem. Nie wypłynęło to jednak z poczucia próżności. Chciała się przekonać, czy potrzebne są może nieznaczne poprawki. Przekonawszy się jednak, że wszystko w porządku, odwróciła się od lustra z nieznacznym uśmiechem.

— Dobrze jest, Hobbs — zwróciła się do niej. — Wywiązałaś się, jak zawsze, doskonale z zadania.

Hobbs z zadowoleniem przyjęła uwagę.

— Robię, co mogę — odpowiedziała skromnie.

— Ale dziś się wysiliłaś — zaśmiała się Marcja. Po chwili wyszła.

Uśmiechnęła się jeszcze na schodach. Odczuwała wewnętrznie, iż to nie ręka Hobbs sprawiła tego dnia, że dobór jej sukni i odpowiednie jej ułożenie pod każdym względem odpowiadały jej urodzie.

Gdy zbliżała się do hallu, usłyszała w oddali zatrzaśnięcie drzwi, a znalazłszy się na dole, ujrzała ze zdumieniem postać Templetona. Zawieszał właśnie kapelusz na wieszaku.

— To ty, Everardzie? — spytała przystając. Spojrzał jej w twarz z uprzejmym uśmiechem.

— Odchodzisz, Marcjo? — spytał po chwili. — Domyśliłem się tego. Widziałem auto, stojące przed bramą.

Marcja spojrzała z nieznacznym zmieszaniem.

— Bardzo mi przykro — rzuciła półgłosem. — Nie spodziewałam się, że wrócisz tak prędko. Chciałam zjeść obiad z pewnym starym znajomym. Ustaliliśmy spotkanie w hotelu.

Podszedł bliżej i ucałował ją w rękę.

— Możesz iść — przytaknął. — Dlaczego nie?

— Czy nie sprawię ci przykrości, zostawiając cię samego? Spojrzał jej w oczy z wyraźnym zdumieniem.

— Ależ nie, moja droga. Mam masę zajęć. Będę znowu dziś siedział do późnej nocy.

Stała przez chwilę, nie wiedząc, co począć.

— Mogłabym zadzwonić — odezwała się wreszcie — i zaprosić go do nas, by nie doznał zawodu. Co o tym myślisz? Czy zgadzasz się na to?

Templeton znienacka potrząsnął głową. Zdawało mu się teraz, że odmawia prośbie, nagabywany przez dziecko.

— Nie dziś, kochanie — rzekł pojednawczo. — Dziś, jak już wiesz, zabraknie mi czasu. Może innym razem.

Pragnąłbym nawet, aby podano mi obiad do mojej pracowni.

— Powiem im zaraz — przerwała mu Marcja. Zatrzymał ją nagle.

— Nie, moje dziecko, nie trudź się zbytnio. Sam już tam dam odpowiednie zlecenie. Teraz odejdz spokojnie i zabaw się dobrze.

Uśmiechnął się do niej i ujął jej płaszcz, który zwisał jej z ramion.

— Piękna narzutka — zawołał z uznaniem. — Chciałbym zobaczyć, jak wygląda na tobie?

Zarzucił jej płaszcz na oba ramiona, zaś Marcja z uśmiechem obróciła się lekko. Po chwili podeszła, chcąc go pożegnać.

— Dobranoc, Everardzie. Nie będę ci przeszkadzać, gdy wrócę do domu. Przecież widziałeś mnie w tym płaszczu już wiele razy. On nie jest nawet nowy.

Spojrzał jej znowu badawczo w oczy.

— Naprawdę? — zapytał. — Ale wygląda jak nowy. Bardzo ci w nim dobrze, odpowiada ci jakoś. Dobranoc, moje dziecko!

Zbliżył się do niej i ucałował ją w czoło.

— Dobrej zabawy! — rzucił na koniec.

Przeszedł z nią hall, towarzysząc jej do auta i przystanął następnie, czekając, aż ruszy. Gdy obróciła się do niego na zakręcie ulicy, dostrzegła z oddali, jak żegnał ją ręką. Rzuciła mu całuska, on zaś w tej chwili pośpieszył ku bramie. Oparła się wygodnie i dziwne uczucie nappełniło jej serce. Coś zupełnie nowego, nieznanego jej przedtem. Auto pomykało i przystaneło niebawem przed dużym budynkiem. Nie zdawała sobie sprawy, jak to się stało, że znalazła się przed nim.

Hotel znajdował się w zacisznym zakątku, z dala od zgiełku głównych ulic. Nie była jeszcze w środku, ale położenie budynku usposobiło ją od razu przychylnie dla niego. Zdawało jej się teraz, że

znalazła się nagle u progu przystani. Nie mogła sobie wyobrazić, aby Eryk mógł wybrać jakieś inne miejsce. Wejście do hotelu było na równym poziomie z wysokością ulicy. Wiodąca doń brama miała oba skrzydła szeroko rozwarte. Weszła do hallu, który przedstawiał się właściwie, jak długi dziedziniec; oszklony był u góry przezroczystym dachem i ozdobiony pośrodku okrągłym basenem. Z głębi jego wód tryskała ku górze srebrzysta fontanna. Dokoła zieleniły się kępy paproci.

Czekał już na nią w pobliżu basenu. Zaledwie ją dostrzegł, zerwał się z miejsca podbiegł do niej, nie kryjąc radości. Uśmiechnął się do niej, a wyraz jego twarzy przypomniawszy jej chwile, spędzone z nim wspólnie na morskim wybrzeżu. Ujrzała przed sobą precudne zakątki uroczej Konwalii. Ujął jej rękę serdecznym uściskiem.

— Jakże się cieszę! — wykrzyknął szczerze.

Zaśmiała się do niego i wyraz zadowolenia rozjaśnił jej twarz.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała po chwili. — Czy to przeszłość, czy teraźniejszość otacza nas teraz?

— Coś dziwnie pośredniego — odparł z uśmiechem.

Sięgnął po narzutkę, zwisającą z jej ramion i zauważyła w tej chwili, że spogląda jej w oczy z niezwykłą uwagą.

Ubawiła się tym nawet, gdyż nie spodziewała się, że okaże jej teraz tak wielkie zainteresowanie. Myślała, że ochłódł po miesiącu rozłąki.

Ale i następne jego słowa zdumiały ją wielce. Nie spodziewała się ich.

— Czy wkłada pani czasem swój strój pielęgniarce? — zapytał znienacka.

Marcja śmiała się.

— Chyba nie — rzekła. — Czy spodziewał się pan może, że przyjdę w nim dzisiaj?

Morven tak samo uśmiechnął się.

— Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć w nim panią — odrzekł spokojnie. — On się dla pani nadaje. Bardziej odpowiada pani warunkom zewnętrznym.

Znowu się zaśmiała.

— Czy ubranie stanowi tak wielką różnicę?

— Nie wiem — odpowiedział z tą samą prostotą. — Gdy myślałem

o pani, nie przedstawiała mi się pani dotąd, ubrana jak dama. Ale teraz już widzę, że mam damę przed sobą.

— To szczęście! — zaśmiała się żywo Marcja. — Czy wyglądam istotnie jak wielka dama?

— Pani w każdym ubraniu wygląda uroczo.

Poprowadził ją teraz do jednej z alków, które biegły dokoła przestronnej jadalni. Na stoliku leżała wiązanka lili.

— Ach, jakie piękne! — krzyknęła Marcja. — Czy wiedział pan o tym, że lubię te kwiaty?

— Domyśliłem się tylko — wyznał. Marcja przytuliła kwiaty do twarzy.

— Jaki pan dobry! — szepnęła wdzięcznie. — Czy mogę je włożyć tymczasem do wody?

Przywołał kelnera i polecił mu przynieść flakon na kwiaty. Teraz zbliżył się do niej i odezwał się nagle, patrząc jej w oczy:

— Powiem pani teraz, co chciałem jej przywieźć: jedną z tych smug, które słońce rzucało na piaski wybrzeża.

— Ach! — zawołała, wzdychając głęboko. — Jaką by pan radość obudził w mym sercu! Wyobrażam sobie teraz, jak tam jest cudownie!... A jak się ma Peter, co on porabia?

— Nic się nie zmienił — zaśmiał się Eryk. — Nie może przywyknąć do godności barona. Zostawiłem go na wsi.

Wyobraża sobie zawsze, że nie czułby się dobrze w takim mieście jak Londyn.

— Bardzo mi żal — odezwała się Marcja. — Takie dobre z niego dziecko! Jeśli to lubi, powinien się raczej poświęcić gospodarce.

— On myśli o tym — przytaknął Morven. — Niczego tak nie pragnie, jak porzucić swój zamek na pewien okres. Nie mogę się jednak na to zgodzić i muszę się zastanowić, jak wybrnąć z sytuacji. Posiadłość jest cenna. Nie można jej zostawić bez żadnej opieki.

— Czy nie ma tam naprawdę żadnego zarządcy?

— Nie — rzekł Eryk. — Stary już umarł, a odtąd jakoś żaden się nie mógł osiedlić. Gdyby Peter był starszy, to nie wątpię, że sam najlepiej zarządzałby majątkiem. Z tego, co widzę, to posiadłość moja w Kanadzie bardziej go pociąga niż zamek Tregassa.

— Powinien go pan zabrać — powiedziała Marcja. — Nic to nie zaszkodzi, gdy nabędzie doświadczenia.

— Zdaje się, że istotnie będę musiał to zrobić. Nie prędzej jednakże, zanim spraw jego majątku nie doprowadzę do ładu. On musi się naprzód — czy zechce, czy nie zechce — zainteresować cokolwiek znaczeniem dziedzictwa.

W kątach jego ust pojawił się uśmiech.

— Brakowało nam Goldie — rzucił po chwili.

— Och, ja nie wierzę — zaśmiała się Marcja. Przytaknęła głową.

— To fakt, proszę pani, nie żartuję. Gdy opuściliście Pentreith, Peter sposepniał jak mnich podczas postu. Mnie również niewiele brakowało.

Jakiś dziwny płomień rozbłysnął mu w oczach. Po chwili dodał:

— Ale przyjaciółka Petera była o tyle życzliwsza, że od czasu do czasu przysyłała mu liścik. To pocieszało go nieco, rozjaśniało niekiedy gnębiące go mroki. Mojej się nie chciało okazać tych względów.

— Och, to jest prawda!... To prawda, Eryku!

Zaśmiała się lekko, a policzki jej pokrył lekki rumieniec. Uznała, że zrobiła mu krzywdę.

Aby ukryć zmieszanie, spytała znienacka:

— Czy Goldie naprawdę pisała do niego? Nic o tym nie wiem, nie zwierzyła się z tego.

— Obawiała się zapewne — rzekł Eryk. Marcja uznała, że winna odpowiedzieć.

— Nie uważam przecież tego za żaden występki. Nie wpadło jej na myśl, by mi o tym powiedzieć. I oto jest wszystko.

— No, tak — rzekł Eryk — nie wpadło jej na myśl. Takie rzeczy już nie dziwią, są znamiennej cechą naszej wielkiej epoki. Ale przyznam szczerze, że byłem jej wdzięczny. Dzięki jej listom i do mnie docierały okruchy wiadomości, między innymi na przykład i adres pani.

Ostatnie jego słowa wprawiły ją w kłopot. Po chwili rzekła:

— Jeśli zależało panu na tym, to moja stara gospodyni na pewno by udzieliła informacji. Ona znała mój adres.

Morven się zaśmiała.

— Nie lubię takich rzeczy. Gdybym uczynił to kiedyś, to istotnie

przynaglony ostateczną potrzebą. Mogłyby stąd powstać zgoła niepotrzebne i przykre ploteczki.

— Pan jest zanadto drobiazgowy! — zaśmiała się Marcja. — Nie widzę powodu.

Zaśmiali się teraz oboje razem.

— Przyzna pani sama, że wyglądałoby to może cokolwiek romantycznie — odezwał się Eryk. — Jestem wdzięczny córeczce za jej listy do Petera. Okazały się i dla mnie poniekąd zbawienne.

— Czy Peter jej odpowiadał? — spytała Marcja. Eryk w tej chwili uniósł brwi.

— Pani nie zna Petera — odrzekł po chwili. — On nie byłby zdolny obrazić kobietę. Takich ludzi jak on, nie spotyka się dzisiaj. Jestem zupełnie tego pewny, że odpowiadał na listy, jakkolwiek nie posiadam niezbitych dowodów.

— A czy długo musiał czekać nim dostał odpowiedź? Eryk z uśmiechem potrząsnął głową.

— Proszę nie pytać mnie o więcej, niż mogę powiedzieć. Może ona o tym powie, albo Peter przy okazji.

— Zapytam ich kiedyś.

Ale wiedziała w tej chwili, że ani przeszkoda, ani pomoc nie wpłyną na Goldie, gdy zdobędzie się na to, by w jakiegokolwiek swej sprawie powziąć decyzję.

Magiczny kobierzec

— Co teraz robić? — zapytał Eryk.

Zatrzymali się znowu przed fontanną w hallu. Wypili tu kawę i nagle zaległo przydługie milczenie. Tylko szmer wodotrysku ożywiał dźwięczącą ciszę.

Marcja patrzyła na zmarszczki wody w basenie i podniosła oczy na głos Morvena. Spoglądał teraz na nią z nieopuszczającym go nigdy, zagadkowym uśmiechem.

— Co pan postanowił? — spytała go nagle.

Uczynił jakiś gest, jakby przenosząc teraz na nią odpowiedzialność za decyzję.

— Mój umysł jest próżnią — odrzekł po chwili. — Trzeba go koniecznie czymkolwiek wypełnić.

— Co za zdolność dostosowywania się — zaśmiała się Marcja. — Obawiam się jednakże, że żaden z mych pomysłów nie okaże się praktyczny. Gdybym miała tej nocy magiczny kobierzec...

— To co, to co? — zapytał ciekawie. Nie wiedząc, co odrzec, zaczęła się śmiać. Po chwili rzekła:

— To przeniosłabym się teraz na brzeg jakiejś wody. Ale wody głębokiej i owianej zefirem. Lecz z góry o tym wiem, że ta rzecz jest niewykonalna, więc szkoda czasu, by ją dłużej roztrząsać. A teraz niech pan coś powie, na pana kolej! Morven się zaśmiał.

— Skoro na mnie kolej — odrzekł po chwili — to przede wszystkim

oświadczam, że muszę dać to, czego pani zażąda. Ale zapytam jeszcze

o coś. Czy szanowny pan małżonek tu przyjdzie po panią?

Potrząsnęła głową.

— Nie — odrzekła. — Byłam tego pewna, że pan mnie odprowadzi. Nie wiedziałam przecież z góry, co pan zamierza.

— Dobrze — odrzekł. — Za małą chwilę będę miał plan. Proszę zaczekać.

Wybiegł po tych słowach, zaś Marcja podsunęła krzesło do basenu i usiadłszy na nim, chłodziła swe palce w przejrzystej wodzie.

Pomyślała o Pentreith, o wybrzeżach, skałach, paprociach i morzu, a wspomnienie przejęło ją niewysłowienie głębiej, niż ruch wielkowiejski i uciechy Londynu.

Wzdrygnęła się teraz. Posłyszała jego głos, dochodzący z pobliza.

— Wszystko gotowe! Czy możemy już ruszyć?

Zwróciła się ku niemu i spojrzała mu w twarz, uśmiechniętą, jak zawsze.

— Tak! — zawołała — ja również jestem gotowa. Ale dokąd idziemy? Musimy o tym pamiętać, że czas nie stoi.

— Bagatela! — krzyknął. — Nie martwmy się czasem. Zaśmiała się głośno i szybko powstała.

— Bagatela jak bagatela — rzuciła przekornie. — Przekonałam się, że gdy pan jest koło mnie, to najlepszy nawet zegar myli się.

Podeszła do niego i oboje zaśmiali się głośno.

— Nie wiedziałem nawet, że mam taką moc — odrzekł po chwili. — Obawiam się jednak, że siła ta działa tylko w jednym kierunku. Czy okrycie to wystarczy? Jest dosyć ciepłe? Czekaj na nas powóz, ale zupełnie otwarty.

— Noc jest dziś ciepła — powiedziała Marcja.

Ruszyli ku bramie, zaś Marcji się zdawało, że istotnie przystanęła na magicznym kobiercu. Jeśli myślała teraz o czymś, to tylko o Morvenie. Wsiadła do powozu i zaledwie się spostrzegła, pomknęła jak na skrzydłach przez ciepłą noc.

Jechali bez przerwy dalej przed siebie. Ulice tymczasem stały się węższe, światła coraz rzadsze. Ale powietrze było świeże, pachniało już wsią. Grzmoty z oddali ucichły zupełnie. Marcji się zdawało, że jakiś nowy świat otwiera się przed nią.

Znaleźli się znowu w pobliżu rzeki. Przejechali przez most, który wznosił się nad nią, po czym znowu pomykali wśród rzędów drzew. Ale teraz już krótko. Niebawem dostrzegli drzewa na szosie. Domki i wille zaczęły zanikać. Milczeli, jak przedtem. Ani jedno słowo nie padło w czasie drogi. Tak bardzo odczuwali swą łączność, że słowa były zbędne, milczenie ich zbliżało ku sobie.

Gdy Morven nareszcie zatrzymał powóz, Marcja mimo woli krzyknęła z zachwytu. Przywiódł ją do miejsca, o którym marzyła. Dostrzegła przed sobą spokojne zwierciadło wody i sylwetki jakichś drzew, rosnących opodal. Wszystko tonęło w poświacie księżyca.

— Co za rajski zakątek! — krzyknęła Marcja. Eryk przechylił się i szybko otworzył drzwi powozu.

— Pani o tym myślała? — zapytał po chwili.

— O tym — odrzekła. — Pan odgadł moje myśli.

Wysiadła z powozu i ruszyła ku wodzie. Nie mogła się nasycić pięknnością zakątka. Panowało głębokie milczenie.

Eryk szedł za nią, aż wreszcie przystanęli opodal wybrzeża.

— Pani o tym myślała? — powtórzył półgłosem. Marcja zwróciła się twarzą do niego.

— Jaki pan dobry! — rzekła z uznaniem. — Nigdy nie zapomnę tej miłej niespodzianki.

— Nawet w lepszych warunkach? — zapytał z uśmiechem. Zaśmiała się nagle, lecz dziwnie smutno.

— Każde z tych wspomnień będzie radością mego życia.

Te słowa go wzruszyły. Obudziły w nim nagle jakieś dziwne współczucie.

— Biedna! — zawołał. — Żal mi jest pani, że pędzi swój żywot w tak przykrych warunkach.

Marcja oparła się. Nie chciała widocznie, by roztkliwił się nad nią.

— Nie! — zawołała — nie lubię współczucia. Nie mówmy teraz o tym, zostawmy ten temat.

Zamilkł na chwilę, jakby nie chciał otwarcie toczyć z nią sporu. Po chwili dorzucił:

— Jeśli nie mylą mnie pozory, to nie spotkałem jeszcze w życiu tak samotnej osoby.

Uczyniła ruch, jakby znowu zamierzała podnieść swój sprzeciw, ale wstrzymała się nagle, wiedzona widocznie podszeptem rozsądku.

Morven po chwili podjął na nowo. Każde jego słowo tchnęło prostotą i dziwnym umiarem.

— Dla takich kobiet jak pani, życie nie powinno być puste. Nie czuliśmy pustki nigdy, przebywając we Francji. A warunki w czasie wojny były gorsze niż teraz. Dźwigaliśmy swój ciężar śmiało i odważnie kroczyliśmy w życie.

Wystarczyło nam poczucie, że łączy nas przyjaźń. Żadne z nas wtedy nie czuło się samotnie.

— Ale wspominał pan raz — odezwała się Marcja, ciągle jeszcze patrząc na powierzchnię wody— że pobyt nasz we Francji zdeprawował nas raczej, niż podtrzymał na duchu.

Morven uśmiechnął się.

— To pani tak powiedziała — przerwał jej żywo. — Być może dlatego, że życie wówczas było bardziej spontaniczne i naturalne, dalekie od konwenansu. Nie zgadzam się, że zdeprawował nasze dusze. On stworzył je raczej.

Marcja westchnęła.

Wyglądała jeszcze młodziej, stojąc obok niego w blasku księżyca. Płaszcz jej lekko osunął się z ramion. Biel jej szyi jeszcze żywiej się odcinała od barwy okrycia.

Po chwili rzekła:

— Myślałam nieraz o tym, aby ponownie się oddać obowiązkom pielęgniarki. Lubiłam tę pracę, ale...

— Ale co? — zapytał. — Czy nie czuje się pani na siłach?

— To nie to. Gdybym nie była zameżna, nie widziałabym ani jednej trudności. Ale w warunkach obecnych nie uważam tego za możliwe i wykonalne. Mój mąż by się oparł. Nie pozwoliłby na to.

— Czy nie potrafiłby się obejść bez pani? Jakaś ostra ironia zabrzmiała w tych słowach. Marcja nieznacznie potrząsnęła głową.

— Uważałby pewnie, że zawód pielęgniarki nie odpowiadałby zupełnie stopniowi jego godności. I miałby może rację ze swego punktu widzenia. Życie towarzyskie ma swoje wymogi. Wiem, com mu winna i muszę w tym względzie dotrzymać mu kroku.

— Naprawdę?—zapytał, nie kryjąc zdumienia. — Pani za dużo jest

winna najbliższym osobom. Albo wmawia to sobie. Ale jeszcze nikt nie pomyślał, że pani się to samo od nich należy. Ocknęła się nagle z zadumy.

Po chwili rzekła.

— Nie psujmy cudów tej nocy. Pozwól pan raczej, bym się czuła w tej chwili bezgranicznie szczęśliwa.

Spojrzał na nią.

— O tym właśnie marzę — odrzekł życzliwie. — I temu zawdzięczamy, że przybyliśmy tutaj. Czy nie myśli pani, że i mnie jest coś winna?

Wzruszyła się tonem, który zabrzmiał w jego głosie. Wyciągnęła spokojnie rękę ku niemu.

— Nie — odrzekła — stanowczo nie. Między takimi osobami jak my, nie może być mowy o długach wdzięczności.

Jeśli się szczerze przyjaźnimy, to ta przyjaźń daje nam obojgu radość. Czy nie mam może racji?

Morven w tej chwili pochwycił jej rękę.

— Rozumiemy się i byłbym już dawno to samo oświadczył, ale jest między nami coś więcej, niż przyjaźń. Jest nim to wszystko, co w uczuciu braterstwa. Byłbym dziś szczęśliwy, gdybym mógł to okazać.

Wypowiedział te słowa z zapalem młodzieńca. Po chwili dorzucił:

— Czy rozumie mnie pani, czy wie, o czym myślę? Chciałbym mieć prawo swobody wobec pani. Móc jej powiedzieć, co chcę i co myślę.

Marcja z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

— Rozumiem — odrzekła, podchodząc doń bliżej. — Przecież to jest istotą przyjaźni. A los nas od dawna przeznaczył na przyjaciół.

— Bardzo jestem rad, że i pani to uznaje — powiedział Morven, a zmieniając temat zapytał. — Czy tęskno pani czasem, gdy myśli o Pentreith?

Marcja po tych słowach odwróciła się nagle. Morven jeszcze czekał przez kilka sekund. Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrzał jej w oczy i począł nalegać:

— A więc? — zawołał. — Czemu pani milczy?

Marcja jeszcze dalej stała bez ruchu. Można było myśleć, że nie słyszała go nawet. Ale nagle się ocknęła. Zwróciła się do niego głosem dziwnie drżącym z wielkiego wzruszenia:

— Ach, jak często!... Jak często, Eryku!

— Czy podobnie, jak teraz? — zawołał zdumiony.

Marcja bez słowa skinęła głową. Płaszcz się ponownie osunął z jej ramion. Podbiegł i owinął ją szybko. Po chwili rzekła:

— Dobrze pan zrobił, że zapytał mnie o to. Musiałabym inaczej to sama powiedzieć.

— Skąd mogłem wiedzieć? — zapytał zdumiony. — Może i w tym leży dowód przyjaźni.

— Może — odrzekła, powstrzymując gwałtownie wybuch swych łez. — Pan musi mnie podtrzymać, dodać mi otuchy... Odczuwa się to wszystko, jak dziwną nostalgię... A uczucie nostalgii wyszło już z mody... Może to dusza tak woła, gdy się czuje spragniona.

— Znam to uczucie — odrzekł.

— Zna je pan także?...

Słowa jej brzmiały, jak cicha skarga. Po chwili dodała:

— Czy nie jest to śmieszne, że rozprawiamy tak o tym?

— To zupełnie naturalne — odrzekł z powagą. — Wszystko to sprawia poczucie samotności. Pobyt w Kornwalii nazwała pani przedtem radością swego życia. Może losy sprawią, że znajdziemy się jeszcze na cichym wybrzeżu. Marcja tylko z trudem walczyła ze łzami.

— Musimy — jęknęła — koniecznie musimy. Ale mam dziwne wrażenie, że to nigdy już nie będzie tym samym, co było.

Przyjaźń

Gdy wracali do Londynu, księżyc wysoko świecił na niebie, a wszystkie drogi były puste.

Marcja wygodnie spoczęła na oparciu, upajając się nocą i jej woniami.

— Czy żałuje pani może, że odbyła wycieczkę? — spytał Morven, gdy znowu przemykali przez wąskie uliczki.

— Ale, nie — odrzekła z entuzjazmem. — Żałuję tylko tego, że to wszystko minęło.

— Czy powtórzymy to jeszcze? — zaśmiał się teraz.

— Przecież wkrótce pan wraca.

— Nie muszę jeszcze wracać — odrzekł z uśmiechem. Marcja zwróciła się twarzą do niego.

Po chwili rzekła:

— Czy sądzi pan naprawdę, że może zostać? Oczy w tej chwili zapłonęły mu blaskiem.

— O ile o mnie tylko chodzi, to nic mnie nie zmusza. Chyba, gdyby pani zależało na tym.

— Lubię, gdy pan jest — zaśmiała się dziwnie. — Nie mogę panu opisać, jak dobrze się czuję.

— Bardzo mnie to cieszy — odrzekł radośnie. — Kiedy w takim razie spotkamy się znowu?

Zawahała się nagle, nie wiedząc, co odrzec. Po chwili dorzuciła:

— Trudno mi obecnie powiedzieć. Najlepiej jednak będzie, gdy zadzwonię do pana.

— Wszystko pani wolno, na wszystko się zgadzam. Jestem bardzo z tego rad, gdy się mogę przysłużyć.

— Pan się przysłużył już dzisiaj — odrzekła z uznaniem. — Nawet nie mogę opisać, jak wielką przyjemność sprawiła mi wycieczka.

— Więc powtórzmy ją jeszcze — nalegał jak przedtem.

— Doprawdy? — spytała.

Zawahała się jednak, jakby wewnętrzny jakiś głos ostrzegał ją.

— Mnie również to sprawi niezwykłą przyjemność — dodał po chwili. — Choćby dlatego jedynie, że raduje to panią.

— Postanowione już zatem — rzekła po chwili. — Zadzwoń do pana. A może wstąpi pan do mnie, odprowadzając mnie teraz? W domu mam wykaz mych zobowiązań i wizyt.

— Proszę raczej zadzwonić — odparł stanowczo. Ujął jej dłoń i uściśnął ją mocno.

— Dobranoc — dodał.

— Dobranoc — odrzekła głosem drżącym i dziwnie ściszonego. — Dziękuję serdecznie, jeszcze raz dziękuję.

Weszła do hallu, zostawiając go samego na stopniu przed domem, a drzwi w tej chwili zamknęły się nagle.

Skierowała się wolno w stronę pokoju. Gdy znalazła się w środku, ogarnęło ją znowu uczucie samotności. Byłaby coś zjadła, gdyby ktoś był koło niej, ale w tym strasznym opuszczeniu zapomniała natychmiast o potrzebie posiłku. Everard zapewne w tej chwili pracuje. Przyrzekła mu przedtem, że nie przeszkodzi mu w pracy, a nie myślała nawet o tym, by sam z własnej woli ją zechciał odwiedzić. Służba zapewne już również śpi. Żałowała obecnie, że przyszła wcześniej. Nękała ją myśl, że w nocy nie zaśnie. Chciałaby wrócić i znowu się znaleźć wśród cudów natury. Czemu się zgodziła, aby Eryk ją zostawił? Mogła jeszcze z nim być i rozprawiać o planach na przyszłość. Godzinę, albo dwie. Była zupełnie tego pewna, że nie chciał, aby poszła. Jeśli nie nalegał gwałtownie, to kierował się myślą, by nie uchodzić w jej oczach za przykrego natręta.

Było już za późno, by zadzwonić do niego i złażała się w duchu za swą zbytnią pochopność. Podeszła do okna i ściągnęła żaluzję. Znowu poczuła aromat nikotyny, ale zmieszany z zapachem nocy. Ogród tonął w blasku księżyca. Jakieś dziwne uczucie owładnęło nią teraz. Coś

zupełnie nowego, z czego nigdy do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Ogarnął ją nagle zapach lilii, lilii które ofiarował jej przedtem Eryk. Miała jedną przypiętą u brzegu gorsu. Wyjęła ją teraz i zbliżyła do twarzy. Dlaczego jej ofiarował te cudne kwiaty? Czy mógł wiedzieć, że przedkłada je nad inne? Może to przeczuł. Zdumiewał ją nieraz swą dziwną intuicją. Przypisywała to więzom łączącej ich sympatii. Wierzyła w jego przyjaźń i uważała ją teraz za największy swój skarb.

Była jeszcze młoda, gdy wyszła za Templetona, ale małżeństwo nie spełniło jej marzeń o szczęściu. Zbyt szybko doznała niemiłych rozczarowań. Ale przywykła już do nich, oswoiła się z myślą, że zainteresowanie jej męża ustąpiło tak wcześnie. Pocieszała się nadzieją, że mąż jej w przyszłości jeszcze się zmieni, gdy postarzeje się nieco lub będzie chory. Mężczyźni w takich razach wracają do żon. Nie zważają wtedy na to, że kobiety te niegdyś przestały ich pociągać. Ale zbyt odległe to było, by się nad tym zastanawiać. Przestała wierzyć, by mąż jej kiedykolwiek mógł odczuć jej brak.

Eryk był inny. Pragnął jej przyjaźni i dowodów sympatii. A ona tak samo pragnęła ich od niego.

— Sięgaj po szczęście jakąkolwiek drogą — kiedyś, gdy jeszcze ze sobą lubili rozmawiać, powiedział tak Everard.

— Nie mam tyle czasu, by poświęcić ci życie. Za wiele poświęciłem obowiązkom społecznym.

Dbał jednak o to, by zapewnić jej popularność. Może jego wielka ambicja odgrywała w tym rolę. Nie bronił jej rozrywek i cieszył się zawsze z jej wszelkich sukcesów. Uważał wtedy, że spełnił tym samym obowiązki wobec niej. Nie był nawet zdolny do odczuwania tęsknoty. Jedna godzina, spędzona z Erykiem, była głębsza i piękniejsza niż 15 lat przeżytych z Everardem. Wzdrygnęła się nagle na wspomnienie tej myśli i ponownie przytuliła swą twarz do kwiatu.

— Zostańmy przyjaciółmi — szepnęła. — Nie opuszczę Eryka i do końca życia pozostanę mu wierna.

Uniosła głowę i nagle uczuła ulgę w swym sercu.

Plany

— A więc Everard triumfuje, postawił na swoim!... — rzekła jego siostra cokolwiek wyniośle. — Ale z nim to tak zawsze, gdy coś postanowi. Wydaje mi się teraz, że to wszystko nie było warte tak wielkich zachodów.

— Jak to? — przerwała jej Lady Barrowdale. — To nie żart, moje dziecko, dostać tytuł barona. Nie mamy ich tak wielu w Anglii. Jakie szczęście, że ma syna! Marcja zapewne nie posiada się z radości!

— Na razie wycofała się w zacisze domowe — odrzekła Lilith.

— Nie ganię jej za to. Ci reporterzy prasowi są natrętni jak muchy. Właśnie dziś rano odwiedził mnie jeden. Prosił mnie o wspomnienia z czasów wojny. Taki reporter jest pewien, że jeszcze ciągle się myśli o tamtych przeżyciach. Potem żądał jej portretu w uniformie pielęgniarki. Wiedział już, że pełniła jakieś funkcje w Czerwonym Krzyżu. Powiedziałam mu na to, że bardzo w to wątpię, czy taki portret istnieje i że jej strój pielęgniarki już dawno zapewne wrzucono do ognia.

Lady zaśmiała się.

— Nie mogę uwierzyć, aby Marcja to zrobiła — rzekła po chwili.

— Lubiała owe czasy i wspominała je nieraz z prawdziwym wzruszeniem. Nigdy jej nie widziałam w stroju pielęgniarki. Wyobrażam sobie jednak, że musiała w nim wyglądać uroczo.

— Jej we wszystkim jest dobrze — odezwała się Lilith, ale nie było w tych słowach szczerego entuzjazmu.

Po chwili dodała:

— Nie mogę sobie wyobrazić, jak ona to robi. Ale w ostatnich

czasach poprawiła się nieco. Wygląda już lepiej i ma lepszy humor. Ale skąd ta zmiana? Może widoki baronostwa obudziły w niej nagle zapał do życia.

— No nie, moja droga, nie posądzaj jej o to!

Lady zaśmiała się, ale w słowach jej brzmiała wyraźna wymówka. Po chwili rzekła:

— Zanadto jest rozsądna, aby przywiązywać do zaszczytów dużą wagę. Mam dziwne wrażenie, że wolałaby się obejść bez tytułu. Nie często się spotyka tak prostą i szczerą osobę.

— Chytrości w niej nie ma — przyznała Lilith. Wyrzekła to z trudem, siląc się na obiektywizm. Nagle zmieniła temat rozmowy:

— Powiedziała mi niedawno, że wyjeżdża do syna pod koniec tygodnia. On kończy obecnie semestr w Graybourne. Jest wzorową matką. Przesadza po prostu w troskliwości. Ładnie jej to dzieci nagrodzą w przyszłości!

— Przecież ma dobre dzieci! — odezwała się Lady. W słowach jej brzmiała tak wielka szczerść, jakby nie mogła w to uwierzyć, że istnieją na świecie jakieś dzieci złe.

Lilith wolała zamilczeć. Nie wypadało jej o każdą drobnostkę spierać się z matką. Uważała to za bezcelowe marnowanie czasu. Chrząknęła niecierpliwie i zaczęła znowu mówić o karierze brata.

— Everard podobno wyjeżdża już jutro. Mówił mi niedawno, że spędzi urlop nad morzem. Pojedzie na pewno do Bailey, bo chce tam kończyć ostatnią pracę. Dłuższy czas nie będziemy go widzieć.

— Ale wróci jeszcze pewnie, by odwiedzić Marcję. Lilith zaśmiała się.

— Ale opieki jej nie trzeba, jeśli mogła w czasie wojny zupełnie samodzielnie żyć we Francji.

Słowa te brzmiały dość ironicznie. Lilith bowiem sama nie okazywała zainteresowania udziałem kobiet w tej strasznej wojnie. Wypominała bratu, że pozwalał swej żonie wyjechać do Francji.

Lady wolała tę uwagę przemilczeć. Wkrótce zmieniły temat rozmowy, ale każda z nich obu miała odmienny stosunek do swej powinowatej — Marcji.

Gdy Marcja po tygodniu spotkała się z Erykiem, była w doskonałym humorze i nie omieszkała mu powiedzieć, co zaszło w jej rodzinie. Odwiedziwszy syna w zakładzie w Graybourne, potem córkę w pensjonacie, ustaliła plany na czas wakacji. Ani jedno, ani drugie nie chciało jej towarzyszyć. Dennisa zaproszono do Norwegii (ojciec jego kolegi miał tam płynąć jachtem). Goldie upierała się, by pod kierunkiem Miss Robbins zwiedzić z przyjaciółmi Szwajcarię. Marcja i Dennisowi i Goldie obiecała wyjednać zgodę ojca.

— A więc cała rodzina daje pani urlop? — odezwał się Eryk.

— Pragnę swobody — powiedziała Marcja, ale dostrzegła w jego oczach wyraz niechęci.

— To zupełnie naturalne — dodała po chwili. — Byliśmy tacy sami, będąc w ich wieku.

— Jestem pewny, że nie byliśmy — rzekł krótko Eryk. Nie wytrzymał, by nie dodać na koniec:

— Niesforne urwipołcie!

— Eryku! — zawołała, protestując gwałtownie.

Spojrzał jej w oczy z czułym, nieco żartobliwym wyrazem twarzy.

— Powiedziałbym tak samo, gdyby Dennis i Goldie byli moimi dziećmi. To zawsze tak bywa, gdy szczeni się klapsów, póki dzieci są małe.

— Nie było mnie z nimi wtedy, gdy były małe — smętnie powiedziała Marcja. — Wątpię jednak czy to miałoby znaczenie. Dzieci współczesne opierają się zazwyczaj surowemu traktowaniu.

— Na pewno by się nie opierały, gdybym miał je w swym ręku — rzekł Eryk z powagą.

Marcja zaśmiała się.

— Wątpię — odrzekła, patrząc mu w oczy. — Pan uwielbiałby swe dziecko, na rękach by je nosił. Tak to już jest.

Gdy się człowiek zreflektuje, bywa za późno.

Potrząsnął głową i napełniał tymczasem swą małą fajeczkę.

— Możliwe — odrzekł. — Gdyby dziecko to w czymkolwiek przypominało mi panią, wszystko, co pani mówi, byłoby prawdziwe. Gdyby było jednak inne, tak jak Goldie na przykład...

— Dosyć! — przerwała, nie kryjąc niechęci. — Za mało ją pan zna i nie chcę, by pan wiecznie pomstował na nią.

Uniósł jedną brew i spojrzał jej w oczy.

— Lubię panią, Marcjo, więc proszę mi darować ten wybryk. Nie mogę pojąć, że taka osoba jak pani, jest matką Goldie.

— Ludzie uważają, że jest do mnie podobna.

— Nie wszyscy ludzie. Gdyby mnie zapytano, musiałbym zaprzeczyć. Nie widzę między wami ani śladu podobieństwa. Dennis jest inny. Prędzej bym dostrzegł podobieństwo do pani.

— Nie spierajmy się o to — rzekła dotknięta. — Gdy Goldie podrośnie, zmieni pan zapewne dotychczasową opinię.

— Ona nigdy nie będzie podobna do pani.

W słowach jego brzmiało głębokie przekonanie. Po chwili dodał:

— Taka osoba jak pani, zjawia się raz na dziesiątki stuleci. Według mnie, niemożliwe, by ktokolwiek na świecie był podobny do pani.

— Tylko bez przesady! — zganiła go Marcja. — Za wysoko pan mnie wynosi. Można upaść i rozbić sobie głowę!... Eryk był dalej zajęty fajeczką.

— Bardzo mnie dziwi, że pani wątpi w mój podziw. Nie jestem chyba pierwszym, który objawił go pani.

— Czy nie przyzna pan sam, że mocno przesadza?

— Nie — odpowiedział, patrząc jej w oczy. — Ale nie dyskutujmy już o tym. Wróćmy lepiej do planów urlopu. Czy z tego, co słyszałem, mógłbym wnioskować, że pani tego roku zupełnie samotnie spędzi wakacje?

Nie wspomniał o jej mężu. Nie czynił tego nigdy. Nawet drobne uwagi, dotyczące jej męża, zbywał przeważnie milczeniem. Był to jedyny ich temat, którego stale unikali.

Wprawdzie Marcja nie ukrywała stanów swego ducha i często wspominała o swym osamotnieniu, ale o sytuacji domowej mówiła tak powściągliwie, że Eryk nie mógł mieć rozeznania w jej stanie faktycznym. Była szczerze przekonana, że gdyby wyjawiała mu prawdę, nie uznałby zapewne jej dziwnych argumentów, które służyły, by uśpić jej własne sumienie.

W pytaniu, które zadał, nie mieściła się jednak aluzja do Everarda, więc nie mogła go zostawić bez żadnej odpowiedzi.

— Znajdę jeszcze kogoś, kto mi będzie towarzyszył — rzekła po chwili. — Ale nic jeszcze nie jest ostatecznie postanowione.

— Wiem, o co chodzi — odezwał się nagle. — Pani nie jest jeszcze pewna, czy nie będzie potrzebna komukolwiek z rodziny. Wie pani, Marcjo, zdarzają się momenty, w których wprawia mnie we wściekłość pani gotowość do poświęceń.

Marcja zaśmiała się.

— Nie wiedziałam, że pan tak łatwo się oburza.

— Pani się marnuje — rzekł — nie ceni swej godności. Co bym za to dał, gdybym mógł na panią mieć wpływ.

— Nie wzgardzę wskazówkami — odpowiedziała Marcja.

— Mógłbym nimi służyć. Ale pani je odrzuci. Gdybym zaproponował jej na przykład, żeby uwolniła się od ciężaru wykorzystujących ją osób, odmówiłaby pani na pewno i oburzyła się nawet. I na cóż to się przyda?

— Żeby uwolniła się od ciężaru? — zdumiała się Marcja. — Myśli pan może, że powinnam od nich uciec?

— Choćby na koniec świata — rzekł Eryk. — Dopiero wówczas potrafiliby docenić matkę. Zateśkniliby za panią nieporównanie goręcej niż pani za nimi.

— Pan mówi to serio? — zachnęła się Marcja. — Pan wierzy w to naprawdę, że nie czułabym tęsknoty?

Spojrzał jej w oczy poprzez smugę dymu.

— Może nie tak gorąco, jak się pani wydaje. Poruszyła się nagle, jakby na znak protestu.

— Pan nie rozumie mnie, Eryku — rzekła z wyrzutem.

— Rozumiem — odrzekł, prostodusznie jak zawsze. — Pani zanadto się poświęca, a za mało myśli, że sama ma również prawo do życia.

— Nie zaradzę już temu — westchnęła z goryczą.

— Zaradzi pani — wtrącił — ale trzeba spróbować. Nie można tak marnieć i zaprzepaszczać młodości. A życie jest piękne. Czy chce pani czekać, aż zaskoczy ją starość i wtedy dopiero uznać swe błędy? Za wiele pani straci. Nie potrafi powetować poniesionych już strat.

— To smutne — odrzekła, podnosząc swe oczy.

— Tak, to jest smutne — przyznał skwapliwie. — Ale czy jest jakiś powód, by marnować swe życie? Czy tylko po to się żyje, aby we wszystkim, co się czyni, ponosić klęski.

— Jeśli poniosłam ją kiedyś, to z własnego przewinienia. Porwała go złość. Uderzył swą pięścią gwałtownie w kolano.

— Niemożliwe! — wybuchnął. — Pani zanadto jest dobra, zanadto szlachetna. Tak dalece nawet dobra, że pamiętając o drugich, zapomina, że i sobie jest winna choć krztynę serca.

— Nonsens, Eryku! — zaśmiała się nagle. — Czy pan naprawdę w to wierzy, że nie jestem egoistką?

— To nie nonsens — zawołał. — Nie jestem szaleńcem. I za długo panią znam, by się mylić. Najchętniej bym ją zabrał na miesiąc do Kanady. Dopiero wtedy by pani poznała, co może dać życie i że są tacy, co panią docenią. Twarz jej nagle pokryła się rumieńcem.

— Czy to wszystko nie śmieszne, co mówisz, zupełnie jak dziecko. Eryk podskoczył ze złości.

— Śmieszne? — powtórzył, widocznie dotknięty. — A jednak jestem pewny, że nie pożałowałyby pani wczasów w Kanadzie. Postarałbym się o to, aby każdą jej chwilę urozmaicić. Wszystko dokoła byłoby szczęściem. Ale szkoda o tym mówić. Przecież z góry wiem, że się pani nie zgodzi.

Podeszli nieco dalej ku brzegom sadzawki. Dzień był przecudny, ciepły, czerwcowy. Nad wodą powiewał łagodny zefirek, drzewa rzucały cień świeżym listowiem. W oddali z powagą posuwał się łabędź.

— Czy widział pan kiedyś jawory w słońcu? — odezwała się nagle. — Proszę na nie spojrzeć. Czy nie wydają się cudne?

Podniósł wprawdzie oczy, ale spojrzął teraz na nią, zamiast na drzewa. Patrzył na nią długo, może nadto natarczywie. Nie odrzekł ani słowa.

— Co się panu stało? — spytała go w końcu. — Czy zrobiłam coś złego?

Uśmiechnął się lekko. Po chwili odrzekł:

— To tak samo niemożliwe, jak przejść przez ten staw, nie umoczywszy sobie nóg.

Marcja zaśmiała się.

— A gdybym potrafiła? Czy mogę spróbować? Potrząsnął głową.

— Lepiej nie próbować. Musiałbym wejść do wody za panią, a przyznam się szczerze, że nie mam ochoty.

Zostawmy to na razie i chodźmy na obiad. Najmiemy potem łódź i popłyniemy nią na drugi brzeg. I do lasku zajrzemy, jeśli będzie ochota.

— Ale nie opuszczę go przed tym, nim słońce zajdzie. Jakaś gwałtowna radość ożywiła jej twarz.

Po chwili dodała:

— Jawory jeszcze cudniej zapłoną o zachodzie. Spojrzał w tej chwili cokolwiek z ukosa.

— I przypomną się pani, gdy kiedyś, w przyszłości znajdzie się sama.

Midas

Bezpośrednio po obiedzie, który jedli na werandzie (Eryk na deser kazał podać jej poziomki, sam udając, że nie lubi), wyruszyli z powrotem ku zieleni i słońcu i wesoła beztraska ogarnęła ich nagle. Trzymali się za ręce i przekomarzali, jak dzieci. Czuli się młodzi, jakby byli częścią tego dziwnie pięknego, rozkosznego popołudnia. Marcja zapomniała o wszystkich troskach. Nie miała czasu analizować swych uczuć. Było jej dobrze z Erykiem.

Wsiadli do łodzi i popłynęli ku środkowi stawu. Na wodzie było chłodniej. Ich łódź początkowo przeciskała się wśród sitowia, potem już szybciej płynęli otwartą wodą. Eryk o wszystkim pamiętał, nawet o tym, by wymościć łódź poduszkami.

Marcja swobodnie leżała wśród nich i było jej tak błogo jak nigdy. Odczuła jakąś zmianę, która zaszła w jej duszy i była jej rada. Myślała

o tym, czy nie opowiedzieć Erykowi, że jest szczęśliwa, że ogarnęło ją nagle takie dobre zapomnienie.

Eryk milczał uparcie. On również upajał się ciszą wieczoru. Z lubością wsłuchiwał się w poszum wiklin i od czasu do czasu spoglądał na Marcję. Miała oczy przymknięte, ale go obserwowała i uśmiechnęła się nagle. Poznał, że jest oczarowana chwilą a może i nim. Odłożył wiosła

i gładził jej rękę. Nie protestowała.

Przybili do brzegu, w pobliżu słuzy. Wyszli na ląd, który posyty był tutaj mchem i murawą, nieco dalej zieleniły się zarośla i wierzby. Przez liście słońce rzucało czerwony blask.

— Ach, jak tu cudnie! — westchnęła.

Eryk uwiązał łódź i obserwował radosną twarz Marcji.

— Podoba się? — spytał, uśmiechając się do niej.

— Bardzo — rzekła. — Pan za każdym razem sprawia mi jakąś niezwykłą przyjemność.

— Nie — zaprzeczył. — Różnica jest w tym, że umie pani teraz cieszyć się życiem.

— Nie wiem — odrzekła, uśmiechając się z lekka. — Nie jestem tego pewna, czy to jest właśnie szczęście. Może po prostu należy cieszyć się z tego, że świat jest piękny i że ma się przyjaciela bliskiego, nawet bardzo.

— Wynika stąd jasno, że nie powinno się szperać w smutnej przeszłości. Najlepiej żyć chwilą. I wygrzewać się w słońcu, gdy tylko zabłyśnie — dopowiedział Eryk.

Z zachwytem przyglądał się teraz jej złotym, lekko rozwianym włosom, jej jasnej twarzy o drobnych rysach.

Spojrzał jej w oczy z wyrazem podziwu.

— Pani jest piękną kobietą, Marcjo, stworzoną do życia w słońcu. Do chłonięcia go w siebie i promieniowania nim dalej.

Uśmiechnęła się znowu.

— Byłabym egoistką, gdybym ukrywała je w sobie. Ale ani go nie chłoneę, ani — jak pan twierdzi — nie promieniuję nim dalej.

— Nie dam się przekonać — upierał się. — Skąd by takie ciepło płynęło od pani? Nie widziałem jeszcze podobnego u żadnej kobiety. No, może u jednej, ale było to dawno, w czasie wojny, w szpitalu. Nie mogę jej zapomnieć dotąd.

— Ależ z pana romantyk — zaśmiała się Marcja. — Czy nie jesteśmy śmieszni? Może to słońce sprawiło, że widzi pan dziś wszystko w jasnych kolorach... Przypomina mi pan dzisiaj sławetnego Midasa.

— Chyba nie z powodu uszu? — żartował Eryk. Marcja zaśmiała się.

— Bo wszystko, na co pan patrzy, zmienia się w złoto.

— Ja tylko tam widzę złoto, gdzie pani przebywa. Usiedli na pniu drzewa. Eryk zapalił fajkę i zapytał:

— Gdzie pani spędzi tegoroczne wakacje?

— Gdzie pan spędzi tegoroczne wakacje? — odparowała złośliwie. Spojrzał w jej oczy, jakby dotknięty tym nagłym wyzwaniem.

— Do niedawna myślałem, że wrócę do Kanady.

— A teraz? — spytała, patrząc mu w twarz. Nagle ogarnął ją niepokój o to, że straci przyjaciela i że będzie to koniec jej szczęścia.

Myślał przez chwilę, a wreszcie odrzekł:

— Czy nie czuje pani, Marcjo, że od dawna nas łączą zaślubiny dusz? Dlaczego pani nie chce wyjechać ze mną?

— Eryku! — jęknęła.

Podszedł do niej, jakby chcąc ją przekonać.

— Ten lęk przed wyjazdem jest dziwnie staroświecki. Dlaczego broni się pani tak wytrwale. I cóż by w tym było, gdyby pozwoliła sobie pani na eskapadę do Kanady? Czy ktoś by się tym przejął lub zmartwił?

— Nie wiem, nie wiem — odrzekła zmieszana.

— Jestem pewny, że nie — dorzucił po chwili. — A wielki już czas, by uwolniła się pani z dotychczasowej niewoli. Za wiele się pani poświęca rodzinie.

— Pan mówi jak dziecko — odrzekła z uśmiechem. — Przejdźmy do tematów nieco bardziej realnych.

— Przeszkadzam pani może? — spytał dotknięty. — Cóż, nie chce pani płynąć prawdziwym statkiem, zbuduję więc czółno z patyczków.

To rzekłszy, narwał trochę wiklin z bliskiego brzegu i jął z nich układać szkielet czółna. W oddali przy słuzie szemrała woda.

Spojrzała na niego, rozbawiona jego śmieszną zabawką. Maszt był zrobiony ze zwykłej zapalki, sznur i liny ze źdźbeł trawy.

— Czy będzie mogło płynąć? — spytała Marcja.

— Tak, ale musi mi pani pomóc. Proszę dać włos do spięcia żagli. Ściągnęła kapelusz i spełniła życzenie.

— Czy wystarczy? — spytała.

Wziął jej włos i podniósł go ku światłu.

— Jeszcze jeden — poprosił.

— Drugi będzie szary — zaśmiała się Marcja.

— Pani włosy są złote — powiedział krótko.

— Pan jest niepoprawny — zawołała, podając mu drugi. — Znowu ów Midas odzywa się w panu.

Eryk milczał, gdyż precyzyjna jego zabawka wymagała w tej chwili skupionej uwagi.

Marcja jakiś czas spoglądała nań żywo, potem przymknęła oczy.

— Zbudź mnie pan, gdy będzie gotowe — rzekła półsennie.

Czarowny las

Zapadła w głęboki sen. Utuliła ją cisza i zapach powietrza, który odurzył jej zmysły. Śniło jej się, że przebywa w Kanadzie. Nie widziała jeszcze w życiu tyle złota i słońca, nie odczuwała jeszcze dotąd tak szczęsnej błogości. Wszystko dokoła uśmiechało się do niej. Eryk zapewne, był również w pobliżu; była zupełnie tego pewna, ale gdziekolwiek się zwróciła, nie mogła go dostrzec. Wiedziała tylko tyle, że wszystko na co się patrzy, należało do niego. Zjawił się wreszcie, oświadczając z uśmiechem, że przywiódł ją oto do swego królestwa, że tu jest jej miejsce i że odtąd mu będzie jego panią i królową.

Otworzyła oczy i dostrzegła w pobliżu Eryka. Nie uśmiechał się teraz, lecz siedział obok wiosła i opuściwszy głowę, zapatrzył się w wodę. Gdy postyszał jej ruch, dźwignął się rychło i przeniósł spojrzenie bezpośrednio na nią.

— Gdzież pani przebywała przez cały ten czas? — zapytał po chwili, uśmiechając się do niej.

Przeciagnęła ramiona i spojrzała mu w oczy.

— Pan nie uwierzy zapewne. Byłam w Kanadzie.

— No i cóż? — spytał. — Podobało się pani?

— Bardzo — odrzekła, lekko zmieszana.

— Byłem tego pewny — zaśmiał się dziwnie.

— I cóż pani widziała, co oglądała? Wyraz jej twarzy spoważniał.

— Zboże przede wszystkim, ale dojrzałe i złote. Nie widziałam jeszcze w życiu podobnego bogactwa. Pan nie mówił mi o nim.

Marcja usiadła i oparła ręce na kolanach.

— Czy byłem tam również? — spytał ciekawie.

— Tak — odrzekła — pan również tam był. Uśmiechnęła się nagle. Po chwili dodała:

— Na pewno był to pan, jeśli nie był to Midas. Ale raczej przypuszczam, że widziałam pana.

Nagle Marcja poderwała się na nogi.

— Eryku — rzekła — musi być późno. Czy pomyślał pan o tym, że czas nie stoi?

— Proszę się nie martwić. Jeszcze jest dużo czasu. Spojrzała zdumiona na zegarek.

— Może — rzuciła, nie dowierzając swym oczom. — Ale nie chce mi się wierzyć, żeby było tak wcześnie. To niemożliwe, Eryku, żeby nie było jeszcze szóstej.

— Za dziesięć szósta — odrzekł Eryk. — Ale dlaczego? — dorzucił. — Czy czas pani istotnie tak wolno upływa?

— Człowiek, gdy zaśnie, nie orientuje się w czasie — odezwała się w końcu.

Spojrzała mu w oczy i rzekła jeszcze:

— Niech się pan nie gniewa, że postąpiłam tak dziwnie. Pan nie powinien był pozwolić, bym zasnęła na dobre.

Wstyd mi doprawdy, że nie mogłam się przemóc.

— Ale czemu? — zapytał. — Bardzo się cieszyłem, że pani zasnęła.

— Pan nie spał? — spytała, jakby nie mogąc uwierzyć, że nie pokonała go senność.

— Nie — rzekł krótko.

Wszystko dokoła, po przebudzeniu wydało jej się teraz przedziwnie przekształcone.

Zmieniła zniemacka temat rozmowy.

— Co z pańską łodzią? — spytała ciekawie.

— Z łodzią? — powtórzył, spozierając jej w oczy.

— Z łodzią — przytaknęła. — Czy ukończył już pan maszt i wiązania linowe? Czy moje włosy były odpowiednie?

Potrząsnął głową.

— Nie użyłem ich. Zrobiło mi się żal i ukryłem je w przegródce portfela. Ale łódź mimo wszystko puściłem na wodę.

Pomknęła równiutko, jakby zupełnie jej nie brakowało masztu i wiązań.

— Musimy ją obejrzyć — zaśmiała się Marcja. — Pospieszmy się zatem, nim udamy się w drogę. A czas chyba wielki. Pamiętaj pan o tym, że wracam pociągami.

— Czasu jeszcze dużo — odparł stanowczo. — Zostańmy jeszcze chwilę. Czy napije się pani herbaty? Marcja powstrzymała ponowne ziewnięcie.

— Napiję się — rzekła. — To rozbudzi mnie trochę. Spojrzała przed siebie, z nieukrywanym żalem na twarzy.

— Bardzo było miło — rzekła.

— Czy nie chciałaby pani pozostać tu na noc? Marcja zaśmiała się.

— Chętnie bym została — odrzekła po chwili. — Brakuje jedynie koca do okrycia.

— Postaram się o koc — wybuchnął z entuzjazmem.

Mówiąc to, zerwał się ochoczo, ale Marcja wstrzymała go skinieniem ręki.

— Nie! — zawołała — to nie miałoby sensu. Wracajmy, Eryku, przecież czas już najwyższy.

Powstał i bez słowa rozluźnił linę uwiązaną do drzewa. Łódź już po chwili mknęła po wodzie. Było cicho, pogodnie, słońce na niebie poczęło zachodzić.

— Cudownie! — rzekła z zachwytem Marcja. — Tylko wiosłuj pan ostrożnie, bo wpadniemy do wody.

Spojrzała na jego sportową sylwetkę i na krzepkie ramiona, pracujące wiosłami. Miała wrażenie, że ten siłacz może spełnić każde jej życzenie.

Słońce, płonące u szczytów jaworów, rzucało złoty blask na wodę, po której płynęli.

— Ach, jak tam pięknie! — krzyknęła z zachwytem. — Czy byłby jeszcze czas, aby zajrzeć do lasu?

— Mnóstwo jeszcze czasu! — potwierdził żywo.

Staw tymczasem ożywił się nagle. Łodzie, czółna i małe, ale śmigłe motorówki, przecinały jego wody w przeróżnych kierunkach.

— Za wiele tu ludzi — rzekł Eryk.

— Wcale mi nie przeszkadzają — zaśmiała się Marcja. — Lubię to nawet.

Spojrzał jej w oczy pożądliwie.

— Ale z daleka — odrzekł. — Byle nie za blisko. Marcja jeszcze ciągle uśmiechała się.

— Ja również nie lubię zbytniego tłoku. Ale chyba każdy ma prawo pokrzepić się nieco i napić herbaty na świeżym powietrzu.

Eryk spochmurniał.

— Nie smakowałaby mi, gdybym pił ją w tej cizbie.

Mówiąc to, wskazał na jedną z motorówek. Zajęła ją grupa krzykliwych wycieczkowiczów.

— Jestem bardziej towarzyska — odparła Marcja. — Ale oto już jesteśmy u celu podróży. Sprawdzimy teraz rozkład pociągów. Nie zostanie chyba czasu, aby obejrzeć jeszcze lasek?

Eryk ponownie zmarszczył czoło.

— Nie mówmy już o tym, że mało czasu.

W głosie jego brzmiało widoczne zniecierpliwienie. Po chwili dodał:

— Czy zależy pani na tym, aby popsuć mi humor? Marcja zaśmiała się.

— Straszny z pana dzieciak. Przecież będzie jeszcze okazja, aby wrócić tu kiedyś. Jak nie dziś, to jutro, a jak nie jutro, to pojutrze.

— A jeśli wyjadę do Kanady? — zapytał niecierpliwie. — Czy pani przyjdzie tu sama, gdy mnie już nie będzie?

Twarz jej zniecka zachmurzyła się.

— Sama nie przyjdę — odrzekła stanowczo.

— Dziękuję, cieszy mnie to.

Dobili do brzegu, Eryk powstał i pomógł jej przy wysiadaniu z łodzi. Ruszyli w kierunku wybrzeża. Gdy znaleźli się na werandzie gospody, zażądali herbaty i wkrótce ją im podano.

— Nie pozwolę pani wrócić do miasta pociągiem — powiedział Eryk. — Odwiozę panią autem.

— Czy nie odwiedzi pan w tym tygodniu Petera na wsi? — spytała go nagle.

— Nie mam zamiaru — rzekł Eryk. — On jest teraz zanadto zajęty żniwami. Czy uważa pani może, że warto by przypomnieć mu o istnieniu cywilizacji?

— Och, nie! — obruszyła się — on jej nie lubi. Na pana miejscu wysłałabym go zaraz na wyprawę do Kanady.

— A sam miałbym zostać? — zapytał po chwili. Marcja przytaknęła:

— Oczywiście, że tak.

— Czy pani na tym zależy? — pytał dalej. Marcja w tej chwili nalewała herbaty.

— A więc? — nalegał, spoglądając jej w oczy. — Pani zawsze do tej pory była przesadną altruistką.

— Ale teraz zmieniłam się — odrzekła bez namysłu. — Panu to zawdzięczam, że stałam się obecnie inna. Czy pan to rozumie?

— Chciałbym rozumieć — odrzekł z uśmiechem.

— Pan tego nie widzi? — spytała zgryźliwie.

Popijała herbatę i znowu patrzyła na wierzchołki jaworów.

— Czy dolać panu jeszcze? — spytała po chwili.

— Nie, dziękuję.

Oparł się łokciem o brzeg stolika.

— Nie pije już pani? Proszę więc zapalić.

Przyjęła papierosa i w milczeniu zaciągnęła się dymem. Przerwał jej nagle tę dziwną zadumę.

— Marcjo! — zawołał.

Spojrzała mu w oczy przez smugę dymu.

— Proszę — zapytała. — Czy pora nam już odejść?

— Pani ciągle przestrzega reguł i zasad? Przecież nikt wobec pani nie przestrzegał ich nigdy.

— Proszę mnie nie męczyć — odrzekła z niechęcią. — Ale co pan chciał powiedzieć, zwracając się do mnie?

Powstał znienacka.

— Przejdziemy teraz most — oświadczył — i zajrzemy na chwilę w głąb tego lasu. Może usłyszę tam więcej o celu tych rozmyślań.

Marcja zerwała się szybko. Twarz jej oblokła się lekkim rumieńcem. Wyglądała w tej chwili jak młoda dziewczyna. Poszli wzdłuż ścieżki, wiodącej pobrzeżem i stanęli po chwili u wąskiej kładki, biegnącej przez staw. U obu jej stron widniały poręcze.

Przystanąła na moment, aby przyjrzeć się wodzie, ale on znienacka ujął jej rękę.

— Nie zatrzymujmy się — naglił — szkoda nam czasu. Chciałem teraz właśnie zapytać się o coś.

Podeszła milcząco do brzegu kładki i tu przystanąła, spoglądając mu w oczy.

— A więc? — zapytała. Eryk ponownie ujął jej rękę.

— Pani chciała iść w las — zawołał z uśmiechem. — Ale proszę teraz spojrzeć!... Przed lasem są wrota.

— Nie pójdziemy już zatem — zaśmiała się dziwnie. — Ten las jest zapewne własnością prywatną.

— Wszystko jest drobnostką, jeśli chodzi tylko o to, abym spełnił w tej chwili życzenie pani.

— Doprawdy, Eryku? — krzyknęła, protestując. — Nie wiedziałam, że i pańskie zasady są dziwnie niestałe.

Przystanęli u wrót, zaś Eryk bez namysłu nacisnął klamkę. Brama się otwarła i nic już teraz nie stanowiło przeszkody.

— Ach, jak tu cudnie! — odezwała się Marcja.

Szli obok siebie, jakby najmniejsza troska nie mąciła ich myśli i nastroju. Jakiś powalony pień zagroził im drogę.

Przystanęli obok niego.

Eryk zrzucił swój płaszcz i rozpostarł go przed nią, chcąc, by usiadła.

Usiedli obok siebie, zaś on ujął jej rękę. Na twarzy Marcji pojawił się uśmiech. Nie stawiała mu teraz żadnego oporu.

Poddając się wrażeniom, dziwnie oczarowana niezwykłym przeżyciem, zapomniała o tym, co ich dzieli.

Przechylił się ku niej i powiedział:

— Czy pozwoli pani, Marcjo, że ją o coś zapytam?

— O co? — odparła, spoglądając ku ziemi.

— Chciałbym się dowiedzieć, co pani myśli? Jak pani sądzi? Czy się dobrze wywiązałem z roli opiekuna?

Marcja bez wahania skinęła głową. Jej wzrok jeszcze ciągle spoczywał na ziemi.

— Tak — odrzekła. — Ale czy nie uważa pan może, że sprawiłam mu kłopot? Czy jest pan szczęśliwy?

— Jestem zawsze szczęśliwy, gdy pani jest ze mną — odpowiedział. — A pani w takich chwilach jest również szczęśliwa.

Niezbite przekonanie brzmiało w tych słowach. Marcja spojrzała, nie próbując nawet teraz zaprzeczać.

— Tak — odrzekła. — Pan sam o tym wie, jak bardzo to doceniam, że łączy nas przyjaźń.

— Czy smuciłaby się pani, gdybym musiał odjechać?

— Bardzo, Eryku, naprawdę bardzo. Uniósł jej rękę i przywarł do niej ustami.

— Czy sądzi pani, Marcjo, że kiedyś w przyszłości, poznamy się lepiej?

— Czy odjeżdża pan naprawdę? — spytała zmieszana. W głosie jej brzmiała nuta żalości.

— Trudno to przewidzieć — odrzekł. — Ale już teraz przeczuwam, jak strasznie przykra mi będzie rozłąka. Za daleko nas poniosło uczucie przyjaźni.

Przycisnął jeszcze silniej jej dłoń do ust.

— A więc smuciłaby się pani, gdybym musiał wyjechać?

— Bardzo — rzekła. — Mam dziwne wrażenie, że płakałabym.

— Każda rozłąka jest bolesna — odrzekł po chwili. — Pani nie przypuszcza nawet, jak ja ją odczuwam. Ale jakże będzie z panią? Pani zawsze myślała i cierpiała za drugich. Czy potrafi pani pomyśleć wyjątkowo o sobie?

— Nie wiem — odparła, nie podnosząc oczu. — Dawniej dość często myślałam o sobie. Ale obecnie...

— Wiem o tym — rzekł, spoglądając jej w oczy. — Pani zapomina, że tak samo jak inni odczuwa głód pewnych wrażeń. Pani prędzej czy później pomyśli o sobie. Kobieta powinna czuć, że jest komuś potrzebna. Jest to jej konieczne do życia. Pani zginie bez tego, zaprzepaści siebie.

— Wątpię — odrzekła, nie zmieniając pozycji — takie sprawy jak te, nie zdołałyby wpłynąć na bieg mego życia.

— Nie? — zapytał, uśmiechając się gorzko. — Pani życie w takim razie będzie nadal równie beznadziejne jak dzisiaj. Będzie powolnym konaniem. Czy czuje pani moc, by to wytrzymać?

— Nie wiem — odrzekła, nie kryjąc zmieszania. — Wolałabym raczej nie zastanawiać się nad tym. Takie rzeczy, jak pan wie, zmieniają się nieraz.

— Nie zmieniają się same — zaprzeczył stanowczo.

— Czy wyobraża pan sobie, że porzuciłabym mój dom, choćby nęciły mnie kuszące obietnice?

— Najdroższa — szepnął — więc znowu pani marzy o ofiarach i poświęceniu? I czy pani wierzy, że to jest komuś potrzebne?

Pochylił się ku niej i otoczył ją nagle silnym ramieniem.

— Ja tylko chcę słyszeć prawdę — ozwał się do niej. — Tylko prawda jest warta, by poświęcić jej słowa. Kocham cię, Marcjo, nad życie cię kocham! Nikt, tak jak ja, nie boleje i nie tęskni i nikt tak gorąco nie przeżywa. Ale ty mnie nie kochasz. Kochałabyś może, ale przeszkadzają ci „zasady”, których nie możesz się pozbyć. Sama o tym wiesz, że wymarzony twój ideał nie istnieje. Nie uszczęśliwi cię ideał, który powstał jedynie jako twór wyobraźni. I na pewno póty nie będziesz szczęśliwa póki sama nie uznasz swej strasznej omyłki. A przy mnie, jak widzę, wyglądasz szczęśliwie, jak myślisz, dlaczego?

Nie cofnęła się przed nim. Jakoś dziwnie ujął ją mocą swych słów. Siedziała bezwładnie, nie ruszając się nawet, ważąc jego słowa i zastanawiając się, co odpowiedzieć.

Po chwili rzekła:

— Bo jesteśmy przyjaciółmi. A przyjaźń, Eryku, to moc, to potęga, to bezcenny skarb.

— Tak — potwierdził. — Przyjaźń, to moc, to skarb bezcenny. A teraz jeszcze jedno pytanie. Ale z góry panią proszę, by powiedziała mi prawdę. Zaklinam panią, Marcjo. Czy poślubiłaby mnie pani, gdybym był pierwszym mężczyzną, który zjawił się na pani drodze?

Spojrzał jej teraz głęboko w oczy, zaś Marcja pobladła z nagłego wzruszenia.

— To inna znowu sprawa — szepnęła zmieszana. — Ale jakże mam coś odrzec na to dziwne pytanie.

— Pani musi to powiedzieć — nalegał gorąco. — Błagam panią o to. Jestem zupełnie tego pewny, że odpowiedź już dawno pani zna.

Usta Marcji zadrżały. Okryła zmieszanie nieszczerym uśmiechem.

— Nie, Eryku — odrzekła po chwili — nie mam w moim sercu gotowej odpowiedzi. Jestem jednak szczerą i nie mam powodu ukrywać prawdy. Nie ukrywam też przed panem, że miewałam złudzenia. Pan za dobrze mnie poznał, by mógł sądzić inaczej. Ale nie poznał pan niestety głębin mego serca. Przyznam się szczerze, że nawet sama ich nie znam.

Pan nie uwierzy mi może lub wyśmiej mnie nawet. Ale nie poradzę już na to. Od wczesnej młodości bujałam w obłokach i ceniłam sobie świat, który powstawał z mych marzeń. Gdy rozważam teraz to, mam dziwne wrażenie, że czułabym się dobrze, gdyby pan był mym mężem. Nie zaprzeczam też faktu, że oboje wzajemnie doznalibyśmy szczęścia. Ale trudno o tym mówić, a tym bardziej to wytłumaczyć.

Wybuchnęła gwałtownym płaczem. Eryk jeszcze mocniej przygarnął ją teraz.

— No cicho, cicho — wyszeptał troskliwie. — Nie chciałem pani sprawić przykrości. Za wiele pani chciała, a za mało uzyskała.

Oparł się policzkiem o czoło Marcji i nie puszczał jej z uścisku. Przywarła do niego, nie mogąc pokonać szarpiącego ją szloch. Łzy spływały z jej policzków.

— Gdybym to mogła — biadała szlochając. — Gdybym mogła...

— Pani nie zna jeszcze życia — odparł półgłosem — i nie przypuszczam, żeby poznała je kiedyś. To niemożliwe po prostu wobec takich przekonań.

— Wiem o tym — rzekła, nie kryjąc zmęczenia. — Ale przywykłam już do nich, nie potrafię ich zmienić.

— Dlaczego? — zapytał, patrząc jej w oczy. Otarła łzę i dźwignąwszy się nieco, uniosła głowę.

— Żal mi dziś pana — rzekła po chwili. — Co panu jest?... Pan strasznie wygląda.

— To z troski o panią — przyznał skwapliwie. — Nie mogę na to patrzeć, że pani tak cierpi. Przecież trudno tak żyć, mając pełną świadomość, że dla nikogo z bliskich nie jest się potrzebnym. Może spróbuje pani jednak pewnych małych doświadczeń?

— Jakich doświadczeń? — spytała żywo.

— Życiowych — odrzekł. — Zachowam umiar i nie przekroczę już granic przyjaźni. Nie przekroczę ich, dopóki nie uzyskam pewności, że pani mi sprzyja. Proszę mnie wysłuchać, nie odgradzać się ode mnie!... Czemuż mamy cierpieć i czuć się nieszczęśliwi, a wszystko to dla człowieka, który nie wart jest tego i nigdy poważnie nie pomyślał o pani?

Oczy mu płonęły, gdy to mówił.

— Cóż można zrobić? — rzekła po chwili. — Nie ma innego wyjścia, jak pogodzić się z losem. Ale proszę się nie martwić. Musimy okazać

wyrozumiałość. Mężczyźni, jak pan wie, nie zawsze są stali w okazywaniu swych uczuć. Nawet pan mi to przyzna, to jest rzecz dowiedziona.

— Nie przyznam — odparł, jakby nagle wzburzony. — A jeśli chodzi pani o to, co można zrobić, to proszę mnie wysłuchać, zaraz pani powiem. Zerwać z tym wszystkim! Przestać jak planeta krążyć pod przymusem. Wyzwolić się nareszcie ze ślepej drogi. Zmienić jej kierunek, choćby trudem i mozołem go przyszło wywalczyć! Może nie jestem tego wart, może jestem tylko zerem w porównaniu z tym drugim, ale przyzna pani chyba, że nie jestem fantastą i że na wszystko patrzę realnie.

Marcja wreszcie odpowiedziała:

— Daremnie roztrząsamy te dziwne sprawy. Dziwi mnie to nawet, co nas skłoniło, by wszcząć dyskusję. Everard — wypowiedziała po raz pierwszy imię swego męża — ma stałe zasady i nie można zaprzeczyć, że jest dobrym człowiekiem. Nie wątpię przecież w to, że stara się o mnie i starał się zawsze — rzuciła te słowa dziwnie gorączkowo, jakby usiłowała w siebie wmówić, że nie mijają się z prawdą — bo gdyby nie odczuwał tej życzliwości i nie wiedział, że ją zdoła podtrzymać, to cóż by skłoniło go, by ożenił się ze mną? Odplacam mu za to tym samym uczuciem. Jak długo z nim żyję, zawsze o to dbałam, aby miał spokój i wygody. Ale jakkolwiek moja miłość nie wydaje mu się teraz czymś specjalnym, to jednak — urwała na chwilę, jakby usiłując w sobie zwalczyć rosnącą niepewność — to jednak nie powód, abym miała go porzucić. Więc proszę mnie nie drażnić i nie utrwać we mnie poczucia pokrzywdzenia. Pan powinien mi pomóc, jeśli czuje się na siłach i tylko o to się starać, by utrzymać mój umysł w jakiejś znośnej pogodzie.

— Poczucie pokrzywdzenia? — powtórzył wzburzony, jakby zastanawiając się nad tym, czy nie odrzucić od razu tej przykrej myśli. Po chwili ciągnął:

— Gdyby tylko o to chodziło, o to jedno jedynie! Czy sądzi pani, Marcjo, że potrafiłbym się wmieszać do jej spraw osobistych, gdybym miał to przekonanie, że życie jej w przyszłości ukształtuje się pomyślniej? Nie, przenigdy! Spojrzał na jej rękę i pochwycił ją nagle, zamykając w dłoni.

— Pani za daleko zabrnęła — rzucił po chwili. — Oszukano ją niegodnie, zmarnowano jej życie. Pani sama o tym wie, nie potrzeba przypominać. Ale daleko mi do tego, by nakłaniać ją teraz do gwałcenia

woli. To obciążałoby mnie i wobec siebie i pani. Powiem tylko jedno: .Proszę mi poświęcić choćby cząstkę swego życia, tylko kilka tygodni, i towarzyszyć mi w podróży, gdy się udam do Kanady. Można to zrobić zupełnie dyskretnie, nawet nikt nie zauważy. Jestem szczerze tego pewny, że krótki ten okres nazwie pani sama najszcześniejszym w swym życiu. Zrobię wszystko, co mogę, aby uprzyjemnić pani pobyt. Nie będzie on krępujący ani do niczego nie zobowiąże. Powróci pani wówczas, gdy zapragnie tego sama. Tylko tak sobie wyobrażam ideał przyjaźni. Bez żadnego przymusu, bez żadnych zobowiązań.

Wypowiedział to wszystko z zupełnym spokojem. Nie było w jego słowach ani krzty gwałtowności. Zrobił teraz ruch, jakby zamierzał się podnieść. Ale Marcja w tej chwili zatrzymała go nagle. Gdy się odezwała, cichy jej głos drżał z nadmiernego wzruszenia.

— Eryku — rzekła — brak mi na to słów, by opisać mą wdzięczność. Za wiele już doznałam dobroci od pana. Pan nie ma pojęcia, jak bardzo ją cenię i co dla mnie znaczą te dowody przyjaźni. Panu to zawdzięczam, że po raz pierwszy w moim życiu doznałam przyjaźni. To uczucie mnie wzruszyło, napełniło moje serce pragnieniem miłości. Wyznam panu jednak, że nie należę do kobiet, które biorą, co mogą, a nie myślą nawet o tym, aby dać coś w zamian. Gdyby warunki mi pozwoliły, nie namyślając się nad tym wszystkim, okazałabym wdzięczność.

Ujęła jego rękę, zaś on jeszcze mocniej przygarnął ją.

Może sprawił to czar letniego wieczoru, może urok i tajemnica ustronia leśnego, ale odczuła w tej chwili, że nie oprze się dłużej wezbranym uczuciom.

Uległa ich mocy i oparłszy głowę na piersi Eryka, po raz pierwszy w swym życiu poddała się sile trawiących ją uczuć.

Powrót

Na skraju lasu zatrzymał się nagle i spojrzał jej w twarz z wyrazem rozterki.

— A więc wracamy do świata? — zapytał poblady. Usta mu drżały, gdy mówił te słowa.

Dzień był przepiękny. Marcja westchnęła głęboko:

— Nie zapomnę tak prędko doznanych tu wrażeń. Jaka szkoda, Eryku, że wszystko, co jest piękne, przemija tak rychło. Aż wierzyć się nie chce.

Eryk rozmiłowanym wzrokiem patrzył na nią.

— Ale o jedno panią proszę: Jeśli rozstaniemy się kiedyś, to proszę mi nie pisać, że nie spotkamy się więcej. Jeśli czuje pani, że mogłaby to zrobić, to proszę mi to raczej już teraz powiedzieć. W oczy, bezpośrednio.

Mówił te słowa z jakąś dziwną gorączką. Marcja nadal nie ruszyła się z miejsca.

— Czy przyrzeka mi to pani? Potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko.

— Pan nie zna mnie jeszcze — rzekła z uśmiechem. — Czy pan naprawdę w to wierzy, że potrafiłabym skłamać, byle nie posądzono mnie tylko o egoizm lub samolubstwo? Nie jestem taka święta, jak się panu wydaje.

Eryk się zaśmiał.

Przycisnął ją do siebie i ucałował usta.

— Najdroższa! — wyszeptał — Marcjo jedyna!

Przygarnął ją mocno i tulił tak, że traciła dech.

— Czas nam powracać — rzucił z goryczą. — Pani nie przypuszcza nawet, jak z każdą chwilą urasta w mych oczach. Jeśli nie pójdziemy natychmiast, to nie będę potem zdolny przetrwać rozstanie. Kiedyż to znowu możemy się zobaczyć?

— Może w przyszły czwartek.

— W czwartek dopiero?

— Bardzo wątpię, czy uda się wcześniej. Ale dam panu znać. Tak mi przykro, Eryku, opuszczać ten las. Mam dziwne wrażenie, że gdy opuszczę go tylko, ogarnie mnie zimno.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził łagodnie ku ścieżce przed bramą.

— Teraz muszę pani pomóc — zaśmiał się lekko. — Gdyby o mnie chodziło, spędziłbym i noc w tym cichym lesie. Ale pani się nie zgodzi; więc szkoda marzyć.

Ruszyli naprzód, trzymając się za ręce.

— Teraz czas nam do mgieł i martwych popiołów — odezwał się do mej. — Ale pocieszmy się myślą, że znamy pewien ogród: cichy, przytulny, ustronny lasek, do którego tylko ja i pani mamy klucz.

— Dobrze o tym wiedzieć — rzekła z uśmiechem. — Ale czy nie czuje pan, że nawet nie jest tak zimno? Dziękuję panu teraz, dziękuję Eryku.

Eryk się zaśmiał i puścił ją wolno.

— Teraz trzeba nam znowu zadbać o pozory. Świat jest okropny. Gdziekolwiek tylko spojrzeć, nastawia swe ślepie. Jak to dobrzej Marcjo, że nikt z ludzi nawet nie ma pojęcia o naszym ogrodzie!

— O, tak — rzekła. — Ludzie są czasem istotnie natrętni. Skierowali się teraz wzdłuż brzegu stawu i przystanęli jeszcze na

kładce mostu. Marcja, tak jak przedtem, poszła pierwsza i znowu przystanęła pośrodku drogi.

— Gdyby tylko — rzekła i urwała znienacka, jakby nie wiedząc co zrobić z rozpoczętym zdaniem.

— Gdyby co? — zapytał, nalegając skwapliwie.

— Gdyby los był sprawił, żebym za młodych jeszcze lat zetknęła się z panem.

Wypowiedziała te słowa półszepem.

W oczach Eryka pojawiły się błyski.

— Och, Marcjo! — zawołał — gdyby los był sprawił! — Ale opanował się nagle i po chwili dorzucił:

— Przepadło, u licha! Wyzyskajmy na razie, co jeszcze da się wyzyskać.

— Tak — zawołała. — Wyzyskajmy, Eryku!...

Obróciła się teraz i podeszła naprzód. Niebawem zniknęli wśród cieni wieczoru.

Zdawało im się teraz, że czar popołudnia został za nimi i że nie powtórzy się już więcej do końca tego lata. Marcja co chwila spozierała za siebie.

Gdy przybyli do miasta, nie odprowadził jej od razu do domu. Wstąpili po drodze do cichego lokalu. Zjedli tam kolację i przez cały niemal czas nie mówili do siebie. Gdy skończyli, Eryk przywołał taksówkę i odprowadził Marcję do niej. Za małą chwilę mieli się rozstać.

— Więc da mi pani znać? — zapytał ją, przetrzymując jej dłoń, gdy wsiadała do auta.

Spojrzała mu w twarz, zaś oczy jej błysnęły wśród ciemności.

— Ależ tak, oczywiście! — odezwała się żywo. — Już jutro zadzwonię do pana.

— Zaraz po przebudzeniu? — nalegał gorąco. Na twarzy Marcji pojawił się uśmiech.

— Przy pierwszej sposobności — rzuciła przez okno. — Dobranoc, Eryku, dziękuję za wszystko.

Nie zdobył się teraz na odpowiedź. Uścisnął jej dłoń jeszcze mocniej niż przedtem i puścił ją wolno. Potem cofnął się zaraz w stronę chodnika.

Gdy auto ruszyło, Marcja wyrzła przez okno. Stał jeszcze w miejscu, z gołą głową, a wysmukła jego postać, odziana w beżowe ubranie sportowe, obudziła w jej myślach tęsknotę do słońca. Wyglądał jak człowiek, który zawikłał się nagle w miłosną przygodę. Wydawał jej się żywszy, podniecony radośnie. Skinęła doń ręką i odjechała. Dom jej się wydał pusty i głuchy. Jej nogi się chwiały, gdy weszła na schody. Jeszcze nigdy do tej pory nie odczuła w swym życiu podobnego znużenia.

Służąca jej, Hobbs, spojrzała jej w twarz, jakby kryjąc niepokój o stan swojej pani. Prześcielała jej właśnie łóżko na noc. Nie było jeszcze późno, ale twarz służącej wyrażała dyskretnie naganę dla Marcji.

Marcja usiadła.

— Zaraz się kładę — powiedziała półgłosem.

— Pani bardzo zmęczona — ozwała się Hobbs.

Marcja zauważyła jej dziwną minę. Mogła po niej poznać, że Hobbs nie pochwała jej teraz. Ciekawe było wiedzieć, co by rzekła, gdyby powiedziała jej teraz, że zaniedbawszy obowiązki, które miała w mieście, spędziła ten dzień nad stawem i w lesie. I w towarzystwie mężczyzny! Znała już od dawna jej wielką podejrzliwość, wiedziała jednak dobrze, że Hobbs ani myśli o podobnej możliwości. To byłoby za straszne, aby przyszło jej na myśl.

Hobbs przyniosła jej dzisiejszą pocztę. Ale nie śpieszyło jej się zbytnio, by zajrzeć do listów. Leżały na tacy, nie otwarte, jak przyszły. Niech leżą do jutra. Nie chciała tej nocy zająć się nimi. Nie chciała nawet myśleć. Wszystko co domowe straciło dla niej urok. Wolała teraz myśleć

o polance pod lasem. Po raz pierwszy w swym życiu zaznała w tym miejscu miłości. Nie żałowała, że spróbowała. Przecież nic się nie stało. Nie zapomniała się całkiem, a ileż przeżyła.

Odczuła wyraźnie, że wszystkie jej myśli uległy przemianie. Dziwiła się temu. Nie zdawała sobie sprawy, jak to się stało. Dotąd chciała służyć każdemu, komu mogła. Uważała to poniekąd za cel swego życia. Ale teraz się ocknęła. Po cóż miała służyć, skoro nikt jej nie pragnął

i nawet nie chciał korzystać z jej wiernych usług? Męża tylko rzadko widywała, a przekonanie jej mówiło, że nie odczuwa już teraz potrzeby jej bliskości. Nie troszczył się o nią i nie interesowało go, co żona porabia. Czy jest w domu lub wyszła — czy jest zdrowa, czy chora. Troszczył się jedynie o zawód i karierę. Dzieci, jak sądziła, jeszcze mniej odczuwały przywiązanie rodzinne. Nie potrzebowały jej teraz. Uważały swe życie za rodzaj rozrywki, której głównym znakiem jest śmiech i wesele. Nie miały nawet czasu do sentymentów rodzinnych. Skupiły swą uwagę na świecie zewnętrznym, a dom i rodzina straciły dla nich urok, przynajmniej teraz. Interesowały się o tyle, o ile płynęły z domu pewne korzyści. Marcja, jak zawsze, okazywała im względy. Rozumiała je wprawdzie, ale jej serce, mimo wszystko, napełniało się

smutkiem. W okazywaniu swych względów była szczodra i hojna. Rozumiała nawet męża, który nie rozumiał jej wcale. Pozostał jeszcze Eryk.

Powiedział jej raz, że świadomie i celowo zaprzepaściła swe życie i że powinna zacząć myśleć o sobie. Może miał rację.

Był jedynym spośród ludzi, który czcił ją i uwielbiał.

Był jej dobrym znajomym i życzliwym przyjacielem.

On jeden ją rozumiał, on jeden tylko pojął jej sny i marzenia, choć wszystkie już zwiędły i ani jeden z nich nie miał widoków spełnienia.

Gdy oświadczył jej raz, że mógłby ją wyleczyć z tej skłonności do marzeń, to nie było w tym zapewne ani słowa przesady. Nie uważała tej opinii za chęć samochwalstwa.

W tę noc po powrocie, jakieś dziwne sny dręczyły jej duszę. Śniło jej się bowiem, że błądziła po zamku, który olśniewał ją czarem i przepychem urzędnika. Przestronne okna wychodziły na staw i młody las, złocący się w słońcu. Wśród tej dziwnej wędrówki przystanąła przed dużą i szeroką klatką schodową. Zauważyła z przestachem, że jej stopnie się waliły i że każdy z nich z osobna pokryty był kurzem. Wiodły ku dołowi, ku ciężkim wrotom, wykutym z żelaza, a gdy dostrzegła je z oddali, ogarnęła ją chęć, by zejść do nich bliżej, a potem je przekroczyć. Ale dziwna jakaś moc przykuła ją do miejsca. Może był to tylko instynkt — nie zdawała sobie sprawy — walczyła jednak długo, a w końcu się przemogła.

Gdy podeszła nieco dalej i stanęła na stopniu, potknęła się nagle i stoczyła się na dół. Nie wiedziała już potem, jak długo leżała. Wrota żelazne widniały opodal, zaś schody tymczasem osunęły się przed nią. Nie miała więc sposobu, by wrócić do zamku, zaś wrota się zawarły i nie chciały jej puścić.

Domyśliła się teraz, że wiodły zapewne do kresów życia.

Ocknęła się nagle i ujrzała przez okno, że na dworze już dniało.

Mała potyczka

Następne dni były nudne i długie. Sezon londyński już z wolna się kończył, ludzie mówili o wczasach i podróżach, najczęściej wspomniano Goodwood i Coves. Marcję kilkakrotnie zapraszano do Coves, ale nie skorzystała, jak dotąd, z uprzejmości przyjaciół. Wymawiała się zawsze innymi planami. Ogólnie zaś sądzono, że zabierze swe dzieci i zagrzebie się znowu w jakiejś wiosce podmiejskiej. Nikt nie przypuszczał, jak bardzo ją znużyły obowiązki życia (zwłaszcza towarzyskie), zaś lady Barrowdale rozpowszechniała, że Marcja zmizerniała i że szuka zapewne specjalnej kuracji. Ale tak naprawdę, to Marcja jeszcze nadal wahała się w planach. Nie miała do tej pory żadnego programu. Z jakąś dziwną niepewnością śledziła, jak zawsze, plan swego męża, żyjąc jeszcze ciągle ostatkiem nadziei, że Templeton się zmieni i że zechce w tym roku może wspólnie z rodziną spędzić wakacje. Na razie wybierał się na jakiś proces na prowincji, ale nie wiedziała jeszcze nic, jaki plan miał na później. Wiedziała tylko tyle, że czekała go praca, że miał wiele pisaniny i ślęczenia wśród książek i że duży ich dom, położony na Montgrave Square, miał ulec już wkrótce gruntownej przebudowie. Gdy myślała teraz o tym, nie mogła sobie wyobrazić, czy zechce, mimo wszystko, pozostać na miejscu. Nie wytrzymałby chyba w tym hałasie i zgiełku. Ale mógł jej jeszcze pragnąć albo liczyć nawet na to, że mu będzie towarzyszyć. Jak długo ta możliwość istniała, nie mogła jeszcze myśleć o jakiegokolwiek innej. Przynęcała Erykowi, że umożliwi mu spotkanie w następnym tygodniu, ale zwątpiła teraz sama, czy to będzie możliwe. Czekala jeszcze dalej na znak Everarda, na jedno choćby słowo

dotyczące przyszłości, które upewniłoby ją wreszcie, że mąż jej istotnie okaże jej pamięć i spędzi z nią może czas wakacyjny.

Więc do tego już doszło, chociaż zdawała sobie sprawę z tego anormalnego stosunku męża do niej. Czekwała jednak dalej i czekała cierpliwie. Zdawało się niekiedy, że wyparła się nawet swoich praw żony i osoby. Żyła jeszcze wprawdzie, ale nawet pozory potwierdzały, że stała się dla męża czymś zgoła martwym i zupełnie nieistotnym. Gdy spotkała raz Lilith na pewnym weselu, oświadczyła jej w rozmowie, że nie jedzie tego roku, tak jak inni, do Goodwood. Gdy Lilith wówczas wyraziła zdumienie, Marcja zaśmiała się, ale śmiechem nieszczerym i dziwnie tajemniczym.

— Może Everard zechce, bym wyjechała z nim razem — poczęła jej tłumaczyć. — Udaje się niedługo na daleką prowincję. Słyszałaś zapewne o procesie Marleya?

— Nie licz tak na niego — zaśmiała się Lilith. — Bardzo w to wątpię, czy zechce to zrobić. Ale jesteś fantastką i nie możesz się wyleczyć z tej śmiesznej choroby. To cię niszczy i gnębi. Czemu tak rzadko pokazujesz się teraz?

— Cieszę się, że tak dużo o mnie myślisz — odcięła się Marcja. Ale nawet w tym jednym zdaniu było coś dziwnie sztucznego.

— Drwisz teraz ze mnie — zaperzyła się Lilith. — Ale znam cię kochanie. Jeśli nie bawiłaś się z nami, to nie nudziłaś się zapewne. Ja i matka często mówiłyśmy o tobie. Zawsze to powtarzam, że jesteś odludkiem.

— Dziękuję — rzekła Marcja z wyrazem ironii. — Nie mogłam się spodziewać, że myślisz inaczej.

— Przecież nonsensem jest twierdzić, że Everardowi tak bardzo zależy na tobie — upierała się Lilith. — Śmieszna to wymówka i sama o tym wiesz. Na drugi raz powiesz, że dlatego chcesz czekać, bo musisz mu cerować podarte skarpetki.

— On naprawdę je drze — zaśmiała się Marcja. — Czasami aż się proszą, by doprowadzić je do ładu.

Lilith dotknęła jej dziwna ironia. Chciała coś odrzec, nawet nazwać ją wariatką, ale przemogła się w końcu, wolała zamilczeć i obie po chwili odeszły od siebie.

Marcja zrozumiała, że stała się celem ogólnej obserwacji. Wiedziała również o tym, że gdyby nagle się wymknęła, dostarczyłaby znajomym tematu do plotek. Lilith nie należała do osób dyskretnych. Nawet najbliższa drobnostka nie uchodziła jej uwagi. W kołach sportowych, w których lubiła się obracać, wiadano już o tym i słusznie ją nazywano wężącym wyżełkiem.

Marcja po raz pierwszy unikała jej przez całe popołudnie. Była bardzo z tego rada, że goście pod wieczór poczęli się rozchodzić, skorzystała z chwilowego zamieszania i niepostrzeżenie wymknęła się z sali.

Ona i Everard byli dziś proszeni na obiad u znajomych, u lorda Bevisa, kolegi Everarda. Była to jedna z owych rzadko zdarzających się, wyczekiwanych okazji, w których była pewna zupełnie, że mąż jej przez wieczór dotrzyma jej towarzystwa. Everard miał w wielkim poważaniu lorda Bevisa, zaś Marcję to cieszyło, gdy byli tam zaproszeni, miała wówczas możliwość spędzenia wieczoru wspólnie z małżonkiem. W innych bowiem domach niezmiernie rzadko pojawiali się razem.

Ku radości Hobbs, Marcja tego dnia okazywała troskę o dobór swej garderoby. Pragnęła błyszczeć, będąc z mężem, choć w innych warunkach nie przywiązywała takiej wagi do stroju. Hobbs jej to nieraz dyskretnie zarzucała. W rozumieniu jej bowiem tylko rola „damy” odpowiadała zupełnie warunkom jej pani.

— Pani cudnie dziś wygląda — odezwała się do niej, upinając jej suknię, przybraną welwetem.

Marcja się zaśmiała.

— Dziękuję ci Hobbs — odrzekła. — Nie zawiodłam się jeszcze, polegając na tobie.

Gdy schodziła ze schodów, jakieś smutne przeczucia ogarnęły ją nagle. Miała dziwne wrażenie, że doświadczy przykrości na przyjęciu u Bevisa. Jeśli nic się nie zdarzy, to podda się losom, nie zważając już teraz na skutki i następstwa. Nie będzie nawet czekać. Już zaraz jutro powie Erykowi, który na pewno już czynił odpowiednie przygotowania. Mieli zjeść gdzieś obiad i jechać na podmiejską wycieczkę. Nie pytała go, dokąd. Odczuwała to wyraźnie, że gdy przeminie ta noc i związane z nią wypadki, już będzie wiedziała, jak dalej postąpić. Albo pójdzie teraz naprzód, albo wstecz. Ale na miejscu nie zostanie, nie wytrwa już dłużej

w położeniu bez wyjścia. Chodziło tylko o to, aby nie pójść za daleko. Zdecyduje o tym noc. Wszystko zależało od zachowania męża. Ogarnął ją dreszcz. W najgorszym nawet razie — gdyby mieli się rozejść — mąż jej już wkrótce pocieszy się po niej. Ale co będzie z nią? Kto jej zapłaci za udramę cierpienia, kto jej zwróci zmarnowaną młodość? Była zupełnie pewna, że nikt już na świecie nie zdoła jej pocieszyć.

Czekał na nią w hallu. Dumnie wyprostowany, wytworny, jak zawsze. Gdy ją ujrzał z daleka, pozdrowił ją chłodno i spojrzął krytycznie.

— Spóźniasz się Marcjo — odezwał się oschle.

Wiedziała o tym dawno, jak bardzo był wymagający, gdy chodziło o punktualność. Ale zanadto była dumna, by objawić swój żal. Jej umysł był zajęty tylko jednym: co jej objawi czekająca ją noc? Czy wznieci jeszcze płomień, który zdawał się dogasać, czy też stłumi go na zawsze, nie zostawiając nawet śladu.

— Nie sędzę, Everardzie, że przyjdziemy za późno — odrzekła obojętnie. Minęła go szybko, skierowując swe kroki ku czekającemu samochodowi.

Templeton bez słowa pospieszył za nią. Na twarzy miał wyraz tłumionej niechęci. Gdy znaleźli się w wozie, Marcja w ciemności zaśmiała się nagle. Wydało jej się dziwne, że starała się, aby dla niego jedynie wyglądać dziś piękniej. Nie wyrzekła ani słowa. Templeton tak samo siedział milczący. Zagłębił się w myślach i nie spytał jej nawet, co dziś robiła. Miał jakieś sprawy do omówienia z Bevisem i zależało mu na tym, by załatwić je zaraz, bezpośrednio przed wyjazdem. Układał teraz plan swej dyskusji z przyjacielem. Nic w tym dziwnego. Robił tak codziennie, przed każdą konferencją. Słusznie Lilith zauważyła raz w żarcie, że w mózgu jej brata rozmieszczone jest biuro. Każda z jego spraw miała oddzielną tam skrytkę.

Zjawili się jako ostatni w salonie pani Bevis, ale, jak Marcja przewidywała, nie przyszli za późno. Zastali tam wszystkiego kilkanaście osób, przeważnie prawników, jeśli chodzi o panów. Marcja niemal wszystkich już uprzednio знаła. Spodziewała się zresztą, że zastanie ich tutaj. Już niejednokrotnie przebywała w tym samym towarzystwie, zawsze starała się też humorem bawić gości, dziś jednak czuła, że nie

potrafi wykrzesać tej iskry radości. Była nadto zmęczona i dziwnie otepiała. Już z góry wiedziała, że jej wszelki wysiłek byłby daremny.

Usiadła w sąsiedztwie Bevisa, który mówił niewiele, ale z przesadą i emfazą i zawsze był zdania, że zaszczyca kobietę, z którą wdał się w rozmowę. Marcja nie wiedziała czy nadrabiać miną, czy też zachować obojętność, ale kwestia ta ostatecznie przestała ją dręczyć, gdyż doszła do wniosku, że taki człowiek jak Bevis, jest za mało subtelny, by się w tym połapać.

Po drugiej jej stronie zasiadł pan Baronford. Był to mężczyzna czterdziestoletni, sędzia z zawodu, największy cynik pośród grona jej znajomych. Nie był dzisiaj w różowym nastroju. Każde swoje słowo zaprawiał goryczą, zaś Marcja nie starała się specjalnie go słuchać. Żył w kawalerstwie i wiele prowadził procesów rozwodowych. Jego opinia o kobietach była pełna wyniosłości i każdy to wyczuwał z jego uwag i docinków, ale Marcja nad tym nie zastanawiała się także. W innych warunkach wdałaby się może w jakąś dyskusję, broniąc honoru swej płci i odczuwając z tego radość, że przekonuje partnera. Ale dzisiejszy jej nastrój nie skłaniał jej do tego. Nie mogła się skupić i czuła, że nie sprosta takiej walce na języki.

Ale nagle się ocknęła. Uczyniła wysiłek, aby objawić zainteresowanie dla otaczających ją ludzi. Uznała, że nie może tak dłużej pozostawać nieobecna.

Spojrzała na twarz swego męża. Siedział naprzeciw, uśmiechnięty i skupiony, przysłuchując się z uwagą dyskusjom sąsiadów. Pochwycił spojrzenie swej żony, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu. Wydało jej się nawet, że nie zdawał sobie sprawy z wymiany tych spojrzeń.

Baronford coś mówił o wczasach i Marcja przychyliła się ku niemu.

— Wakacje już za pasem — zaśmiała się lekko. — Nikt by nie uwierzył, jak miesiące biegną. Zdaje mi się teraz, że to wczoraj jeszcze było, gdy...

Urwała znienacka. Wyraz jego twarzy zdawał się mówić, że rozmowa, którą wszczęła, jest zbyt banalna.

— No, tak — potwierdził, uśmiechając się cierpko. — Czas nam ucieka, nie stoi w miejscu. Wczoraj jeszcze żniwa, dzisiaj już chleb. Wczoraj jeszcze grzechy, dzisiaj zaś cnoty. Nawet kołnierz się zmienia.

Wczoraj był brudny, dzisiaj jest czysty. Ale o czym to mówiłem? Ach, prawda — o feriach. Czy wyjeżdża pani? Marcja zaśmiała się.

— Nie myślałam jeszcze o tym — rzekła po chwili. — Planów było wiele, ale żadnego, jak dotąd, nie rozważałam poważniej. Zresztą, trudno o tym mówić skoro nie wie się jeszcze, co będzie za miesiąc. Mąż mój na przykład... Urwała mimowolnie, zauważając, że wpatrzony w nią Baronford ma odpowiedź na ustach.

— Pani mąż? — pochwycił, akcentując to słowo, jakby i zdumienie i szyderstwo chciał przez nie wyrazić. — Czy nie słyszała pani o tym, że już ma gotowy plan? Wyjeżdża do Bailey na czas wakacji, ale poświęci go pracy, zamiast użyć wczasów. Oddałem mu nawet mój dom do dyspozycji. Ale bardzo wątpię, czy podobałby się pani. On nie nadaje się po prostu na mieszkanie dla kobiet. To dziwne doprawdy. Czy nie wiedziała pani o wszystkich tych planach?

Marcja znalazła się w niezręcznej sytuacji. Jego ton był drwiący, nie mogła go teraz zupełnie zignorować. Gdyby była w innym nastroju, zachnęłaby się może i wyznała mu otwarcie, co myśli o sprawie.

Z trudem zdołała opanować nerwy.

I wtedy rzekła:

— Bardzo to pięknie, że pan tak uprzejmy. Dzięki panu, panie Baronford, rozwiąże się trudność, która przez dłuższy już czas zaprzęta moje myśli. Wiedziałam wprawdzie o tym, że mój mąż chce pracować, ale dręczyła mnie myśl, że w domu będzie trudno, gdyż dom nasz już w sierpniu ma być remontowany.

Broniła się, jak mogła, ale słowa Baronforda tak ją bardzo dotknęły i wstrząsnęły jej wnętrzem, że gdy skończyła mówić, zabrakło jej tchu i myślała już nawet, że za chwilę zemdleje. Ale przemogła się jakoś, skupiając się i nie zważając na to, że towarzysz jej rozmowy nie zaniechał nadal cynicznych docinków.

— Bagatela! — wykrzyknął, marszcząc swą twarz. — Bardzo mi jest miło, że wyrządzam mu przysługę. Ale i pani będzie lepiej. Odetchnie zapewne, gdy poczuje się wolna i gdy spadnie z niej ciężar zajmowania się domem, którego pan i władca jest zawsze zajęty, a często nieobecny.

Marcja pobladła. Odczuła znacznie tych cierpkich słów, które kłuły ją i upokorzały. Ale znowu się przemogła.

— Bardzo mnie to cieszy, że zabezpieczył sobie pobyt — rzekła machinalnie. — Spadnie ze mnie troska, że zabraknie mu wygod. A gdy poczuję się wolna, to istotnie, jak pan mówi, pomyślę o sobie. Jestem już zmęczona i wyczerpana tą całoroczną pracą.

Baronford się zaśmiał, a wyraz jego twarzy był nadal ironiczny.

— Wiedziałem o tym z góry, że pani uzna jego plan. Bo pani pewnie, zwolniona z obowiązków, spędzi swe wakacje może nad morzem?

— Nad morzem? — jęknęła.

Odczuła w tym pytaniu jakąś ironię czy aluzję.

— Nad morzem? — powtórzyła, aby każdy mógł ją słyszeć. — Dlaczego pan sądzi, że akuratnie nad morzem?

Baronford miał dalej uśmiech na twarzy. Wyglądał w tej chwili, jakby rozmyślał o rzeczy, która jest przedmiotem jego dobrego humoru.

— Gdybym powiedział, co myślę — odrzekł po chwili — oskarżyłaby mnie pani o ukrytą złośliwość. Ale to jasne przecież, że nawet najwierniejsza małżonka, zwolniona chwilowo z obowiązków domowych, najchętniej przebywa na wsi lub nad morzem, stosownie do tego, co ją w tej chwili najbardziej pociąga.

Spojrzał jej w oczy szyderczo i złośliwie, zaś Marcja odczuła to, jakby ostrze miecza dotknęło jej serca. Jakiś chłód przemknął jej ciało, twardy, bolesny, studzący krew, odbierający zdolność myślenia.

Po chwili Baronford podjął na nowo. Uczynił to z musu, jakby wypełniając jakąś lukę, którą sam spowodował i która domagała się teraz rychłego zasklepienia.

— To tylko rodzaj przenośni — tłumaczył się dziwnie. — Zwyczajna figura retoryczna: „wczasy nad morzem”, to frazes tak utarty, jeśli chodzi o kobiety, jak aluzja do handelków lub znanych piwiarni, gdy się mówi o mężczyznach.

Marcja po tych słowach opanowała swe nerwy. Spojrzała mu w oczy i spytała:

— A co on oznacza?

Baronford i teraz nie stracił tupetu. Odrzekł po chwili, nie tracąc nadal równowagi:

— Co on oznacza? — powtórzył z uśmiechem. — Tylko tyle, pani Marcjo, że każdemu jest dane stosownie do gustu używać wczasów. Jeśli o mnie by chodziło, to spędzałbym je zawsze na podróżach jachtem. Czy próbowała już pani podobnych podróży?

Marcja uznała te słowa za manewr. Zboczył z tematu, aby dać jej jakiś sposób na wybrnięcie z opresji. Uśmiechnęła się chłodno, a po chwili rzekła:

— Przyznam się szczerze, że istotnie mam pociąg do okolic nadmorskich. Rozważę jeszcze plan, który pan podsunął. Jedyne, co mnie zraża, to nieokreślona obawa przed podróżą na jachcie. Nie wiem, czy mogłabym jej sprostać.

Baronford uznał, że stracił szanse, posługując się bluffem. Spojrzał jej w oczy i rzucił po chwili, nie używając już tonu zjadliwej ironii.

— Podróżowałem raz jachtem po rzece Jumnie. Rzeki indyjskie są jednak burzliwe. Nasze przy tamtych, to marne potoczki. Czy polowała pani kiedyś na grubą zwierzynę?

Marcja wyczuła złośliwość w tych słowach. Obłeśna twarz przypominała jej teraz oblicze Chińczyka. Wprawdzie zmienił po chwili temat rozmowy, ale czuła, że najgorsze minęło i że nie ma już teraz powodu do obaw. Jeśli kuł jakąś broń, to uznał teraz, że mu nie da pożytku. A może uznał ją za niegodną swych niecnych fortelów lub jeszcze czekał na łatwą sposobność! Poweselała nagle i uznała z radością, że żadna z tych rzeczy nie obchodzi jej więcej. Jej los się ustalił i nie mógł już teraz ulec odmianie.

Zamknięte drzwi

Po powrocie do domu Marcja uznała, że należy już zerwać z metodą milczenia. Powzięła tę decyzję nawet wbrew swej woli i w najszerszym przekonaniu, że żadne z jej poczynań nie wpłynie już teraz na rozwój wypadków. Czuła się zmęczona i wyczerpana. Tylko z największym trudem zdołała się przemóc i pójść za mężem, gdy wszedł do pokoju. Nie ulegało wątpliwości, że raz się musieli ostatecznie rozmówić.

Przystanął zniemacka przy otwartych drzwiach.

— Powinnaś iść spać — powiedział do niej. — Powiedz mi „dobranoc” i połóż się zaraz. Nie skończyłem pracy i muszę jeszcze teraz nadrobić zaległości.

Marcja przekroczyła próg gabinetu.

— Tylko o słówko cię proszę — odrzekła znużona. — Nie zatrzymam cię długo, niepotrzebnie się lękasz.

Jej głos był twardy, nawet w jej własnych uszach brzmiał dziwnie mechanicznie. Była sztywna od stóp do głowy, jakby przeobrażona w tej chwili w postać z kamienia.

Everard wolno postąpił za nią. Między dużymi jego oczyma zjawiała się bruzda.

— Więc o co ci chodzi? — spytał. — Czas nam ucieka, robi się późno.

— Wiem — odrzekła, obracając się rychło. — Ale jutro tak samo pochłonie cię praca, a wieczorem, jak słyszę, zamierzasz wyjechać.

Począł się teraz wyraźnie niecierpliwić.

— Tak, moja droga — przeciął jej słowa. — Ale nie wyjeżdżam na długo, najwyżej na tydzień.

Marcja spojrzała mu żywo w oczy. Po chwili rzekła:

— Nie może czekać tydzień to, o czym chcę ci powiedzieć.

Była w tej chwili blada, ale wyraz jej twarzy był stanowczy. Wyglądała, jak posąg z kamienia. Jedną ręką zacisnęła kurczowo rąbek sukni.

— A więc, cóż chcesz powiedzieć? — ozwał się wreszcie.

Rysy jego twarzy skupiły się nagle. Dziwny jej upór obudził w nim ciekawość. Przemknęło mu przez głowę, że doniesie mu może o niemiłej rzeczy.

— Czy się stało coś złego? — dodał po chwili.

Jakiś dziwny dreszcz przeszedł jej ciało. Pierś jej falowała. Podniosła rękę i zacisnęła nią szyję. Po twarzy jej przemknął wyraz rozpaczki. Templeton również odczuł niepokój.

— Cóż ci się stało? — spytał z przejęciem. — Uspokój się Marcjo, uspokój się trochę.

Podszedł nieco bliżej, ale Marcja cofnęła się przed nim.

— Nie — odrzekła — nie, Everardzie! Po twarzy jej przemknął ślad uśmiechu.

— Zmęczona tylko jestem, strasznie zmęczona... A musimy jeszcze teraz porozumieć się z sobą. Chciałam się dowiedzieć, jak się mam urządzić na najbliższe tygodnie. Baronford mi mówił, że zajmiesz jego dom na przeciąg miesiąca. Ponieważ będzie to w sierpniu — bo i o tym mi wspominał — akuratnie w miesiącu, w którym dom nasz ma być remontowany, pragnę się dowiedzieć, czy to wszystko jest prawdą i czy rzeczywiście zamierzasz nie opuszczać Londynu?

— Tak — odpowiedział, nie wahając się długo. — Mam szczere przekonanie, że ten pomysł jest dobry. I nie wątpię, że mój plan i ciebie zadowoli.

Spojrzał jej w oczy bystro i przenikliwie, nie ukrywając ciekawości, jaką mu zgotuje odpowiedź za chwilę.

Marcja uniknęła spojrzenia męża. Postanowiła, w miarę wszelkich możliwości, bronić swych zasad i podtrzymać swój sąd do ostatka.

Odpowiedź jej była nieco gwałtowna.

— Owszem — odrzekła — pochwałam twój zamiar. Ale wnioskuje z twoich słów, że nie zamierzasz tego roku zabrać mnie ze sobą. Sądzisz zapewne, że ci będę przeszkadzać.

— Ależ nie, moja droga — przerwał jej słowa. — Nie oparłbym się temu, gdybyś chciała być ze mną. Prawdę jednak mówiąc, wygody i opiekę mam zapewnione. Odpadłaby ci troska kłopotania się o mnie. Mogłabyś odpocząć i choć jeden miesiąc nie myśleć o gospodarstwie.

Marcji w tej chwili zapało dech. Wysilała się, jak mogła, by podtrzymać swą godność. Chciała już wybuchnąć gwałtownym śmiechem, ale ostatnim wysiłkiem stłumiła go w sobie.

Zaś Everard po chwili ciągnął, jak przedtem:

— Nie jestem tyranem, jak sądzisz. Nie zmuszam się do tego, abyś cały ten miesiąc spędziła w Londynie. Tym bardziej, że jak wiesz, będę bardzo zajęty i nie odczuję tego nawet, jeśli będziesz koło mnie.

o wszystko mnie posądzaj, ale nie myśl tylko o mnie, że jestem egoistą. Od najmłodszych moich lat mam wstręt do wszystkiego, co wygląda na samolubstwo.

— To nie byłby egoizm — rzekła z wysiłkiem.

— Właśnie że egoizm — rzucił stanowczo. — Mniejsza zresztą o to. Nie chcę, by ktokolwiek poświęcał się dla mnie. Postanowiliśmy zatem

i rzecz załatwiona. Aleś zmęczona, jak widzę, upadasz już z nóg. Nie zatrzymuję cię zatem, dobranoc, moje dziecko. Idź teraz spać i odpocznij troszeczkę.

Marcja odczuła to, jakby ciężkie wrota zapadły się przed nią.

— Everardzie — rzekła, opanowując swe nerwy, by przemówić łagodnie — zanim stąd pójdę, jeszcze jedno ci muszę oznajmić na ostatek. Nie będę tego roku mieć dzieci przy sobie. Wyjeżdżają za granicę na zaproszenie znajomych i przyjaciół, postanowiłam nie robić im trudności; wyraziłam swą zgodę. Nie mam zamiaru oczywiście przeszkadzać ci w pracy. Zdaję sobie sprawę z jej wagi i znaczenia. Ale sądzę, mimo wszystko, że znajdziesz może tydzień, który poświęciłbyś dla mnie, a nie masz pojęcia, jak szczerze tego pragnę i jaką byś tym samym wyrządził mi radość.

Urwała znienacka. Uważała za niemożliwe powiedzieć mu więcej. Zdawało jej się nawet, że już teraz powiedziała stanowczo za wiele. Podjął natychmiast, gdy tylko zamilkła.

— Nie żądaj niemożliwości — ozwał się do niej. — A poza tym, moja droga, czy nie będzie to korzystniej, gdy wyjedziesz gdzieś sama i odpoczniesz gruntownie? Twoje nerwy, jak widzę, aż się proszą o wytchnienie. A jeden taki tydzień, gdyby go w ogóle w przyszłości się dało wykroić, na pewno by ci nie dał tak wielkich korzyści. Nie, moje dziecko—jego głos w tej chwili miał stanowczy akcent — ta rzecz się nie nadaje do dalszych rozważań. Będę stale zajęty, nie mogę o tym myśleć, żeby wczasować, a zależy mi na tym, abyś miała swobodę i nie musiała we wszystkim zależeć ode mnie. Cieszę się, że odpodnie ci troska czuwania nad dziećmi. To również coś znaczy. Zwolnienie z obowiązków przywróci ci siły, może doda energii.

Uśmiechnął się z lekka, po chwili zaś ciągnął:

— Powinnaś właściwie nazywać się Martą. To imię jak stworzone dla takich osób jak ty. Zatem dość, moje dziecko, już wszystko załatwione. Nie dyskutujmy już więcej o całej tej sprawie.

Obróciła się nagle, gdy wyrzekł te słowa. Ogarnęła ją złość, tak wielka pasja, że stłumiła na chwilę uczucie bólu.

— Cóż więc mam robić? — rzekła po chwili.

Spojrzał jej w twarz, nie mogąc zataić wyrazu zdumienia. Jej oczy pałały, twarz miała bladą; widział wyraźnie, że drżała. Wyciągnął do niej rękę.

— Przykro mi, Marcjo, jeśli sprawiłem ci ból. Ale nie pora teraz na to, by się bawić w sentymenty. Jeszcze raz ci powtarzam, że tylko na tym mi zależy, abyś użyła wczasów w zupełnej swobodzie i nie nakładała sobie tamy w stosunku do upodobań.

— Czy mówisz to serio? — spytała hardo. Głos jej zabrzmiał jak metal.

— Zupełnie serio — dodał stanowczo. — Pragnę tylko tego, byś się czuła szczęśliwa. Już dawniej się zdarzało, że ci to chciałem wyłuszczyć. Ale teraz mnie rozumiesz, prawda, że rozumiesz?

Podszedł nieco bliżej i ujął jej rękę.

— Zimno ci, Marcjo — rzucił troskliwie. — Niech Hobbs ci poda ciepłego mleka. Poproszę jeszcze Lilith, by czuwała nad tobą. Nie uważasz na siebie. Za mało się zajmujesz swą własną osobą.

— Lilith i bez tego okazuje mi troskliwość. Zaśmiała się dziwnie, mówiąc te słowa.

— Dobranoc, Everardzie. I do widzenia, być może, że nie zobaczę cię więcej przed twoim wyjazdem!

Obróciła się, skierowując się ku drzwiom. Ale Everard zatrzymał jej rękę.

— Jaki masz plan na jutrzejszy dzień? Spojrzała mu w twarz i rzekła chłodno:

— Wychodzę wieczorem. Dlaczego o to pytasz?

— Chciałem tylko wiedzieć czy nie będziesz się nudzić. Nie będę ci przeszkadzał, nie obawiaj się Marcjo. Do widzenia, moje dziecko, jeśli nie zobaczę cię więcej!

Pochylił się nad nią i ucałował ją w czoło.

— Do widzenia! — rzekła.

Odprowadził ją do drzwi i zamknął je za nią. Nie odwróciła się do niego, nie mogąc się przemóc, aby spojrzeć mu w oczy. Ubodła ją nieco jego chłodna ironia. Byłaby wolała, aby jawnie i otwarcie wyraził jej naganę.

Ostatni jej wysiłek spełznął na niczym. Przekonała się, że ani mężowi, ani dzieciom już nie jest potrzebna. Odczuła, jakby ranę, która rozdarła jej serce, ale nie zdawała sobie sprawy z doznanego bólu.

— Głupstwo! — szepnęła, gdy znalazła się na schodach. — Nie dam się już więzić jak ptak schwytyany i wrzucony do klatki, aby służyć na pokaz. Ja również mam prawo, aby żyć i przeżywać!

Gdy weszła do pokoju, uśmiechnięta już była i zdecydowana. Nie uszło to uwagi jej służącej, Hobbs.

— Pani czuje się lepiej — odezwała się do niej.

— Jak nigdy, Hobbs — zaśmiała się Marcja. — Nie uwierzysz może nawet, że nie jestem zmęczona.

— Widocznie jakieś szczęście spotkało dziś panią.

Marcja w tej chwili uniosła ręce do góry, polecając służącej, by zdjęła z niej suknię.

— Albo zbliża się do mnie i jest już w drodze — zaśmiała się do niej.

Ucieczka

W oznaczonym dniu Eryk Morven oczekiwał na Marcję w hallu Regency. Wyznaczyła mu schadzke w pobliżu fontanny, nadmieniając dodatkowo, że może się spóźni. Był ubrany zwyczajnie, nie włożył tego dnia czarnego ubrania. Było to również jedno z jej życzeń.

Wyjdziemy potem autem — pisała w swym liście, zaś Eryk się postarał, by i temu jej życzeniu stało się zadość. Nic w tym dziwnego. Ciągle o niej myślał i zależało mu na tym, by pod najbliższym nawet względem nie doznała zawodu.

Od ostatniego ich spotkania czas mu upływał ogromnie wolno. Aby skrócić go sobie, wyjechał na tydzień na wieś, do Pentreith, gdzie Peter jeszcze ciągle się krzątał na roli. Nie zrobił jednak wiele, gdyż umysł miał zajęty, a całą tę eskapadę urządził jedynie dla zabicia czasu. W chwili jak obecna, nie można było zresztą powziąć postanowień. Uplanowali tam tylko, że opuszczą na razie zamek Tregassa na rok albo dwa i gdy sprawy się ułożą, wyjadą tymczasem do folwarku w Kanadzie. Ale nie znaleziono jeszcze do tej pory odpowiedniego dzierżawcy, a Peter, jak dotąd, nie bardzo był skłonny do rychłego wyjazdu. Eryk więc postanowił nie wyruszać stąd prędzej, nim spraw majątkowych nie załatwi gruntownie. Chodziło głównie o sprawy urzędowe — formalności w sądzie i u władz opiekuńczych — toteż gdy wrócił do Londynu, zajął się nimi, z niewidocznym jednakże, jak na razie, wynikiem, gdyż oczekiwanie na Marcję zaprzętało mu głowę i odebrało zdolność myślenia na trzeźwo.

Ale okres oczekiwania przeminął ostatecznie. Wybiła nareszcie upragniona godzina. Z napiętymi nerwami i zaledwie panując nad gwałtownością swych uczuć, wyruszył do hallu i usiadł w pobliżu fontanny.

Marcja nie przyszła za późno. Zjawiła się w hallu punktualnie o ósmej, szukając go nerwowo już zaraz u wejścia.

Powstał i wybiegł naprzeciw. Uścisnęli sobie dłonie, zaś Marcja uśmiechnęła się i patrzyła mu w oczy.

— Eryku! — szepnęła, nie mogąc się przemóc, by wyrzec coś więcej. Ubrana była w płaszcz sportowy, nadający się do przejażdżki

samochodem. Podniesiony kołnierz zasłaniał jej twarz, ociemniała ją poza tym opuszczona woalka. Eryk dostrzegł, że była zgnębiona i że usta jej drgały, gdy podała mu rękę. Uderzyła go niezwykła jej bladość.

— Jaki mamy plan? — zapytał z uśmiechem. Rzucił to pytanie, jakby pragnąc złagodzić jej wzburzony umysł.

Obejrzała się dokoła, a wyraz jej twarzy jeszcze ciągle objawiał dręczący ją niepokój.

— Pragnę gdzieś usiąść — rzekła po chwili. — Ale w miejscu spokojnym, żeby nikt nam nie przeszkadzał, gdy podadzą nam obiad. Nie zostaniemy chyba tutaj — dodała z uśmiechem.

— Oczywiście, że nie tu — zapewnił ją żywo. — Postarałem się o zamknięty gabinet.

— Naprawdę? — zawołała, nie kryjąc radości. Zapewnienie Eryka sprawiło jej ulgę.

— Więc chodźmy! — rzekła.

Obrócił się, jeszcze ciągle nie puszczając jej ręki z dłoni, i poprowadził ją teraz ku małym drzwiom, zasłoniętym opadającą kotarą, a wiodącym bezpośrednio ku łatwym do przebycia schodkom.

— Musimy iść na górę — zaśmiał się do niej. Odetchnęła z wyrazem głębokiej wdzięczności.

— To dziwne, Eryku, jak pan mnie rozumie.

Przekroczyli schodki i weszli na mały korytarz. Dostrzegła drzwi, zaś Eryk po chwili otworzył je przed nią. Ujrzała przed sobą zaciszny gabinet.

— Tu! — rzekł Eryk, puszczając ją naprzód.

Gabinet był mały, a w samym jego środku stał nakryty stół. Żyrandol wiszący u stropu był cały przysłonięty różowym abażurem. We flakonie na stole stały kwiaty. Było tu dziwnie swojsko i przytulnie. Na twarzy Marcji pojawił się uśmiech.

Eryk zamknął drzwi i podbiegłszy do Marcji, objął ją mocnymi ramionami.

— Najdroższa! — wyszeptał. — Więc jesteś tu znowu, nie wzgardziłaś moją prośbą!

Nie stawiała oporu, gdy ją trzymał w objęciach, ale drżała jak gołąb. Jakiś dziwny lęk przenikał jej ciało.

— Marcjo! — szepnął.

I trzymając jej twarz w dłoniach, ucałował namiętnie drgające usta. Przygarnął ją teraz jeszcze bliżej ku sobie.

Marcja dyszała. Odczuwała wyraźnie, że gdy przycisnie ją mocniej, zabraknie jej tchu.

Nie starała się wymknąć, ale dziwna jej bierność wynikała, być może, z poczucia bezsiły. Jeśli Eryk triumfował, to zawdzięczał to raczej mocy swych ramion. Faktem jest bowiem, że straciła w tej chwili władzę nad sobą i że uznała swą niemoc i zupełną bezradność.

Przywarty do jej ust, nie myślał zwalniać uścisku. Gdy ocknął się wreszcie i oderwał się od nich, nie cofnął swej twarzy, lecz jeszcze mocniej i szczelniej przytulił ją do niej.

— Czy sprawiłem pani ból? — zapytał ją wreszcie. — Jeśli tak, proszę mi wybaczyć. Nie panowałem nad sobą, byłem stęskniony. Ale proszę mnie nie sądzić, jak się sądzi brutala. Wybacz mi Marcjo! No przemów coś wreszcie, özwij się do mnie!

Wypowiedział te słowa jakby w nagłym przestraszeniu, gdyż Marcja w tej chwili przymknęła oczy. Ogarnęło go teraz głębokie wzruszenie. Trapił się myślą, co by z nią począł, gdyby osunęła się nagle i zemdlała. Utulił ją mocno i spojrzał jej w twarz.

Ale Marcja otworzyła powieki. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Ocknęła się i bladym spojrzeniem patrzyła mu w oczy.

— Nic—wyjąkała, jakby zabrakło jej tchu. — Co mam powiedzieć, o co pan prosi? Jestem dziwnie bezsilna, zmęczona, Eryku. To jest wszystko okropne, co przeżyłam tej nocy. A dzień jeszcze bardziej poderwał mi nerwy. Pragnę odpocząć. Niczego nie chcę tak, jak chwili wytchnienia.

— Uspokój się Marcjo — rzekł współczująco. — Dziecko moje drogie, mój skarbie jedyny!

Zaprowadził ją teraz do krzesła przy stole.

— Proszę teraz usiąść, zapomnieć o wszystkim. Ściągnę z pani płaszcz, to ulży pani trochę. Pani cierpi, biedactwo, to trudno jest ukryć. Zaraz to dostrzegłem, gdy spojrzałem na panią. Ale proszę się nie trapić, ja sam się tym zajmę. Zasłużyłem, być może, na pewne zaufanie. A gdy zaufa mi pani, to postaram się o to, aby już żadne zmartwienie nie dotknęło jej więcej.

Ściągnął z niej płaszcz, a ona opadła na krzesło. Eryk nie próżnował. Nalał jej niezwłocznie szklaneczkę wina.

— Proszę to wypić — rzekł. — To robi pani dobrze. Pani istotnie jest dzisiaj niezwykle nerwowa.

Wzięła szklaneczkę i nadpiła z niej trochę.

— Dziękuję, Eryku — odezwała się szeptem. — Pan zawsze był dobry i gotów do usług. Czy nie napije się pan również, by dotrzymać mi towarzystwa?

Mówiła to, uśmiechając się lekko. Bładość ustąpiła lekkim rumieńcom.

Eryk uśmiechnął się. Zwróciwszy się do niej, przesunął rękę po grzbiecie jej dłoni.

— Mam jeszcze czas — zawołał radośnie. — Ale jakże jest z panią? Czy już czuje się lepiej?

— Dziękuję — odrzekła — nawet znacznie lepiej. Pan nie ma pojęcia, jak mnie zmęczył ten dzień. Czy pan rozumie, co to znaczy, gdy nagle i niespodziewanie trzeba powziąć decyzję? Ile wtedy spraw się zwała na głowę, ile kłopotów i trudności wyrasta jednocześnie? To jest straszne, Eryku. Jeszcze dotąd nie wierzę, że zdołałam im sprostać.

— Więc zdecydowała się pani? — odezwał się głosem, który zdradzał wzruszenie.

Siedziała bez ruchu, nie opuszczając ręki, którą trzymał. Spuściła oczy, jakby zażenowana.

— Zdecydowała się pani? — powtórzył pytanie. Wypowiedział je z wolna, ale ton wskazywał, że żąda odpowiedzi.

Po twarzy jej przemknął uśmiech goryczy.

— Zdecydowałam się — rzekła — ofiarować panu wszystko, czym

inni wzgardzili i czego nikt już nie żąda. A czy wie pan, dlaczego? Bo pan ma jeszcze prawo nie przyjąć oferty...

Eryk pochylił się nad nią.

— Czy sądzi pani, Marcjo, że istotnie miałbym prawo w tej chwili odmówić?

Przywarła do niego i zacisnęła jeszcze silniej obejmujące go ręce.

— Nie wiem, Eryku, nie zastanawiam się nad tym. Ale proszę pana

o to, by okazał mi dobroć. Zdecydowałam się wprawdzie, ale uczyniłam to z ostatecznym wysiłkiem. Wszystko, co posiadam, należy do pana; z drugiej jednak strony chciałabym w to uwierzyć, że nie okaże pan od razu zbyt wielkiej gwałtowności.

Eryk mimo woli uśmiechnął się. Spoważniał jednak zaraz.

— Przyjmę tylko to, co chętnie i dobrowolnie zostanie oddane.

i we właściwym tylko czasie. Przecież kocham panią, Marcjo. Czy pani wątpi w to jeszcze lub nie czuje nawet?

Marcja westchnęła.

— Wiem o tym — rzekła — i nie mam dziś powodu do żadnych wątpliwości. Na pewno prędzej czy później i pan się przekona o tym, co czuję. Ale to nie będzie jeszcze zaraz. Muszę ochłonać, przetrwać to wszystko. Tylko, widzi pan, Eryku, tylko...

— Proszę nie kończyć — wtrącił znienacka — rozumiem to wszystko. To istotnie było trudne, co pani podjęła.

Zerwać z przeszłością i całym otoczeniem, poświęcić swoje sny i dumne, górnotne, nierealne marzenia. Rozumiem panią, Marcjo, aż nadto rozumiem.

Uśmiechnął się nagle i spojrzał jej w oczy. Po chwili dorzucił:

— Za bardzo panią kocham, bym jej nie mógł zrozumieć.

— Przeczuwałam to — rzekła. — Pan zawsze był szczodry i nigdy mi nie szczędził objawów sympatii. Pragnęłabym tylko — głos jej załamał się nagle — bym mogła się okazać godniejszą tych względów. Postaram się. Zrobię, co mogę, by zasłużyć sobie na nie.

— Proszę tak nie mówić — odpowiedział. — Nie mogę tego słuchać, takie słowa mnie boją.

— Naprawdę? — spytała. — Więc nie powtórzę już tego, nie będę tak mówić. Ale powiem tylko jedno: Proszę się nie zmuszać, nie

krepować swej woli. To nie zobowiązuje pana jeszcze, że przyszłam. Nikt o tym nie wie, co zrobiłam. Nie chciałam panu przez to wyrządzić przykrości.

— Marcjo! — zawołał. — Czy pani istotnie tak nisko mnie ceni? Nie chciała mu odrzec, ale dziwny jego wzrok przynaglił ją teraz do żywszej reakcji. Dźwignęła się nagle, podając mu usta, on zaś ujął jej twarz i pochyliwszy się nad nią, długo i namiętnie ją całował.

— Pani nie powtórzy tego więcej — odezwał się w końcu. — Proszę mi to przyrzec, zależy mi na tym.

— Przyrzekam — rzekła. — Musiałam to powiedzieć, ale wystarczy, że raz powiedziałam. I nie ma już potrzeby powtarzać tego znowu.

— Czas nam na obiad — powiedział. — Pomyślimy jeszcze o tym, co zrobić w przyszłości. Musimy gdzieś wyjechać po obiedzie.

— O, tak — odrzekła — ja bardzo tego pragnę. Zostawiłam walizkę na stacji Victoria. Pojedźmy naprzód tam, gdyż muszę ją zabrać. A potem — czy ja wiem, co potem? Najchętniej bym wyjechała natychmiast do Kanady. Z panem oczywiście. I cóż pan teraz na to? Czy pochwała mój zamiar?

— Czy pochwalam? — zapytał, jakby dziwiąc się temu, że wyraża wątpliwość.

Zaśmiała się żywo jak młoda dziewczyna.

— Jutro w południe odjeżdża parowiec z przystani Southampton. Czy nie można by wyjechać jeszcze dziś, w ciągu nocy, aby złapać go w porę i nie tracić czasu potem. Czy to byłoby możliwe?

— Nie ma nic niemożliwego, jeśli chodzi o panią. Wyrzekł to z jakąś dziwną pewnością.

— Chodzi tylko o to, aby na czas się postarać o dobre miejsce. I to jest wszystko, więcej nie potrzeba.

— Trudno o to będzie o tej porze roku — rzekła po namyśle. — Za wielu jest pasażerów do Ameryki. Jestem jednak pewna, że wszystko się uda.

— Lubię takie wypady, przedsięwzięte bez namysłu, w ostatniej niemal chwili — powiedział wesoło. — Otóż dobrze, Marcjo. Będziemy już na miejscu, gdy otworzą kasy. A gdyby zawrócono nas przypadkiem, czego zupełnie nie wykluczam, to i tak sobie poradzimy.

Zaśmiała się znowu.

— Oczekują nas przygody! — krzyknęła z radością. — Jakikolwiek one będą, będą niewątpliwie ciekawsze niż podróż po stawie. Bardziej interesujące. Prawda, Eryku?

— No, pewnie! — zawołał spoglądając jej w oczy. — Pani młodnieje teraz, Marcjo! Mam podziw i szacunek dla tych oznak zapału!

— Ja zawsze jestem młoda, gdy przebywam koło pana... Teraz zadzwoń pan na służbę. Niech podadzą nam obiad, gdyż nie ma pan pojęcia, jak już pragnę być w drodze.

Spełnił jej życzenie, gdyż nalegała zbyt szczerze, aby mógł jej odmówić. W tej chwili przepęłniała ją radość, ale była blada, co świadczyło wymownie, że przecenia swe siły.

Zdawał sobie sprawę, że tylko żal i rozczarowanie kierowały jej wolą, a gdy myślał teraz o tym, dopadł go niepokój, co się z nią stanie, gdy umysł jej z wolna odzyska równowagę. Nie mógł w to uwierzyć, by odpowiadała w zupełności za powzięty plan. Był szczerze tego pewny, że pożałuje jeszcze kiedyś swej zbytnej pochopności.

Głęboko w jego duszy zagnieździła się myśl, jakieś potworne przeświadczenie, że wszystko, co zrobiła, było zupełnie obce jej naturze i popędowi. Zmusiły ją do tego jej straszne warunki, poczucie jej bezsiły wobec dążeń Templetona, znieważona godność, zdeptana miłość. Tu był motyw jej czynu; za wiele miał sprytu, by nie poznać się na tym. Jeśli przyłgnęła do niego, nie wahając się nawet wyruszyć z nim w drogę i nagłać go do niej, to nie działał tu pociąg osobisty, ale świadomość odtrącenia, brak przeżyć, których odmówił jej mąż. Wybrała go po prostu, jak wybiera się zastępcę, on zaś odczuwał, że nie odniesie w tej roli zbytznego sukcesu. Zbyt się kierował poczuciem ambicji, a jeśli doceniał coś kiedy, to jedynie bezpośredniość w okazywaniu mu uczuć.

Uświadomił sobie teraz, że za późno się zjawił, aby wkroczyć w jej życie. Odtrącał tę myśl, ale zdawał sobie sprawę, że musi uchronić niefortunną od dalszych jej cierpień. Odda jej wszystko, na co zdoła się zdobyć, może zaś w przyszłości, gdy otrzeźwieje już nieco, sama to uzna, że postąpił z nią godnie. Ale kobieta myśli inaczej niż mężczyzna. Logika ludzka na każdym niemal kroku wykazuje braki. Ostatecznie uznał, że chwila obecna, nie nadaje się do dalszych medytacji. Wiedział, że ją kocha — tak jak kochał ją zawsze — i nie zastanawiał się nad ceną, którą zapłaci za tę miłość.

Dobyty miecz

— Tak, pan ma rację — odezwała się Marcja. — Z każdą minutą czuję się młodsza.

Noc była cudna, cicha i księżycowa, wóz ich mknął po gładkiej szosie. Mogło się wydawać, że obrana przez nich droga wiodła ich teraz ku szczęściu i zapomnieniu.

— Zatrzymamy się nad wodą — powiedział Eryk. — W miejscu, gdzie po raz pierwszy spędziliśmy razem wieczór. Czy pamięta pani, Marcjo?

— Oczywiście, że pamiętam — zaśmiała się rzewnie. — Przecież w ową pamiętną noc zawarliśmy przyjaźń.

Po chwili dodała:

— Pamiętam doskonale, jak powzięłam tej nocy pewien dziwny plan, z którego jeszcze dotąd nie zwierzyłam się panu.

— Domyślam się tego — odpowiedział żywo. Po twarzy jej przemknął wyraz zdumienia.

— Pan się wszystkiego domyśla — odrzekła mu szczerze.

— Czytam w pani oczach — rzucił z uśmiechem. — Ale już mówiliśmy o tym, czy nie mówiliśmy może? O Kornwalii i wybrzeżu. Domyśliłem się, że zamierza pani znowu tam spędzić wczasy. I że zabierze z sobą dzieci. Marcja w porę stłumiła westchnienie.

— Postanowiły co innego — powiedziała. — Ale może to i lepiej. Tylko rzadko się nadarza tak dobra sposobność.

— Praktycznie nigdy — wtrącił skwapliwie. — Zwłaszcza zaś tam,

gdzie o więcej chodzi ludzi niż o... dwoje przyjaciół. Nie, pani Marcjo. Jedynym sposobem, aby się uczuć szczęśliwym, jest uciec od świata i całego otoczenia. Już sporo lat temu, jak odkryłem tę prawdę.

— Czy nie jest to egoizm? — zarzuciła mu Marcja.

— On jest jedynym naszym wyjściem — oświadczył stanowczo. Pomknęli dalej. Droga ku stawowi rozciągała się szeroko, wiała się

przed nimi, jak wstęga z metalu, gładka i równa, przecinana cieniami topoli, gubiła się w oddali we mgle i oparach zapadającej już nocy.

— Jak pan dobrze kieruje — rzekła Marcja, budząc się nagle z zamyślenia.

— Naprawdę? — zapytał. — Ten wóz jednak nie ma szczególnych zalet. Nie sposób jest po prostu wydobyć z niego więcej niż średnią szybkość.

Marcja zaśmiała się.

— Nie mamy potrzeby śpieszyć się zbytnio. Przecież cała prawie noc przed nami.

Odwróciła się nagle i spojrzała mu w twarz.

— Czy to prawda, Eryku, że siedemdziesiąt tylko mil do wybrzeża?

— Nie zamierzam na jazdę poświęcić nocy — odpowiedział. — Pani musi odpocząć, jest nadto znużona.

Zastanawiam się czy nie zatrzymać się w gospodzie, która stoi nad rzeką.

— Och, nie! — zawołała. — Ja koniecznie jeszcze muszę popływać łodzią.

Zaśmiał się znowu.

— Popływa pani, nie zrezygnuję z przejażdżki. Ale cała rzecz w tym, że jeśli zbyt długo to potrwa, możemy potem zostać bez dachu nad głową.

— Przenocujemy gdziekolwiek — mówiła. — Można znaleźć jakąś chatę, by spędzić w niej noc. A jeśli i tej nie znajdziemy, to przecież noc jest piękna i wyjątkowo łagodna. Nie zaszkodzi nam chyba, gdy prześpimy się na sianie.

— Marcjo! — zawołał — pani wprawia mnie w podziw. Podjechali tymczasem w pobliże jeziora, po czym wysiadłszy z wozu,

ruszyli brzegiem. Z gałęzi usłyszeli nagle krzyk puchacza. Upiorne jego brzmienie przejęło ich uczuciem grozy.

— Gdy byłem jeszcze mała — mówiła szeptem — wyobrażałam

sobie zawsze, że tak krzyczą zmyły. Pan nie ma pojęcia, jak się bałam ich wtedy.

Ponieważ głos jej zadrgał, ujął jej rękę i przycisnął silnie. Po chwili dodał:

— Ale obecnie się zmieniło. Pani się teraz nie boi prawda, pani Marcjo?

Przyłgnęła do niego, chwytając go za rękę.

— Nie boję się niczego, gdy pan jest koło mnie.

Jej głos się zmienił i zabrzmiał przedziwną pewnością. Eryk spojrział jej w oczy.

— Będę zawsze pani bronił — odrzekł dumnie. Ręka jej igrała wśród palców jego dłoni.

— Dziękuję — odrzekła, zagładając mu w twarz. — Pan nie wie nawet, jak bardzo mnie to cieszy.

Gdy wracali po spacerze z powrotem do wozu, Marcja dziękowała mu.

— Za co? — zapytał, patrząc jej w oczy i unosząc brwi w wyrazie zdziwienia.

— Za wielką pana dobroć — odrzekła poważnie. — Nie doznałam jeszcze takiej i trudno mi uwierzyć, że doświadczyłam jej dzisiaj.

Pochylił się nad nią i ucałował jej rękę.

— Najdroższa! — wyszeptał. — Nie wydaje mi się, że zasłużyłem czymkolwiek na dowód życzliwości. Proszę mi wierzyć, Marcjo, że służyć pani jest dla mnie radością.

Wsiedli do samochodu i Eryk ostro ruszył dalej.

Rozmawiali tak mało, że jakieś uczucie senności ogarnęło ją. Zasnęła na dobre. Turkot kół i motoru maszyny przeniósł swój rytm jakby w obręb jej snów i odczuła podświadomie, że wóz, tak niedawno skrytykowany przez Eryka, unosił się obecnie, jakby urosły mu skrzydła. W tej chwili odczuła jakiś gwałtowny wstrząs. Nie ulegało wątpliwości, że samochód rozbił się o coś. Wiedziała, że upada i że stacza się w przepaść. Ale nie dostrzegła niczego. Ciemności nocy otoczyły ją zewsząd. Dźwignęła się nagle i odczuła jednocześnie, że jest już przytomna. Rozejrzała się dokoła, ale niczego nie widziała, rozpoznała tylko, że leży na ziemi. Nie zdawała sobie sprawy, jak to się stało, że tak nagle i niespodzianie znalazła się tutaj.

Nie trwało jednak długo i ocknęła się wreszcie. Uświadomiła sobie teraz, że istotnie zdarzyło się coś strasznie groźnego. Wstrząs i upadek nie były jakąś marą, czy sennym przywidzeniem. Dostrzegła, że spoczywa na stoku pagórka. Na dnie jakiejś jamy, obrosłej chwastami. Uniosła się szybko, patrząc przed siebie, ale noc była ciemna, nie pozwoliła jej widzieć dalej niż kilka metrów.

Przytomność jej wróciła, lecz nie mogła jeszcze skupić rozstrzelonych myśli. Zrozumiała tylko tyle, że istotnie się wydarzył jakiś straszny wypadek. Przypomniała sobie, że w czasie jazdy zasnęła. Świadomość, że leży i nie odniosła prawie żadnych obrażeń, ocuciła ją nagle, dodała jej mocy do skupienia myśli.

„Eryk"! — zawołała. — Co jest z Erykiem?

Jeszcze raz powiodła spojrzeniem dokoła.

Dostrzegła tylko stok, który unosił się nad nią. Widoczne było, że wóz osiągając szczyt pagórka, nie zwolnił, lecz przyśpieszył nawet, aż wreszcie wypadł z szosy i stoczył się na dół. Jeśli Eryk nie wyskoczył to znajdował się zapewne w jakimś rowie, możliwe, że zmiażdżony szczątkami pojazdu. Ogarnął ją lęk i przerażenie, ale ostatkiem swych sił skupiła się, panując nad wybuchem rozpacz. Musiała teraz okazać odwagę. Cokolwiek się zdarzyło, nie mogła poddać się słabości.

Dźwignęła się z miejsca i poczęła nadśłuchiwać. Ale wszędzie była pustka i milczenie. Spojrzała jeszcze niżej, ku stokom pagórka. Nie dostrzegła niczego. Może parę metrów od niej widniała jakaś masa, wyglądająca z oddali na kłębowisko zarośli. Chwiejąc się na nogach i drząc z zimna i lęku, poczęła teraz schodzić zboczem wzniesienia. Sprawiało jej to trudność, gdyż trawa była mokra i śliska. Ale przebrnęła ją wreszcie i znalazła się po chwili na gruncie nieobrosłym. Tu przystanąła, jakby pragnąc przyzwycząić swój wzrok do ciemności.

Otwarta droga

— Marcjo, Marcjo!

Jakaś błagalna prośba rozbrzmiewała w tym głosie. Przeszywała jej serce, rozdzierała nerwy.

— Gdzie jesteś, na miłość boską?

Podbiegła w tę stronę, ożywiona nadzieją, że Eryk żyje. Nie wahała się już teraz.

— Jestem tu! — krzyknęła — idę do pana. Ale gdzie pan jest? Nie mogę pana znaleźć.

Nie słyszała odpowiedzi, ale jakiś instynkt wiódł ją teraz. Minęło parę sekund i dotarła nareszcie do rozbitego auta, które ugrzęzło wśród pokrzyw i ostów.

— Eryku, Eryku! — krzyknęła w ciemności. Rozglądała się i nadśluchiwała, wreszcie go dostrzegła.

Ale znajdował się w miejscu, do którego dostęp był niełatwy; przygnieciony był nieomal rozbitym samochodem.

Marcja uznała, że jej siły nie starczą, by wydobyć go. Ale próbowała.

— Proszę się nie silić — jęknął bezradnie, gdy chciała go dźwignąć i unieść. — Pani nie podoła temu i sama jeszcze może doznać obrażeń. Ale jakże z panią? Czy dobrze? — w jego głosie był lęk albo ból.

— Czuję się dobrze — zapewniła.

— Bogu za to dzięki!

Zamilkł po tych słowach i leżał bez ruchu przez kilka sekund. Myślała już nawet, że zemdłał, gdy ozwał się nagle, ale z mniejszym nieco niż przedtem wysiłkiem:

— Ja również, chyba w porządku. Bólu nie odczuwam, więc chyba nie jestem ranny. Pani pewnie wypadła z wozu?

— Tak mi się zdaje — odparła nerwowo. — Ale nie pamiętam już dobrze. Zasnęłam w czasie jazdy.

— Tak, pani spała.

— Cóż się nam zdarzyło? — spytała go trwożnie.

— Sam tego nie wiem. Chyba defekt w hamulcu. Gdy wjechaliśmy pod górę, nie zdążyłem już wozu powstrzymać. Ale i zakręt w tym miejscu był trudny do wzięcia. Czy jest pani pewna, że nic się pani nie stało?

— Najzupełniej, Eryku. Czuję się dobrze i nic mi nie dolega. Ale co będzie z panem, co będzie z panem?

— Nie trapię się o to. Już w cięższych opresjach bywało się nieraz.

— Ale ja się tym trapię — rzekła żałośnie. Urwała, gdyż łyzy ścisnęły jej gardło.

— Idę po pomoc — ozwała się żywo. — Czy wytrzyma pan tu chwilę, zanim wrócę.

— No, tak, oczywiście — odrzekł półgłosem. — Przecież muszę wytrzymać, nie mam innego wyjścia. Tylko... Tylko strasznie mi przykro, że tyle pani sprawiam kłopotu przez siebie.

— Mój drogi! — wyjąkała. — Eryku mój drogi!

— Wszystko będzie dobrze, tylko trochę cierpliwości!... Nic mi to nie szkodzi, gdy pobędę tu jeszcze, aż zrobi się szaro. Trzeba podejść nieco wyżej w górę, tam będzie pewien schron u szczytu pagórka. Znajdował się tam zawsze, jeśli nie myli mnie pamięć. Bardzo też możliwe, że jest drugi opodał. Ale tylko się nie śpieszyć! I powiedzieć sobie teraz, że i tak się doznało szczęścia w nieszczęściu, skoro Bóg o nas myślał i zachował nas jakoś oboje przy życiu! Ściągnęła swój płaszcz.

— Nie potrzeba mi tego — rzekła. — To obciąży mnie tylko, utrudni mi drogę. Naprawdę, Eryku — ciągnęła stanowczo, gdy próbował protestować. — A panu będzie lepiej, gdy oprze na tym głowę. Zwinęła płaszcz i podłożyła go ostrożnie jak miękką poduszkę.

— Tak — dodała — a teraz już idę. Wkrótce powrócę; możliwie najprędzej.

— Niech Bóg to nagrodzi — wyjąkał.

Obróciła się teraz i szybko odeszła.

Znalazła się wreszcie na drodze za szczytem.

Kilka chwil potem dostrzegła w oddali zbliżający się pojazd. Podbiegła naprzód na środek gościńca i przystanęła, wyciągając rękę. Kierowca pojazdu zбочył w tej chwili, zahamował i zbliżał się do niej w wolnym tempie.

— Hallo! — zawołał. — Pani szuka pomocy?

— Wydarzył się wypadek — krzyknęła. — Czy może mi pan pomóc?

— Spróbuję — odrzekł, patrząc na nią ciekawie. — Cóż się zdarzyło?

Twarz miał czerwona, oczy kolory szarego. Patrzyły w nią badawczo, dziwnie przenikliwie. Marcja się oparła na drzwiach pojazdu i opowiadała:

— Jechaliśmy autem, ja i mój przyjaciel. Ale w drodze niespodzianie popsuły się hamulce i wóz stoczył się na dół.

Mój przyjaciel znajduje się pod nim. Trzeba kilku mężczyzn, by wydobyć go stamtąd.

Kierowca spojrział na nią, jakby nie dowierzał jej słowom. Wreszcie spytał:

— Gdzie on jest? Czy daleko? Próbowwała pani użyć dźwigara?

— Nawet nie wiem, czy go mamy — odpowiedziała Marcja. Mężczyzna zeskoczył i przystanął koło niej. Był wysoki, barczysty,

atletycznej budowy. W świetle księżycy wydawał się Marcji jak olbrzym z legendy.

— Proszę gdzieś usiąść — rozkazał. Podszedł do skrzynki, umieszczonej za wozem.

Marcja usiadła na stopniu jego auta. Słyszała, jak szperał wśród narzędzi i jak nagle coś przerzucił daleko na gościńiec.

— Tego właśnie trzeba — mruknął pod nosem. — A więc gdzież jest ów wóz? U samego podnóża? To dziwne — powiedział — że wóz się tam stoczył, a pani jest żywa.

Niedowiarstwo brzmiało w jego głosie.

— Szczęśliwie wypadłam — wyjaśniła Marcja.

— I nie zraniła się pani? — ciągnął badawczo. Marcja powstała.

— Chyba nie — odrzekła strapiona. — Teraz pana zaprowadzę. Czy pomóc w niesieniu narzędzi?

— Nie, dziękuję — odrzekł. — Nie schodźmy jednak tędy. Kilka kroków dalej jest lepsza ścieżka. Znam tę górę i wszystkie jej zbocza.

Życzliwe jego zachowanie wzbudziło w niej ufność. Odetchnęła głęboko, jakby doznała ulgi. Zdawało jej się, że ciężar odpowiedzialności już jej nie gniótł tak silnie. Szybko podążyła przed nim.

Gdy znaleźli się wreszcie na dnie przepaści, księżyc już zachodził. Ale dalej panowała niezmacona cisza. Marcja była niespokojna o Eryka, bała się patrzeć w stronę samochodu. Ale szybki jej towarzysz nie zastanawiał się długo. Wyprzedził ją, a Marcja podeszła za nim.

Znaleźli się w miejscu, gdzie przed godziną zaledwie zostawiła Eryka. Leżał tak jak przedtem, z głową opartą na jej zwiniętym płaszczu, ale nie odezwał się do niej, gdy pochyliła się nad nim. Nie poruszał się również, leżał bezwładnie, jak człowiek nieżywy.

— Zemdlął? — zapytał towarzyszący jej człowiek.

— Nie wiem — odrzekła, truchlejąc z obawy.

— Spróbuję go wydobyć — mruknął pod nosem. — Całe jeszcze szczęście, że wóz się nie zapalił.

Pochylił się, by zbadać sytuację.

— Może uda mi się jakoś dźwignąć. Ale wypadek niecodzienny. Nie zwlekając ani chwili, zabrał się do pracy, zaś Marcja spoglądając

na Eryka, drżała z przerażenia, ilekroć podwozie zdawało się przechylać. Ale mężczyzna miał spryt, wiedział co robi. Zabezpieczył auto rzędem kamieni przed nagłym obsunięciem się. Pracował chwilę, wreszcie zawołał z tryumfem:

— Teraz mogę go wyciągnąć. Zaraz spróbuję.

Ustała mu miejsca, jeszcze ciągle przejęta strachem i grozą. Eryk do tej pory nie odzyskał przytomności, ale serce mu biło równomiernie. Zacisnęła ze strachu obie ręce, gdy mężczyzna przystąpił do zadania.

Nie zaliczało się do łatwych. Eryk był bezwładny, leżał nieruchomo; ale mimo, że mu teraz nie groziło już zmiżdżenie, należało zachować największą ostrożność. Mężczyzna wyciągał go z niesłychaną starannością; prawie cal za cal. Nogi Eryka leżały na trawie jak pozbawione władzy.

— To wszystko, co na razie dało się zrobić. Teraz muszę pośpieszyć i postarać się o pomoc. Pani chce z nim zostać?

— Oczywiście, że zostanę — odezwała się Marcja. — Ale skąd pan weźmie pomoc o tak późnej godzinie?

— Poradzę sobie jakoś — odrzekł z przekonaniem. — Jestem gospodarzem hotelu w miejscowości Martinworth. To jest stąd tylko kilka kilometrów. Pojadę natychmiast do zarządu szpitala i wyślę ambulans, jeśli nic mi nie przeszkodzi. To może trochę potrwać. Czy sprostą pani temu, by czekać tak długo?

— Ależ tak — odrzekła z głębokim przekonaniem. — Niech się pan mną nie przejmuje. Proszę tylko szybko postarać się o pomoc. Możliwie najszybciej. I dziękuję panu z góry za tak wielką życzliwość.

— Jeszcze czas na podziękii — ozwał się olbrzym. — Zaczekajmy, aż coś zrobię.

Rzekłszy to, oddalił się szybko. Słyszała jeszcze chwilę odgłos jego kroków, gdy się wspinał na górę. Kilka minut później doleciał ją warkot motoru, gdy auto ruszyło. Rozbrzmiewał jakiś czas, coraz ciszej i słabiej, aż w końcu gdzieś zamarł w dalekiej przestrzeni.

Marcja spoglądała na twarz Eryka. Gdy pochyliła się nad nim, dostrzegła zdumiona, że oczy ma otwarte i patrzy przed siebie.

Ozwał się wreszcie, ale każde słowo dobywał z trudnością.

— Marcjo — wyjąkał, gdy pochyliła się niżej. — Posłuchaj mnie, Marcjo! Nie zostawaj tu przy mnie, wróć do domu.

— Mam wrócić? — powtórzyła, zmieszana. Uczuła jego wzrok, wtopiony w jej twarz. Gdy po chwili spojrzała, dostrzegła w jego oczach jakby wyraz błagania.

— Tak — wyszeptał przedziwnie ochryple. — Odejdź stąd zaraz. Musisz mi to przyrzec, że wrócisz do domu.

— Eryku! — zawołała, nie panując nad nerwami. — Eryku najdroższy! Jakże mogłabym zostawić tu ciebie.

— Musisz! — odrzekł, upierając się z trudem. — Posłuchaj mnie, Marcjo. Nie możesz się poświęcać i narażać tak dla mnie! Jestem ciężko ranny, mogę umrzeć za chwilę. Ty jednak odejdź! Nie umarłbym spokojnie, nie wiedząc, żeś poszła. Nie próbuj się sprzeciwiać, nie przekonasz mnie, Marcjo. Wiem o tym przecież, że zostałabyś ze mną; zostałabyś do końca, gdybym pozwolił ci na to. Ale ja nie pozwalałam.

Rozumiesz mnie, Marcjo? Nie życzę sobie tego. Zatem czym prędzej odejdz do domu.

— Najdroższy — szepnęła — pan za wiele teraz żąda. Nie przeżyłabym tej myśli, że pan został tu sam.

— Proszę się nie trapić — wyjąkał półszepem. — Nie możemy iść naprzód, więc musimy się cofnąć. Jeśli nie oboje jednocześnie, to pani przynajmniej. Proszę posłać po Petera. On może tu przyjechać. Ale pani musi odejść. To jedyna jeszcze droga i — dzięki Opatrzności —jeszcze ciągle otwarta.

Urwał na chwilę, gdyż zabrakło mu tchu. Z czoła spływały mu krople potu. Marcja je szybko otarła chusteczką.

— Czy zrobisz to? — dodał po chwili. Z oczu wyzierał mu wyraz udręki. — Pani robi to dla mnie, pani musi to zrobić.

— Przecież wie pan o tym, że wszystko, co możliwe, zrobiłabym dla pana.

— Naprawdę? — zapytał, spoglądając jej w oczy. — Wiem o tym — dodał — i święcie w to wierzę.

Mówił to wolno, jakby świadom teraz tego, że opuszczają go siły.

— A więc wróci pani teraz, pani dla mnie to robi. I niech nikt o tym wszystkim nie dowie się nigdy. Z wyjątkiem Petera. Bo Peter jest mi wierny; nie rozgłosi tego. Więc pani robi to, Marcjo? Przrzeka mi pani?

Zawahała się dziwnie; nie mogła się oprzeć prośbie jego oczu. Zdawało jej się teraz, że śmierć z nich wygląda.

Patrzyły tak dziwnie.

— Zrobię wszystko, co mogę — odrzekła wstrząśnięta. — Przrzekam to panu.

— Ach! — wyjąkał, spoglądając ku górze, jakby szukał dla niej miejsca w przestworzach. — Pani dotrzyna obietnicy. Dowiem się, przekonam się wkrótce.

Spozierał jeszcze dalej, wysoko ku niebu — bełkotał coś bez związku i treści — aż w końcu westchnął i opadłszy bezwładnie, utracił przytomność.

Gdy powieki ponownie przysłoniły mu oczy, jakaś dziwna ulga wstąpiła w jej serce.

Bolesna wiadomość

Siedziała jakiś czas, załamana, milcząca, zasypiająca już prawie w półświecie księżycy, gdy nagle zjawili się ludzie z pomocą. Patrzyła spokojnie, jak go wzięto na nosze i poniesiono ku górze, jak umieszczono go potem w czekającym ambulansie i jak ambulans po chwili ruszył gościńcem. Szła wraz z ludźmi, jak w procesji, nie zdając sobie sprawy dokąd i gdzie idzie. Wszystkie te przeżycia wydawały się jej teraz jak filmowe obrazki, rzucone na ekran; była zupełnie tego pewna, że bierze w nich udział, ale nie odróżniała rzeczywistości od złudy.

Zajechano ostatecznie przed szpital w Martinworth. Gdy wysiadła z ambulansu, a sanitariusze po chwili wynieśli Eryka, na dworze już dniało na dobre, za łańcuchem pagórków, wznoszących się nad miastem, pojawiły się smugi letniego słońca.

Nastąpił teraz okres długiego czekania. Została niemal sama w przedsionku szpitala, gdyż tylko Dan Bellamy się kręcił opodal. Ten potwornie olbrzymi gospodarz hotelu musiał jej zapewne już wyjawić swe nazwisko, nie pamiętała jednak, kiedy i przy jakiej sposobności. Był bardzo uprzejmy, choć nieco mrukliwy. Przyniósł jej wkrótce wiadomość, że wszystko, co się dało, zrobiono, ale pacjent jeszcze nie odzyskał przytomności i że więcej na razie zrobić się nie da. Niewątpliwie ma zraniony kręgosłup, ale nie można jeszcze orzec, czy uraz jest poważny. Zapytał ją potem o nazwisko Eryka, zaś ona podała je, zapominając zupełnie o obietnicy. Przypomniała sobie nagle, że ma wezwać Petera. Bellamy przyrzekł jej, że sam to zrobi i przy tym spojrzał jej bystro w oczy. Uspokoila się nieco, patrząc w jego czerstwą, rumia-

ną twarz; tylko świdrujący wzrok wydawał jej się ciągle dziwnie podejrzany.

— Cóż pani zamierza — zapytał ją w końcu. — Jeśli mi pani nie odmówi, mogę panią odwiedzić do mego hotelu. Zawahała się lekko, ale zanim się spostrzegła, wyjawiała mu prawdę.

— Zabronił mi, bym została przy nim. Musiałam mu przyrzec, że wrócę do Londynu.

Normalnie Marcja nie zdobyłaby się na powiedzenie tego. Mogło się wydawać, że to inna kobieta wypowiedziała. Ale wywołał je zapewne fakt, że na twarzy obcego widniał wyraz zrozumienia.

Zrozumiał ją i teraz, nie indagując dłużej.

— Dobrze — odparł. — Ja sam tam jadę, więc mogę panią zabrać. Niebawem wyruszyli.

Jeszcze raz jechała tą samą trasą ku miastu, które tak niedawno w radosnym nastroju opuściła. Coraz bardziej i bardziej oddalała się od miejsca tragedii. Gdy przybyli do Londynu, słońce już było w zenicie. Spytał ją o drogę.

Odpowiedziała mechanicznie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, on zaś ruszył, lecz po chwili zagadnął:

— Może lepiej by było nie zajeżdżać przed dom? — zapytał troskliwie. — Oszczędzi to pani niemiłego kłopotu. Po co się tłumaczyć, że wóz miał defekt i uległ rozbiciu?

Spojrzała mu w twarz, jakby obudzona zniemacka z tępej zadumy.

— Pan i o tym nawet myśli? — spytała zdumiona. — Nie rozumiem, dlaczego?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Nie mogłem pani od razu rozpoznać na pewno; zupełnie tak samo jak majora Morvena, ale zdawałem sobie sprawę, że widziałem już państwa. Byłem w czasie wojny sanitariuszem w Fontenelle. Właśnie wtedy, gdy podpalono nam szpital. Przypominam sobie teraz, jak w czasie pożaru, uratowałem wam życie; wyniosłem was oboje z płonącej już sali. Pani była wtedy siostrą, czuwała do ostatka nad chorym majorem. Czy myłę się może? Spojrzała mu w oczy, nie tając zdumienia.

— Tak — odrzekła — byłam wtedy siostrą. Ale nie przypominam sobie, czy widziałam tam pana.

— Nic w tym dziwnego — odrzekł z prostotą. — Przecież to sporo czasu temu, niejedno w tym okresie uległo zmianie. Zostawię pani adres. Pani może zadzwonić, gdy zapragnie informacji.

Wyciągnął z kieszeni zniszczony już portfel i wyjął bilet wizytowy.

— Proszę żądać Bellamy'ego — dodał po chwili, podając jej kartkę.

— Będę z chęcią pani służył, jeśli dowiem się czegoś. Już zaraz po powrocie mogę podać pani stamtąd najświeższą wiadomość. Ale to już Mountgrave Square, prawda, Madame? Czy nie lepiej może będzie, gdy zostawię panią tu? Zależy czy wystarczy pani sił, by odbyć tę drogę.

— Ależ tak — odrzekła, skupiając się nagle. — Jestem zupełnie pewna, że dojdę szybko. W każdym jednak razie mam dług wdzięczności wobec pana. Pan wiele dla mnie zrobił, aż nadto wiele.

— Ależ to nic wielkiego — odezwał się Dan ze szczerą prostotą.

— Zawsze jestem chętny do pomocy dla starych znajomych. To jedna z moich zasad, jeszcze z tamtych czasów. Och, gdzie te czasy? Dobre one były, lepsze od dzisiejszych. Ale czas mi teraz ruszyć. Żegnam panią. Żegnam panią, siostró!

Podawała mu rękę, on zaś ją pochwycił i zamknął w swej dużej dłoni. Marcja zmieszała się, z ust jej padały jakieś dziwne, nieskładne słowa podziękowań.

— Proszę nie dziękować — zaśmiał się Dan. — To popsuje nam sprawę. Będę zawsze dla państwa życzliwy i chętny. Tak jak wówczas na froncie. Goodbye — dorzucił. — Goodbye, Madame!

Włączył silnik i pomachał ręką, zaś Marcja ruszyła aleją ku miastu.

Znalazła się znowu w domu. Bramę zamknięto, lecz nie zaparto jak zawsze rygłem od wewnątrz. Otworzyła ją szybko, weszła do sieni. Była strasznie zmęczona; każdy jej ruch był dziwnie niezborny. Nie zależało jej na tym, czy spotka się z kimkolwiek. Szła prosto przed siebie, zamknawszy bramę ruszyła drogą ku schodom.

Nie spotkała nikogo. Ale gdy weszła do sypialni, doleciał ją nagle jakiś szmer z przyległego pokoju. Drzwi od pokoju były otwarte, zaś Hobbs dźwignęła się z krzesła i stanęła na progu sypialni.

— To pani, Madame? — szepnęła nieśmiało. — Ach, jak to dobrze! Nie wiedziałam już w końcu, co z tym wszystkim.

Marcję zdziwiło takie przyjęcie. Wspomniała jednak słowa Dana Bellamy'ego i zrobiła z nich zaraz praktyczny użytek. Przyszło jej to łatwo, bez żadnych kłopotów. Zdawało jej się nawet, że to ta druga jej osoba przemawia za nią teraz.

— Na mnie tak czekasz? — spytała ją żywo. — Bardzo mi jest przykro, że popsułam ci noc. Jechałam jednak autem i wóz w drodze się rozbił. To musiało trochę trwać nim wreszcie na wezwanie zjawiała się pomoc.

Spojrzała jej w twarz i dostrzegła zdumiona, że w oczach Hobbs pojawiły się łzy.

— Och, Milady — zawodziła służąca — nie opiszę pani nawet, co tej nocy przeżyłam. Siedzę tu tak sama od kilku już godzin, a ten strach nieustanny, ten lęk, ten niepokój! Wiadomość do nas przyszła może w godzinę po wyjeździe Sir Everarda Templetona. Więc cóż mieliśmy zrobić! Kto się miał tym zająć?

— Nie rozumiem cię, Hobbs — odezwała się Marcja. Nowy niepokój wstąpił w nią nagle. — Cóż się więc zdarzyło? I o jakiej wiadomości mówisz?

Hobbs, wstrząśnięta, nie panując widocznie nad nerwami, kompletnie roztrzęsiona, zalała się łzami.

— Nie wiem, co powiedzieć — jąkała się wśród łez. — Oddzwoniłam przed chwilą, że odpowiedź będzie, gdy pani powróci, ale teraz być może, teraz być może, już będzie za późno, już będzie za późno.

Marcji w tej chwili rozjaśniło się w głowie. Postąpiła naprzód, drżącą ręką pochwyciła służącą za ramię.

— Na miłość Boską! — krzyknęła. Usta jej nagle zbieleły jak kreda. — Powiedz mi natychmiast, co się stało? Czy któreś z moich dzieci?

— Tak, Madame. To panicz nasz, Dennis. Nagła operacja. Zapytywano tu właśnie, czy rodzice się godzą.

Appendicitis — powiedzieli — i że bardzo niebezpieczne. Ale cóż miałam odrzec, gdy nikogo nie było? Sir Everard odjechał, Lady Barrowdale jest w Goodwood, a zresztą nikogo z całutkiej rodziny. Myślałam już nawet, że i panią w drodze spotkało nieszczęście. To się nie da opisać, co tej nocy przeżyłam.

Wybuchnęła ponownie gwałtownym szlochem. Marcja stała jak wryta. Ale trwało to tylko chwilę. Zrzuciła kapelusz i popędziła na osłep, szukając telefonu.

Klucz

Dennis przeżył szczęśliwie operację, ale okres jego cierpienia i późniejszej rekonwalescencji odbił się ciężko na zdrowiu Marcji. Wychudła, zmizerniała, zestarzała się nieco, ale jej mąż początkowo nie dostrzegł tych zmian. Zauważył je dopiero, gdy wrócili do domu.

Ale i to przez zwyczajny przypadek. Zdarzyło się bowiem, że późną już jesienią zapragnął w pewien wieczór rozmówić się z żoną. Podeszedł ku drzwiom, które oddzielały gabinet od pokoju Marcji, ale ku wielkiemu zdumieniu, zastał je zamknięte od wewnątrz. Zaskoczony, wybiegł na korytarz i poprosił przez drzwi, by pozwoliła mu wejść. Marcja otworzyła. Gdy wszedł, zastał ją leżącą na sofce pod oknem. Dokoła panował głęboki mrok, tylko lampa od ulicy sączyła światło przez zeschnięte jesienne, złote liście.

Przystanął na progu, zdziwiony zachowaniem żony.

— Cóż to jest, Marcjo? — zawołał zdumiony. — Sama tu siedzisz w tym ciemnym pokoju?

— Tak — odrzekła znużonym głosem. — Sama tu siedzę w tym ciemnym pokoju... Przekręć włącznik, jeśli pragniesz jasności.

Podeszedł do kontaktu i włączył lampę. Przez chwilę przyglądał się żonie.

— Czy stało się coś złego? — zapytał niespokojnie. — Masz zmartwienie, Marcjo, może czujesz się chora?

Na bladej jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Nie — odrzekła — czuję się dobrze. Ale jestem zmęczona i muszę odpocząć.

Templeton stał dalej, nie wiedząc, co odrzec.

— Przeszkadzam ci może? — zapytał po chwili. Marcja badawczo spojrzała mu w oczy. Nie zaprzeczyła.

— Wcześniej dziś przychodzisz — rzekła po namyśle. Templeton tymczasem usiadł na krześle.

— Tak — odpowiedział. — Chciałem ci donieść, że Lord Bevis zrezygnował ostatecznie z posady. Z końcem tego roku złożę dymisję.

Marcja roześmiała się.

— Ach, domyślam się — rzekła. — A opróżnione po nim miejsce? Templeton z uśmiechem pogładził brodę.

— Tak, moja droga — dodał po chwili. — Jeśli zaoferują mi to miejsce, będę najmłodszym z prokuratorów w Anglii.

Marcja przyjęła tę wiadomość bez słowa. Leżała milcząc. Wicher na dworze potrząsał drzewami i wył przeraźliwie.

Ale w pokoju było cicho. Sir Everard znowu spojrzał na żonę. Obudziła w nim nagle troskę swym wyglądem.

— Zmizerniałaś — zauważył. — Jesteś blada, wyczerpana. Obawiam się, Marcjo, że niewiele ci pomogły ostatnie wczasy.

— Powetuję to sobie — odrzekła spokojnie.

— Wyjeżdżasz ponownie? — zapytał zdumiony.

— Możliwe — rzuciła, nie patrząc mu w twarz. — Ale dlaczego o to pytasz? — dodała po chwili. — Czy ewentualny mój wyjazd sprawiłby ci może nieprzewidziane przykrości?

— Nie — odpowiedział — ten pomysł byłby niezły. Czy nie sądzisz jednak, Marcjo, że pora jak na wyjazd jest cokolwiek spóźniona? Dokąd to właściwie pragnęłabyś wyjechać?

Nie odpowiedziała nic, zaś Templeton przybrał urzędową minę.

— Obawiam się — dodał — że nie mógłbym teraz wyjechać z tobą. Jutro ponownie udaję się do Cardiff. Ta sprawa Bonsora jeszcze ciągle się przewleka i nie może się skończyć.

Marcja zaśmiała się lekko.

— Ach, nie! — odrzekła. — Nie myślałam nawet o tym, aby zabrać cię w podróż. Przeciwnie, Everardzie.

Zamierzam te wczasy spędzić samotnie. Potrzeba mi wypoczynku, jedynie wypoczynku.

Twój twarz Everarda jeszcze ciągle pokrywał wyraz strapienia.

— Wyjechałbym przecież, gdyby pozwolił mi czas.

— Dziękuję — odrzekła. — Wolę tym razem wyjechać samotnie. W pokoju ponownie zaległo milczenie. Opuściła powieki, jakby nie

zważając już teraz na obecność Templetona. Wyraz apatii wyzierał z jej twarzy.

Przechylił się ku niej i spojrzał jej w oczy.

— Powinnaś przed wyjazdem zasięgnąć opinii lekarza. Mam dziwne wrażenie, że zaczynasz chorować.

— Nie — odrzekła — to niepotrzebne. — Głos jej drżał, gdy mówiła te słowa. — Nic mi nie dolega i czuję się dobrze. Ale odpoczynek niezawodnie poprawi mój nastrój, podniesie mnie na duchu. Dziękuję ci z serca za życzliwą poradę.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał po chwili. Zawahała się trochę, a w końcu odrzekła:

— Nie powiem ci tego. Ale też nikt inny nie będzie o tym wiedział. Myślałam nieraz, że tydzień albo dwa zupełnego spokoju, spędzonego w zaciszu i w ukryciu przed ludźmi, byłby najlepszym może środkiem dla pań z towarzystwa. I o to właśnie chodzi. Niczego tak nie pragnę, jak podobnego wypoczynku.

Kilka lat temu słowa te niechybnie wywołałyby w Templetonie niemałe zdumienie. Ale wojna zmieniła zasady i poglądy. Marcja już od lat dążyła swą drogą, a Templeton od lat pobłażał jej. Zdarzały się okresy, w których nie wiedział nawet, gdzie Marcja przebywa. Przywykł już powoli do tego stanu. Nie zdumiało go więc teraz, że Marcja na jakiś czas usuwa się od świata i chce być sama. Nie pochwalał wprawdzie tego, ale nie widział też powodu, by unicestwić jej plany.

Myślał jeszcze chwilę, a w końcu powiedział zdecydowanie:

— Godzę się na to. Chętnie ci damę ten krótki urlop, abyś od nas odpoczęła. Zastrzegam jednak, że nie może trwać dłużej niż tydzień.

— Doskonale! — odrzekła, śmiejąc się. — Najwyżej tydzień. Ale tydzień, przyznany mi w każdym roku. Czy godzisz się na to?

Nachmurzył się nieco. Teraz wydawało mu się, że dobija z nim targu.

— Tak — odpowiedział niechętnie. — Tydzień rocznie, to aż nadto czasu.

— Teraz inna jeszcze sprawa. Czemu się zamykasz? Dlaczego te drzwi są dzisiaj zamknięte?

— Cóż takiego — rzekła, nie obracając się ku niemu. — Dlaczego o to pytasz?

— To dziwne — rzucił poirytowanym głosem. — Pytasz mnie: „dlaczego?”, jakbyś nie rozumiała powodu, że dziwi mnie to. To ja powinienem zapytać: „dlaczego?”

Na chwilę zaległo w pokoju milczenie. Wiatr za szybami jeszcze ciągle roznosił liście. Sir Everard powstał. Był dziwnie wzburzony.

— Powiedz mi, dlaczego? — powtórzył uparcie.

W oczach Marcji pojawiły się błyski. Spojrzała mu w twarz i w końcu przerwała milczenie.

— Nie przypominam sobie tego, żebyś ich kiedy używał — odrzekła podniecona.

Templeton pobladł.

— To jeszcze nie powód — powiedział ostro. — Bardzo cię proszę, byś otworzyła je z powrotem.

— Obawiam się — rzekła — że to będzie niemożliwe. Zgubiłam gdzieś klucz.

Templeton wściekle zacisnął ręce. Przystanął koło niej i spojrzał jej w twarz.

— Zatem musisz go odszukać — rzucił stanowczo. — Czy słyszałaś, co mówię? Musisz go odszukać i to zaraz, natychmiast!

— Everardzie! — krzyknęła, zdumiona jego tonem. Nie mogła tego pojąć. Nigdy do tej pory nie krzyczał do niej.

Opanował się w końcu z wielkim wysiłkiem. Ale gdy zaczął do niej mówić, ton jego głosu był surowy.

— Wiem, czego żądam — powiedział oschle. — Zdaję sobie sprawę z każdego mego słowa. I jeszcze raz powtarzam, że drzwi do wieczora muszą zostać otwarte. Zrozumiałaś, co mówię?

— Tak — odrzekła.

Głos jej osłabł, był zrezygnowany.

Stał jeszcze chwilę, spoglądając jej w oczy, po czym obrócił się nagle i podążył ku drzwiom.

Odwiedziny u więźnia

Marcja po tygodniu wyjechała do Eryka, do miasteczka Mortin-worth. Na dworcu kolejowym oczekiwał ją Peter. Opowiedział jej pokrótce o przebiegu choroby nieszczęsnego Eryka i że lekarze niewiele dają nadziei. Jest to choroba kręgosłupa i — zdaniem niektórych — tylko gwałtowny jakiś wstrząs mógłby sprowadzić w niej wreszcie korzystną zmianę. Eryk na razie zamieszkał w hotelu pod opieką Dana Bellamy'ego, on zaś, Peter wyruszy niebawem do majątku w Kanadzie.

Droga do hotelu nie była daleka. Jesień była piękna, słoneczna i pogodna, w ogrodach jeszcze kwitły georginie i astry. Minęli kościółek i znaleźli się wreszcie w pobliżu gospody. Łączkę opodal ocieniał szeroko rozłożysty cis. — Siedzi pewnie w oknie — odezwał się Peter. — To jedyna jego radość; ostatnia przyjemność, której może jeszcze użyć.

Marcja przystanąła pod cisem.

— Drogi Peterze! — szepnęła. Zatrzymał się również.

— Może pójdzie pan naprzód i przygotuje go na to, że jestem już tutaj? Zaczekam tu chwilę i zaraz się zjawię.

— Dobrze — rzekł Peter, spoglądając na nią. Ale chwilę przed odejściem zawahał się jeszcze.

— On oczekuje już pani — wyjaśnił. — I wcale się nie zmienił, jest ciągle ten sam.

— Rozumiem — odrzekła, ukrywając zmieszanie. — Wolę jednak zostać i przyjść nieco później.

— Jak pani sobie życzy — odpowiedział.

Odszedł szybkim krokiem, zaś Marcja została pod cisem.

Zastanawiała się jeszcze chwilę. Skoro ocalała w wypadku, wyszła bez szwanku, to jakież ma prawo znęcać się nad Erykiem, każąc mu czekać i trwać w niepewności? Czy nie przyszła tu po to, by go podnieść na duchu i naprawić, co się da, póki to jeszcze możliwe? Więc po co tu stoi i trwoni czas? Postanowiła już iść.

W samym progu spotkała Bellamy'ego. Podbiegł do niej, witając ją uśmiechem, ona zaś życzliwie wyciągnęła doń rękę.

— A więc jest pani wreszcie! — zawołał przyjaźnie. — Bardzo mnie to cieszy, że spotykam tu panią.

— Bardzo pan uprzejmy — odrzekła zmieszana.

Powiódł ją żywo przez długi korytarz, ale przystanął w pewnej chwili. Wskazał znacząco na drzwi opodal.

— To jego pokój — powiedział — czy wiadomo pani, jak rzecz się przedstawia?

— O, tak — odrzekła. — Mówiłam przed chwilą z jego młodym kuzynem. Poszedł właśnie naprzód, by zawiadomić go o tym, że jestem już tutaj.

Spojrzał jej w twarz. Po chwili dodał:

— On, moim zdaniem, jeszcze nie jest stracony. Niech mówią, co chcą, ja jednak twierdzę, że ratunek jest możliwy. Muszę jednak powiedzieć — proszę mi wybaczyć, że ośmielam się wtrącać — że niejedno w tej sprawie zależy od pani.

Marcja milczała. Domyśliła się w duchu, co znaczą te słowa.

— Na razie czuwam nad nim i robię co mogę — dodał po chwili. — Wierzę, że i pani teraz zrobi, co do niej należy. Przecież łączy nas przyjaźń. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi od lat. I musimy teraz pomagać sobie wzajem. Takie jest przynajmniej moje przekonanie.

— Też tak sędzę — odrzekła życzliwie.

Patrzył jeszcze chwilę, potem nagle się obrócił, zapukał do drzwi i otworzył je.

— Przyszła już, Sir — zaanonsował na progu. — Proszę uprzejmie, niech pani wejdzie.

Weszła nieśmiało. Pokój hotelowy pławił się w słońcu.

Leżał na fotelu, podparty poduszkami. Nogi przykrywał mu ciepły koc. Z boku fotela stał mały stolik. Wśród masy drobiazgów, leżących na stole, przeważały książki i moc papierosów. Pokój był przestronny, niezwykle jasny. Okno otwierało się wprost na trawnik przed domem. Nie można było marzyć o miłszym pomieszczeniu, ale atmosfera pokoju była dla Marcji przygnębiająca.

— A więc przyszła pani wreszcie — zwrócił się do niej. — I jakże się przedstawiam w tym dziwnym więzieniu? Podeszła żywo, powodowana współczuciem, pochyliła się nad nim.

— Najdroższy! — szepnęła, obejmując go rękami. Wyciągnął ku niej dłoń i chwycił jej rękę. Nie mówił nic. Ale dostrzegła, że usta jego drgnęły.

— Najdroższy! — powtórzyła — najdroższy mój Eryku! Ucałowała go w czoło.

— Jakże to straszne dla ciebie! — wyjąkała współczująco. — Eryku mój drogi. Eryku najdroższy!

Przechylił się do niej, opanowując tymczasem wzruszenie. Wreszcie się przemógł. Wysunął się z uścisku jej ramion.

— Sprawiałaś mi radość — ozwał się głosem, który poruszył jej serce. — Nie mogę ci opisać, jak twój widok mnie cieszy. Ale czy to ty jesteś, Marcjo, naprawdę ty? Czy nic się nie zmieniło u ciebie?

— Nic, najdroższy... jestem zawsze tą samą. I pocieszam się myślą, że czekasz na mnie, po tak długim niewidzeniu. Ale może się mylę. Trudno, mój drogi. Nie mogłam już wytrzymać tej strasznej rozłąki.

— Dzięki ci za to — powiedział szczerze. — Zajmij teraz miejsce i przybliź się nieco. Nie wyglądasz jak dawniej. Jesteś blada, znękana, zmizerniałaś troszeczkę.

— Napisałam ci już o tym. Miałam przykrość z Dennisem.

— Tak, rozumiem. To doprawdy było straszne, co ostatnio przeżyłaś.

Spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się czule.

— Cóż jest jednak z tobą? — spytała. — Od strasznej tej nocy nie miałam przez ciebie ani chwili spokoju.

Pogłaskał jej rękę.

— Powinnaś to wiedzieć, że przywykłem do złego. Bardzo mi jest przykro, że zakłóciłem ci spokój.

— Myślałam o tobie we śnie i na jawie. To straszne, co zrobiłam, zostawiając cię samego. Jeszcze dziś nie rozumiem, jak mogłam tak zrobić.

— Życzyłem sobie tego — odrzekł spokojnie. — Ale jak się ma Dennis? Czy czuje się lepiej?

Podsunał jej otwartą papierośnicę. Aby nie sprawiać mu przykrości, wyciągnęła papierosa. Ale ręce jej drżały; nie mogła zapalić zapalki.

— Dziękuję — odrzekła — ma się dobrze. Teraz już szybko zdrowieje.

— A ty jesteś wolna? — zapytał zniechęca.

Nie pojęła od razu pytania, ale wyczuła w nim gorycz.

— Gdybym nie miała tylu przeszkód — odrzekła spokojnie — byłabym na pewno zjawiała się wcześniej.

— Ach nie, moja droga. Gdy zastanawiam się nad tym, dochodzę do wniosku, że tylko anioł niebieski byłby w stanie to zrobić.

— Nie mów tak, Eryku — spróbowała zaprzeczyć. — To co mówisz boli.

— Nie powinno boleć — odpowiedział. — Nie mam zamiaru wyrządzić ci krzywdy. I nigdy, póki żyję, nie zrobię tego.

Wzburzenie jej minęło, chłód jednak został. Zdawało się, że nagle jakaś przepaść odgradziła ich od siebie.

Ale Eryk był spokojny, albo może udawał? — przemknęło jej przez głowę. Nie rozumiała jego dziwnych aluzji.

— Bardzo to piękne, co zrobiłaś dziś dla mnie — powiedział. — Nie będę ci powtarzał, jak umiem to ocenić. Ale chodzi mi o jedno: czy to wszystko jest bezpieczne? Czy nie ponosisz ryzyka, poświęcając się dla mnie?

— Żadnego — odrzekła. — Zgoła żadnego.

— Nie powinnaś się narażać — ciągnął gorliwie. — Gdybym wiedział, że cokolwiek zagraża twemu szczęściu, to bądź tego pewna, że zabroniłbym ci tego; nie zgodziłbym się, by spotkała cię krzywda.

— Nic mi nie zagraża — odparła spokojnie. — Umówiłam się z mężem, że co roku ma mi dać urlop na tydzień.

Korzystając z tego czasu, zaszywam się gdzie mogę, nie mówiąc, dokąd wyjeżdżam. To również mi przyznano. I nikt wtedy nie wie, gdzie jestem.

— Nikt? — zapytał — nie wierzę swym uszom.

— Nikt — odrzekła dobitnie i śmiało. — Wiesz przecież o tym, że od dawna już idę własną drogą. Cóż więc dziwnego, że i dla wypoczynku odgradzam się od ludzi i szukam odosobnienia. To zupełnie naturalne przy trybie mego życia.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— I tak się to stało, że przyjechałaś tu do mnie, na cały tydzień? Zaśmiała się głośno, lecz dziwnie nieszczerze.

— Przypuszczasz, że za długo? — spytała złośliwie. Zaciągnął się dymem i nagle zakaszła.

— Chodzi tylko o to, czy ci nic nie zagraża. Nie ścierpiałbym tego, gdyby ktoś cię tu śledził. Nie wyobrażam sobie nawet, jakbym wtedy postąpił.

Znowu zakaszła, zasłaniając usta ręką, zaś Marcja wyczuła jego nieszczerłość, była zupełnie pewna, że ukrywa coś przed nią. Przemknęło jej przez głowę, że zapewne swój ból; długotrwałe, gnębiące go uczucie tęsknoty. Dotknęło ją to żywo. Może żywiej niż wszystko, co przeżyła ostatnio.

— Dałeś mi dziś odczuć, jak mało mnie cenisz. Wzgardziłeś mną niemal. Ale musiałam tu przyjechać. Nie mogłam cię zostawić tak długo samego. Rozumiesz mnie, Eryku? Musiałam to zrobić, musiałam po prostu.

Ujął jej rękę i trzymał ją w dłoni, nie patrząc jej w twarz.

— To podobne do ciebie — odrzekł z goryczą. — Ale wszystko w międzyczasie zmieniło się. Nie jestem już dzisiaj taki sam, jak dawniej. Kim ja dziś jestem, co się ze mnie stało? Kłoda po prostu, kawał drewna rzucony na śmietnik. Nie posiadam już nic, absolutnie nic, co mógłbym ci ofiarować. Ta gnębiąca mnie świadomość nie przyczynia się chyba do dobrego nastroju. Rozgorycza mnie tylko i odstręcza od życia.

— Eryku — krzyknęła — czy zdajesz sobie sprawę, jak ranisz mi serce? Nie chcę o tym wiedzieć. Nie mogę tego słuchać. Czy nie rozumiesz, że jeśli przybyłam do ciebie, to dlatego jedynie, iż sądziłam, że mnie kochasz?

Pogardzasz mną zatem, nie kochasz mnie już.

— Bóg tylko wie, co czuję. Nie było prawie dnia, bym nie myślał o tobie. Ale szkoda o tym mówić. Przecież i tak już teraz nie uwierzysz moim słowom.

— Przestań — rozkazała. — Nie pozwalam ci rozważać tych głupich urojeń. Jedno jest pewne, że taka przyjaźń jak nasza, nie może się zmienić. Jeszcze dojdzie do tego, że prędzej czy później, zupełnie jawnie odwiedzę cię w domu. Zobaczysz Eryku!

— Marcjo! — zawołał, spoglądając jej w oczy.

— Zobaczysz — powtórzyła. — Wyobrażam sobie teraz, jaką ulgę mi to sprawi, gdy odsłonię prawdę. Ale nie o to mi chodzi. Jeśli zrobię to kiedyś, to jedynie w tym celu, aby pokazać wobec wszystkich, jak wysoko sobie cenię przyjaźń. Zapłaciłeś za nią szczerze, mój drogi Eryku. Poświęciłeś prawie życie, by być ze mną. Spojrzała mu w twarz i nagle ze wzruszenia zalała się łzami.

— Marcjo! — zawołał — uspokój się, dziecko. Nie jestem tego wart, byś wzruszała się dla mnie. I nie chciałem twych łez. Czy obwiniasz mnie za to? Nie uznajesz tego sama? Czy nie potrafisz zrozumieć, że mówiąc ci to dzisiaj, pragnąłem tylko dobra i spokoju dla ciebie?

Ujął jej dłoń i pociągnął ją bliżej. Nie stawiała oporu. Osunęła się nagle na oba kolana i ukrywając twarz, oparła się głową na jego ramieniu. Poglądził ją dłonią i przygarnął do piersi.

— Jesteś zmęczona — przemówił — nie wytrzymują twoje nerwy. Zauważyłem to od razu, gdy stanęłaś na progu. Nie płacz, moje dziecko, to nic nie pomoże. Nie możemy już zmienić losu. Ale może to i lepiej ze względu na ciebie. Nie przypuszczasz? — dodał, gdy skrzywiła się nagle. — Ale tak mi się zdaje; mam takie wrażenie, że nie możemy się spotykać jawnie i otwarcie. Musimy to zachować w głębokiej tajemnicy. Nie mogę przyjmować ofiar od ciebie; zwłaszcza zaś teraz, gdy nic już nie mogę ofiarować ci w zamian. I nie zmienię już teraz zdania. Nikt mnie nie przekona. Wolałbym umrzeć, niż zmienić decyzję.

— To nic by nie pomogło — wyjąkała przez łzy.

— Ale zapobiegłoby złu — dorzucił z uśmiechem. Nagle wypogodniał, gdy to powiedział. — A teraz już nie płacz, nie masz powodu. I uważaj na papierosa, wypali dziurę w dywanie Dana. To byłoby fatalne. Ten dywan nie jest winien tym wszystkim perypetiom.

Zgasła papierosa i nagle rozpogodziła twarz.

— Nie mogę żartować — odrzekła półszepem. — Zanadto mi smutno; boli mnie serce.

— Nie powinno ci być smutno — uśmiechał się dalej. — Masz

piękne zalety, masz duszę i serce. Stworzona jesteś na to, by uciszać i osładzać życie mężczyźnie. Ale musisz zrozumieć, że jeśli chodzi

o mnie, masz zupełną wolność i swobodę w działaniu. Już dawno ci mówiłem, że nic cię nie wiąże i nic nie przynagla. Jak długo to rozumiesz

i dopóki wiesz, że nic nie zagraża naszym cichym spotkaniom — urwał znenacka, tak jak przedtem, wreszcie zaś dokończył: — to jedyny mój warunek, jedyne zastrzeżenie.

— Więc nie opierasz się temu? Pragnąłbyś doprawdy, bym odwiedzała cię czasem?

Zawahał się dziwnie. Marcji się wydało, że toczy ze sobą walkę, by nie powiedzieć kłamstwa. Wreszcie przemówił, ale ton jego głosu był dziwnie zmieniony.

— Dziwne pytanie — odrzekł półszepem. — To zupełnie to samo, jakbyś chciała się dowiedzieć, czy pragnę codziennie jadła i napoju.

Chwyciła go za rękę.

— Przyjmuję twój warunek — rzekła stanowczo. — I będę przychodzić, dopóki mi pozwolisz.

— Wybacz mi Boże! — odezwał się Eryk.

— Wybacz nam obojgu! — szepnęła Marcja.

Pominał to westchnienie bez żadnej uwagi. Nie zapytał jej nawet, dlaczego westchnęła.

Trwali tak chwilę w pełnym milczeniu. Potem ją opowiadać o innych sprawach: o Danie Bellamy, o rozbitym aucie, o pobycie w szpitalu, o różnych swych wrażeniach i ostatnich przeżyciach. Przeważnie to wszystko słyszała już od Petera. Nie ubolewał nad sobą, ani jedna skarga nie padła z jego ust. Był dziwnie wytrwały i uległy w cierpieniu, zmusił ją tym nawet do szczerzego podziwu.

— I nic się nie da zrobić? — ozwała się wreszcie. Spojrzał jej w oczy.

— Chyba cud coś może zmienić — odrzekł z apatią. — Lekarze są bezradni, zrobili co mogli. Ale cuda są kapryśne. Nie można przewidzieć, kiedy się pojawiają. Czy za tydzień, czy za dwa, czy za rok, czy... nigdy. Osobiście się skłaniam do ostatniej możliwości.

— Nie można tego wiedzieć — szepnęła współczująco.

— Nie można — przyznał, nie spuszczaając z niej oka. — Dziś jest więzienie, jutro lub pojutrze może być wolność. Pragnę tej wolności,

tęskno mi za nią. Chciałbym jeszcze kiedyś móc z niej skorzystać. Pamiętasz, Marcjo, jak dobrze z nią było? A wolność jest zdradliwa. Nie zawsze się zdarza, że spełnia to wszystko, co zdaje się przyrzekać.

— Inna jednak rzecz, że więzienie jest bezpieczne, chroni nas od złego, nie podsuwa nam pokus; cóż się użalać? Więzienie nie jest złe. A ta celka więzienna jest wcale pogodna. Co o niej myślisz? Podoba ci się?

W tej chwili Peter pojawił się w oknie. Marcja pomyślała, że brak tylko dzieci, gdyby były tu teraz, wróciłyby pogoda i wszystko, czym niedawno radowali się w Pentreith. Odczuła, że Eryk zapewne pomyślał o tym samym.

Konkluzje

— A więc żony pańskiej nie ma? — zaśmiał się Maurice Baronford, przyjaciel Templetona. — Wyjechała na wczasy. To dziwne — dodał.

— Tak późną porą i na tydzień zaledwie.

Oparł się na krzesło. Cyniczny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Prawą ręką bawił się bezwiednie trzonem kieliszka. Zmrużył oczy i patrzył przed siebie.

Templeton rozłupywał skorupę orzecha.

— Ogromnie ją wyczerpała choroba syna — odrzekł po chwili.

— Pan słyszał pewnie o tym. Syn mój przechodził ciężką chorobę. Operowano go nawet. Właśnie w tym czasie nie było mnie w domu, przebywałem w podróży; cały więc ciężar spadł na jej barki. Czuwała nad nim pilnie przez całe wakacje. Takie rzeczy wycieńczają. Ostatecznie i sama zapadła na zdrowiu.

— Idealna matka! — ozwał się Baronford. Obserwował bezmyślnie kolor wina.

— Zawsze nią była — wtrącił Everard. — Dzieci przed rokiem przebyły odrę. Wtedy również czuwała, poświęcając się im całkiem. Wysłałem ją potem z dziećmi do Pentreith. Jest to miły zakątek w głębi Kornwalii.

Baronford przytaknął.

— Słyszałem coś o tym. Od Wirginii, zdaje się, że od Wirginii Freeman. Pan zna ją zapewne. Jeden z jej wujów ma średniowieczny zamek w niedalekim sąsiedztwie. Gdy mówiła mi o tym, była dziwnie

podniecona. Nie wiedziałem dlaczego. Ale ona taka zawsze; pan zna Wirginię.

Everard zaśmiał się.

— To jedna z tych kobiet, które stale mają powód do zrzędzenia. To już taka natura.

— Brak równowagi — dorzucił Baronford. Urwał znienacka, woląc nie kończyć.

W tej chwili Everard spojrział mu w twarz.

— No tak — mruknął. — Z kobietami jest zawsze podobna historia.

— Mają dziwne kaprysy — ciągnął Baronford. — Ale gdy dojdą do trzydziestki, to i kaprysy ostatecznie przestaną mieć urok.

— Nie bardzo panu śpieszno — ozwał się Everard. Baronford ponownie zaśmiał się dziwnie.

— Nie opłaca się śpieszyć — odrzekł cynicznie. — Wszystko ma swój czas, na wszystko przyjdzie pora. To jedno z moich haseł, motto mego życia. Gdyby zastanowił się pan nad tym, to mógłby pan i dla siebie wyciągnąć wnioski.

Ręczę za to.

— Możliwe — rzekł Everard. — Ale po co o tym myśleć? Szkoda mi czasu.

— O nie, panie Templeton, nie mów pan tego. Wszystko jest warte głębokiego przemyślenia. Wyznam panu szczerze, że nie wierzę w kobiety zameżne przedwcześnie. To istoty zawsze zagadkowo przewrotne.

— Filozofia, panie Baronford. Mam podziw dla pana. Ale i Nietzsche nie zmienił porządku wypadków.

Baronford, strapiiony, uniósł brwi.

— Znam się na ludziach — odrzekł po chwili. — Zwłaszcza na kobietach. Jeszcze raz panu mówię, że nie warto im wierzyć. Jeśli ożenię się kiedyś, to tylko z interesu. To zabezpieczy mnie przynajmniej od późniejszych rozczarowań.

— Jeśli tylko o to chodzi, to zgadzam się z panem. Ale pozwól pan brzoskwinię. To poprawi panu humor.

— Dziękuję — odrzekł. — Nie lubię brzoskwiń. To jedno z tych owoców, które nęcą na chwilę. Jeśli nie pożre się ich zaraz to nie ma w nich smaku.

— Więc woli pan jabłka? — zaśmiał się Everard. — Pod tym względem zgadzam się z panem, ale jabłka w wypadku Wirginii?

— To zależy — rzekł Baronford. — Są gatunki brzoskwiń, które hoduje się również w ogrodach małżeńskich.

— Przyznaje to pan zatem?

— Częściowo zaledwie i z pewnym zastrzeżeniem. Zdaje mi się jednak, że Wirginia Freeman nie zalicza się do nich. To więcej niż pewne.

— Możliwe, panie Baronford, że pan jej nie kocha. Jeśli nie kocha się kobiety, to wszystko się widzi innymi oczyma. To stare jak świat. Nawet wróble na dachu ćwierkają o tym.

Baronford nerwowo mrugnął oczyma. Po chwili odrzekł:

— Jedną z moich zalet jest niezwykła zdolność panowania nad sobą. Uniknąłem na szczęście uczucia miłości. Inna jednak rzecz, że mam na ten temat osobliwą teorię. Moim bowiem zdaniem tylko rodzaj niewieści jest zdolny do kochania. Albo powiedzmy nawet raczej, musi się kochać. Ale normalny mężczyzna — o kretynach nie mówię — nie doznaje właściwie tak głupiego uczucia. Jest mu zgoła niepotrzebne i całkiem dobrze obchodzi się bez niego. Everard ponownie rozłupał orzech. Napił się wina i zachował na razie oględne milczenie.

— Przyzna mi pan rację? — spytał go Baronford. Everard się zaśmiał.

— Musiałbym być młodszy — odrzekł z przekąsem. — Możliwe, że wówczas myślałbym podobnie. Ale dziś już za późno, człowiek w moim wieku ma inne poglądy.

Baronford nerwowo potrząsnął głową.

— Nie wierzę — rzucił. — Pan ani teraz ani dawniej nie myślałby podobnie. Ale cóż stąd wynika? To wcale nie podważa systemu mej teorii. Każda reguła ma swe wyjątki. Bardzo możliwe, że pan jest właśnie tym szczęśliwym wyjątkiem. Ale wątpię, panie Templeton, bardzo wątpię. Nie wszystkim kobietom warto ufać; to mi pan przyzna. Są bowiem takie, które lekkomyślnie się bawią i ani na myśl im nie przyjdzie, że ich mężowie dla nich ciężko pracują. Młoda kobieta ma zawsze pociąg do dzikich wykroczeń. Zaryzykuję nawet zdanie, że rodzi się po prostu z piętnem grzesznicy.

Spojrzał przed siebie i znowu się zaśmiał cynicznie.

— Nie podzielam tego zdania — ozwał się Everard. — Moja żona była młoda, miała lat osiemnaście, gdy wyszła za mnie za mąż...

— Ona i dziś jest młoda — wtrącił Baronford. — Młoda, dorodna, niezwykle interesująca.

— I wzorowa matka — dorzucił Everard. Baronford podniósł kielich do ust.

— Cóż się jednak stanie, gdy życie lub przypadek uniemożliwią jej w końcu uprawianie tych cnót. Przecież okres wakacji nie potrwa bez końca. Czym się więc zajmie w jesieni i w zimie? Każda kobieta ma wolne chwile. W oczach Everarda pojawiły się błyski. Nie wiedział, co odrzec. Gość się wypowiadał na temat osobisty, nie wypadało mu za to okazać wzburzenia. Uśmiechnął się, lecz nie zdołał ukryć niechęci.

— Spędza ten czas na zabawach i rozrywkach. To jej się słusznie należy. Moja żona, jak pan wie, ma wielu przyjaciół.

— Zna pan tych przyjaciół? — zapytał go Baronford. Sir Everard ponownie się zaśmiał.

— Nie sposób mi powiedzieć, czy znam ich wszystkich. Ale co to ma do rzeczy? Napijmy się raczej. To wino jest wyborne.

Baronford odmówił.

— O to właśnie chodzi — rzucił po chwili. — Pan nie zna ich wszystkich. To już wystarcza, taka rzecz się zawsze od tego zaczyna. Mężowie nie wiedzą, żony się nudzą. Pan nie może w tym wypadku być tak wyrozumiały. Nie może w siebie wmawiać, że ufa się żonie. Diabeł nie śpi. Na dziesięć kobiet dziewięć na pewno ulegnie pokusie. A skąd pan może wiedzieć, że to jest ta dziesiąta? Jest pan tego pewny? Kobiety mają spryt. Umieją się ukrywać i zupełnie nieźle kamuflować.

— Czy sądzi pan zatem, że kobieta tylko żyje myślą o występku? To byłoby straszne. Nie można ich odsądzać od czci i wiary. Ręczę panu za to, że większość naszych kobiet, nawet za cenę życia, nie zboczyłaby z drogi prawości i cnoty.

Baronford się zaśmiał.

— Znam te kobiety. Okazy bez wartości; stare i brzydkie. Równouprawienie płci — hasło naszych czasów — załatwiło się na zawsze z cnotą i prawością. Dziś się to nazywa niewinną zabawą. Ale kobiety o tym wiedzą. I same się dziś śmieją z dawnych zasad.

Everard się już znudził.

— Nie powinien pan na razie rozstrząsać tych spraw — odezwał się

wreszcie. — Pan nie ma doświadczenia. Zachowajmy to na później. Może przyjdzie kiedyś czas, gdy pan się ożeni. Wtedy łatwiej i pełniej rozpatrzmy tę sprawę.

— To nie stanie się tak prędko — odpalił Baronford.

— Mądrzej by pan zrobił, pozostając samotny. Taki człowiek jak pan, nie powinien się żenić. Kobiecie trzeba ufać, jeśli chce się mieć szczęście.

Podniósł się z krzesła i zadzwonił na lokaja. Kazał podać kawę.

— Pan mówi, jak ktoś, kto ma doświadczenie — odpowiedział Baronford.

Na twarzy Everarda ponownie się zjawiał wyraz niechęci. Po chwili rzucił:

— Powinienem je mieć po tak długim pożyciu. Już od piętnastu lat żyję w małżeństwie.

— Dobrze — rzekł Baronford. — Ale jak pan osiąga swoją pewność? To jest zagadka. Powiada pan zatem, że od piętnastu lat żyje ze swą żoną. Powiada pan również, że jako matka jest idealna i że wolne swe chwile spędza na zabawach. Ma wielu przyjaciół. Pan ich jednak nie zna. Przychodzi i odchodzi, kiedy jej się chce. W tej chwili, na przykład, pan nie wie, gdzie się znajduje.

Urwał na chwilę.

— Czy myślę się może? — zapytał niespodziewanie.

Everard się zmieszał. Wykonał jakiś gest, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Ale zaraz się ocknął i odzyskał z powrotem swój dawny spokój.

— Pan bierze mnie w krzyżowy ogień — zaśmiał się zimno. — Jestem jednak sędzią, mógłbym go odeprzeć, gdyby zależało mi na tym.

— Nie chcę pana męczyć — powiedział Baronford. Twarz mu zajaśniała wyrazem tryumfu. — Ale pozwól pan tylko, że wyciągnę konkluzje. Otóż nie ma pan pojęcia, gdzie żona się znajduje. Nie wie pan o tym. Ale czy wie pan przynajmniej, kiedy ją pan widział ostatnio przed jej wyjazdem?

Everard zeszytniał. Uśmiech zamarł mu na twarzy.

— Dajmy pokój, panie Baronford — odezwał się cierpko. — Zaczynam już myśleć, że pan stroi sobie żarty.

— Żarty? — rzekł Baronford, patrząc mu w oczy. — Chyba pan to

tak traktuje. Dla mnie ta sprawa jest nazbyt poważna. Jeśli nie odpowie mi pan zatem — co niezmiernie mnie dziwi — to zmuszony jestem sam wyciągnąć stąd wnioski. A więc nie widział pan swej żony od dłuższego okresu. Jeszcze jedna kwestia. Na czym pan opiera swe wielkie zaufanie? Na miłości, szacunku, wzajemnym zrozumieniu? Czy na niczym zupełnie? Na wzajemnym ogłupieniu i na grze w ciuciubabkę?

— Panu sprawia to radość? — rzekł Everard oschle.

— Pan się myli, panie Templeton. Ja drżę z przerażenia. Zdaje mi się bowiem, że wystarczy ruch, jedno dotknięcie, a gmach pańskich wierzeń runąłby od razu i spoczął wśród gruzów. Chciałbym tylko wiedzieć, co stałoby się potem.

— Wiem, że pan by chciał — rzekł szorstko Everard. — Pan ma pociąg do niszczenia. Pan każdą niemal rzecz chciałby zdławić i zdeptać. Znam takich ludzi. I żałuję nawet teraz, że tak szczerze i poufnie zwierzyłem się panu. Baronford się zaśmiał.

— Dłaczego? — zapytał, czując się dotknięty. — Czy dlatego jedynie, że nie lubi pan pytań? Pan ma inne pojęcia — dorzucił niechętnie. — Pan pragnie mieć spokój. Niech kosztuje, co chce, byleby miał pan spokój. Może to i lepsze. Możliwe, że mądrzejsze. Aleja mam niestety odmienne poglądy.

Obrócił się nagle, gdyż drzwi się otwały i wszedł się lokaj z kawą na tacy. Everard odetchnął. Wilson podszedł do niego.

— Przed chwilą powróciła lady z podróży — zaanonsował poufnie. — Kazała sobie przynieść obiad do pokoju.

— Dziękuję — rzekł Everard.

— Powiedziała, że nie chce tu wejść, gdy pan ma gościa — dorzucił Wilson.

— Dobrze, Wilsonie.

Na ustach Baronforda pojawił się uśmiech.

— Idź ją pan przywitać! — odezwał się nagle. — Nie chcę wam przeszkadzać. Zaraz się wynoszę.

— Ach, nie Baronfordzie — sprzeciwił się Templeton. — Pan nie przeszkadza nam wcale. Pan by nie mógł nam nawet przeszkadzać w czymkolwiek. Zapal pan cygaro.

Zamknięte wrota

Późnym wieczorem Everard wszedł do pokoju żony. Tym razem drzwi zastał otwarte.

Marcja nie spała. Siedziała przed kominkiem. Na kolanach jej spoczywał mały notatnik. Zamknęła go szybko, gdy zjawił się Everard.

— To ty, Everardzie? — ozwała się żywo. — Wilson ci zapewne zaanonsował mój powrót? Było już za późno, by się przebrać i wejść. Myślałam poza tym, że ty i Baronford niekoniecznie zechcecie, by wam popsuć pogawędkę.

Mówiąc to uśmiechnęła się lekko. Pochylił się ku niej i pocałował ją w czoło.

— Dobrze zrobiłaś — odrzekł po chwili. — Baronford to nudziarz, nie miałabyś pociechy z tej rozmowy we trójkę. Ujęła jego rękę. Płomień kominka oświetlił jej twarz.

— Jakże jest z tobą? — uśmiechnęła się znowu. — Masz coś nowego? Czytałam w gazetach, że wybrnąłeś ostatecznie z swej sprawy w Cardiff. A jakże z posadą? Czy rzecz załatwiona?

— Teoretycznie załatwiona — odrzekł po chwili. — Ale nie chcę cię nudzić nadmiarem tych spraw. Powiedz teraz raczej czy mile spędziłaś swój tydzień odpoczynku?

Spojrzała mu w oczy.

— Wcale mnie nie nudzisz, mój drogi Everardzie. Opowiedz mi o wszystkim. Bardzo nawet pragnę dowiedzieć się czegoś.

— Nowości prawie nie mam — odpowiedział. — Jedno jest pewne, że rzecz załatwiona. Spodziewam się, że mój awans i tobie doda

splendoru. Miło jest zbierać owoce swej pracy. Ale człowiek w swych ambicjach jest zawsze nienasycony. To już ludzka natura. Pracowałem, co prawda, ale praca ta czasami była ciężką udręką; zbyt wiele wymagała. Nie wiem czy i ty to zauważyłaś.

— Nie wiem o czym myślisz — odrzekła spokojnie.

— Nie wiesz? — zapytał. — A jednak był czas, gdy tak wiele miałaś zajęć, że dziwiłem się po prostu, jak mało cię widzę.

— W czasie wojny?

— Tak, wojny. Pozwoliłem ci pracować, gdyż z góry wiedziałem, że wszelki mój opór byłby zgoła daremny. Był to przecież czas, który wymagał od ludzi ofiar i poświęceń. Ale czas ten już przeszedł. Czy sądzisz, Marcjo, że on nic mnie nie kosztował? Kosztował mnie więcej niż może przypuszczasz.

— Dlaczego o tym mówisz? — zdumiała się Marcja.

— Ponieważ nie byłem tego pewny, czy byłaś jeszcze Marcją, powróciwszy do domu. Nie mówiłem ci o tym. Ale nie wyobrażasz sobie nawet, jak często w nocy dręczyła mnie ta myśl. Powrócił ktoś zupełnie inny.

— Everardzie! — krzyknęła. Chwyciła się oburącz poręczy krzesła. W oczach jej błysnął gniew. — Dlaczego mi to mówisz? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że wyrządzasz mi krzywdę?

— A czy pamiętasz, Marcjo, jak kilka dni temu zamknęłaś te drzwi, jakby nie życząc sobie, abym wszedł do pokoju? Ja to pamiętam.

Wzdrygnęła się nagle.

— Więc o to ci chodzi? — spytała pobladła.

— Wyprosiłem sobie to — odparł spokojnie. — Przyznaję się ze skruchą, że byłem brutalny. Ale spowodowałaś to ty, dałaś mi odczuć, że nie zależy ci na mnie. Przepraszam cię teraz, że uniosłem się wtedy. Ale widzisz, moja droga: bez względu na mą pracę, bez względu na wszystko, co poświęcam dla niej, czuję się w swym prawie i uważam się nadal za twego małżonka. Myślałaś zapewne, że zapomniałem o tym.

Urwał, lecz Marcja nie dała odpowiedzi. Siedziała na krześle jeszcze ciągle kurczowo trzymając się poręczy. Drżała. Everard ciągnął:

— Przez cały niemal tydzień zaprzętało mi to myśli. Był to najdłuższy tydzień, który przeżyłem w moim życiu, ale każdy jego dzień,

każda niemal godzina utwierdzała mnie bardziej w tym przekonaniu. Możliwe ostatecznie, że spotkała mnie kara. Nie chcę tu twierdzić, że byłem bez winy. Ale nie mogę tego znieść, aby kobieta, z którą żyję, okazywała mi pogardę, aby odgradzała się ode mnie i była niedostępna. Jeśli mnie nie kochasz, Marcjo, jeśli odczuwasz niechęć i jesteś tego pewna, to rozejdźmy się raczej, zamiast wzajem się męczyć. W takich sprawach jak małżeństwo nie istnieją półśrodki. Nie można być żoną jedynie dla ludzi. Jeśli miłość twa wygasła, to powiedz to otwarcie.

— Kocham cię, jak przedtem — odrzekła skruszona. — Ale zawiniłeś sam, że nasz stosunek oziębi. Zabrakło ci serca, zabrakło ci ciepła.

— Przyznaję się do tego — rzekł szczerze. — Nie starałem się o ciebie, za mało miałem czasu, by okazać ci, co czuję. Nie zdawałem sobie sprawy z wagi tej rzeczy. Nie myślałem nawet o tym, że mogę cię stracić. Przyznaję się do tego i ganię się za to, nie byłem, jak widzisz, dostatecznie ostrożny.

Marcja mechanicznie potrząsnęła głową.

— Czy wyrządziłem ci krzywdę? — zapytał po chwili.

— Przywykłam już do krzywd — odrzekła obojętnie. Spojrzał jej w oczy.

— Czy nie jesteś mi przyjazna? Czy mogłabyś powiedzieć, że nie czujesz już nic do mnie?

Zawahała się nagle.

— Nie jestem tego pewna, czy zaradzę temu.

— Posłuchaj! — zawołał. — Nie możemy tej sprawy przeciągać w nieskończoność. Musimy szukać wyjścia, jakiejś drogi powrotnej. Powiedziałaś przed chwilą, że twa miłość nie wygasła. Ja również, Marcjo, kocham cię jeszcze. Uratujemy więc miłość. Otwórzmy wrota do tego, co minęło. Wrota do przeszłości. I czujmy się znowu jak niegdyś, przed laty. Rozbudźmy to słońce, w którym urosły nasze dusze!

Zacisnął pięści i spojrzał jej w oczy. Jego twarz była bardzo wzruszona.

Marcja pobladła.

— Te wrota są zamknięte — rzekła po chwili. — Już dawno je zapało nasze życie. Nie wiedziałeś nawet o tym, za mało miałeś czasu, za dużo zajęć. Jediną naszą drogą jest droga przed siebie.

Everard się wzdrygnął.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Czy powiadasz mi zatem, że mam cię utracić?

Głos mu zachrypł. Uwiązał mu w gardle, gdy to mówił.

— Nie — odrzekła, spoglądając mu w twarz. — Należę do ciebie. Ale to co minęło, nie wróci już do nas. Nie myślmy już o tym, co było w przeszłości. Zaczynamy się starzeć. Najlepszy nasz wiek przeminął **bez** wrażeń.

— Jeszcze nie jest za późno — błagał z rozpaczą.

— Za późno, Everardzie — odrzekła spokojnie. — Żyliśmy jak obcy, nic nas nie wiązało. Ani jedno wspomnienie nie zostało na starość.

Everard pobladł.

— Marcjo! — zawołał — czy mówisz serio?

— Mówię tylko prawdę — odrzekła surowo. — Czy nie ty **to** sprawiłeś, że odosobnieni i oddaleni kroczyliśmy przez życie? Każde dla siebie? Ale nie czynię ci wyrzutów, nie chcę cię gnębić. Przyjmijmy raczej, że tak chciało przeznaczenie. Przywykliśmy do tego. Nie potrafiłabym już dzisiaj iść razem z tobą. Zanadto się zżyłam z samotnią mych dróg. Jedynym naszym wyjściem jest droga ku przyszłości. Umilmy ją sobie, jeśli starczy nam sił. Zacznijmy Everardzie! Zacznijmy na nowo!...

Pochylił się nad nią i ujął jej dłoń. W pokoju zaległo głębokie milczenie.

Zwierzenia

— Co za wstrętna piła! — odezwała się Goldie, odrzucając papieros.

— Nie spotkałam jeszcze dotąd tak nudnego człowieka. Powinnam z nim skończyć; powiedzieć natrętowi, aby poszedł do diabła.

Marcja zaśmiała się.

— I czemuż tak nie robisz?

Spojrzała na córkę z wyrazem zdumienia. Uśmiech jeszcze ciągle okraszał jej twarz; ale nie okazała ochoty udzielać jej porad. Goldie, jej zdaniem, była już dojrzała. Miała wolność wyboru i wolność przekonań. Pięcioletnie doświadczenie — od tyłu bowiem lat stykała się z ludźmi

— powinno w niej było wyrobić samodzielność. Tymczasem Goldie jeszcze raz spojrzała na list. Pomięła go w rękach i rzuciła na stół. Potem znowu chwyciła odrzucony papieros. Jakiś wyraz znudzenia wyzierał jej z oczu.

Po chwili rzekła:

— Najlepiej bym zrobiła, wycofując się z życia. Zaczyna mnie nudzić. Ale jak pięknie i uroczo wyglądasz dziś, mamo! Zamieniłabym się z tobą, gdyby to było możliwe.

Marcja ponownie roześmiała się.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że musiałabyś być wówczas o dwadzieścia lat starsza.

Goldie skrzywiła się brzydko.

— Czy to takie straszne? — odrzekła, spoglądając jej w oczy.

— Mam dziwne przeczucie, że w tym roku wyjdę za mąż. Tylko nie wiem za kogo. To okropne, doprawdy, tak trwać w niepewności.

— Będąc w twoim wieku, byłam już od pięciu lat zameżna — powiedziała Marcja.

Goldie śmiała się.

— Wiem o tym, mamó. I uważam to istotnie za wielkie poświęcenie. Ale żałowałaś tego pewno. Nie mogę w to uwierzyć, że się czułaś szczęśliwa.

— Przeciwnie, moja droga. Ani przez myśl mi nie przeszło, abym miała żałować.

Goldie ze zdumienia rozwarła oczy. Przechyliła się nieco i spojrzała jej w twarz.

— Naprawdę, mamó? — spytała po chwili. — Nie, to niemożliwe, żartujesz, mamuchno. Przypomnij sobie tylko. Czy tatuś był zawsze miły i życzliwy? — potrząsnęła ręką. — Chyba nie — dodała. — Nie odpowiadaj mi zresztą na to wścibskie pytanie. Zwalniam cię z tego. Wiem tylko tyle, że wiele miał cnót i nieskazitelny charakter. Ale przeraża mnie po prostu swym strasznym zacofaniem. Człowiek bez polotu, bez krzty inicjatywy. Niedołęga po prostu, jak powiedziałby nasz rektor.

Zerwała się żywo i podbiegła ku matce.

— A więc jeszcze byłaś dziewczynką, gdy wyszłaś za niego? O, droga moja mamó! Musiałaś coś przeżyć.

Przystanąła koło matki i spojrzała jej w twarz.

— Jak niewinna owieczka — dodała po chwili. Pochyliła się nagle, całując ją w czoło.

Na twarzy Marcji błąkał się uśmiech.

— Zakochałam się w ojcu — przyznała się szczerze.

— Biedna moja matuś! — powiedziała Goldie. — To był wykręt zapewne, zwyczajna wymówka. Bardzo mi jest żal, że nie było mnie tam wtedy. Przerwałabym to wszystko; nie dopuściłabym do tego, byś zrobiła ten krok.

Marcja tym razem spoważniała.

— Dlaczego, Goldie?

Goldie usiadła na brzegu stołu, wpatrzyła się w rysy swej matki.

— Jesteś piękna, mamusiu — powiedziała szczerze.

— Wyobraźnia, moje dziecko — sprzeciwiła się Marcja. — Nie myślałam nigdy, że uchodzę za piękną.

— Ale wobec mężczyzn uchodzisz — zaśmiała się Goldie. — Ja również z tą sprawą mam ciągle kłopoty. Opędzam się, jak mogę, by się pozbyć natrętów. I zdarza się nieraz, że nie mam prawie czasu, by się zająć czym innym.

— Ależ dziecko! — przerwała jej Marcja. — To znowu wyobraźnia. Czy są tak bardzo natrętni, że się aż musisz opędzać?

Goldie przytaknęła.

— Mężczyźni są wstrętni — rzekła po chwili. — Nudni, natarczywi i przebiegli jak diabli. Nie wyobrażam sobie, bym się mogła zakochać. Czułabym się wtedy, jak związana kajdanami.

— Wiem, o czym myślisz — powiedziała matka.

— Domyślasz się mamó? — zdumiała się Goldie. — Nie przypuszczałam nawet, że się kiedyś domyślisz.

Skrzywiła się kapryśnie i dziwny ogień zapłonął jej w oczach. Zeskoczyła ze stołu i podbiegła ponownie ku krzesłu matki.

— Nie dopuść do tego, bym wyszła za Baronforda — rzekła po chwili. — Nie życzę sobie, by on był moim mężem. Marcja objęła ją lekko ramieniem.

— Nie pragnę przecież tego — odrzekła łagodnie.

— Więc nie wydawaj mnie za niego — upierała się Goldie. — Jeszcze raz ci powtarzam, że nie znoszę Baronforda. Marcja przez chwilę wahała się dziwnie.

— Jeśli wiesz, że go nie kochasz — powiedziała wreszcie. Goldie się wzdrygnęła.

— Właśnie, że go kocham — wydobyła półgłosem. — Kocham go, kocham! Zdarza mi się nieraz, że całą prawie noc przez niego nie śpię. Gdy nie ma go koło mnie, liczę kwadransy i minuty nim zobaczę go znowu. A gdy zjawi się wreszcie i popatrzy mi w oczy, gdy znowu o tym wiem, że przez chwilę będzie ze mną, wtedy trudno mi określić, co odczuwam w sercu, wydaje mi się czasem, że tracę przytomność. O, mamó, mamó! Czy to okropne uczucie, ta nie kończąca się prawie i gnębiąca udreka jest istotnie tym uczuciem, które zwie się miłością?

— Dziecko moje drogie! — mówiła Marcja. — Cóż ci mogę odrzec? Jak ci to określić? Jak odpowiedzieć?

— Nie wiem — rzekła Goldie. — Nie odpowiadaj, gdy nie możesz.

Przytuliła się do niej, obejmując ją ramieniem. Jej uścisk był mocny, przedziwnie serdeczny.

— Nie wydawaj mnie za niego — westchnęła głęboko. — Błagam cię o to.

— Czy prosił cię o rękę? — spytała ją Marcja.

— On ciągle mnie prosi — odrzekła Goldie. — I jest dziwnie pewny. Nie wyobraża sobie nawet, że się mogą nie zgodzić. Nienawidziłam go zrazu. Jeszcze do niedawna to czułam, w momentach jaśniejszych. Ale teraz już ich nie mam, mój umysł się przyćmił. I to jest właśnie rzecz, którą teraz się trapię. Straciłam równowagę, nie czuję oparcia. Wydaje mi się czasem — urwała nagle, by zaczerpnąć tchu. — Ale za wiele już słyszałaś. Po co ja to mówię? Nadużyłam już pewnie twej wielkiej dobroci. Nie wiem już nawet, jak się to stało. Ach, prawda — dodała — to przez ciebie, mamusiu. Opowiedziałaś mi, że w swym osiemnastym roku poślubiłaś tatusia, z miłości. — Zaśmiała się nagle, zaciągając się dymem z papierosa. — Wiesz, co ci powiem? — rzuciła po chwili. — Gdy tak patrzę na ciebie, nie wydaje mi się nawet, że jesteś mą matką. Nie widzę tak wielkiej różnicy między nami. Ale ręczę ci, mamo, że Baronford zapewne zaprzeczyłby temu.

Marcja spojrzała jej w oczy. Nie okazała, że czuje się wzburzona.

— Nonsens — odrzekła, udając obojętność. — Dziwi mnie to nawet, że zastanawiasz się nad tym.

— Dlaczego nonsens? — zdumiała się Goldie. — Zdaje mi się czasem, że w tych pięciu latach doświadczyłam więcej niż ty w małżeństwie. Powiem ci dlaczego. Bo zapomniałaś już zapewne, jak wiele się przeżywa w każdej z takich pierwszych, gwałtownych miłości.

Marcja się strapiła.

— Mylisz się Goldie — odrzekła spokojnie. — Powiem ci jednak coś, co nie przemówi niestety do twego przekonania. Otóż zapewniam cię dziecko, że nie przeżyłaś jeszcze tego, co się zwie miłością. Nawet do jej pierwszych przedsmaków jeszcze bardzo ci daleko.

Goldie roześmiała się.

— Już wiem, o czym myślisz — przerwała jej żywo. — O stylu zapewne. O zapachu lawendy i innych staroświeckich rekwizytach. Ale uspokój się mamo. Przeżyłam to już wszystko, jeszcze będąc smarkulą chodzącą do szkoły. Za dawnych jeszcze lat, nie pamiętam nawet kiedy.

Przyznaję się otwarcie, że lubiłam to wtedy, ale dziś taka rzecz nie wywarłaby już na mnie podobnego wrażenia.

— Gdy chodziłaś do szkoły? — zdumiała się Marcja. — Nigdy o tym wszystkim nie wspomniałaś mi.

— Oczywiście, że nie — zaśmiała się Goldie. — Tylko proszę cię, mateczko, nie oburzaj się na mnie. Nie lubię tych poglądów z okresu przed potopem. Głowę za to daję, że nawet dzieci Noego nie zwierzały się przed matką ze wszystkich tajemnic. — Rzuciła się na kanapę obok matki. — Ciekawaś, mateczko? — mówiła. — Otóż dopowiem jeszcze resztę. W tym romantycznym okresie kochałam się na zabój w kuzynie Morvena.

— W Peterze? — krzyknęła zdumiona Marcja. — W Peterze Tregassie? — dodała.

— W jedynym Peterze, który istniał na świecie — zadeklamowała Goldie z dramatycznym patosem. — Tak, moja mamó. Był bowiem czas, gdzie szalałam za Peterem, a on szalał za mną. Ale później, jak wiesz, wyjechał do Kanady i został tam od razu ordynarnym farmerem. Doniósł mi raz w liście, że stracił również tytuł; uważałam to za szczyt lekkomyślności i odpisałam mu wówczas, że mam dziwną urazę do klasy plebejuszy. Korespondencja po tym urwała się nagle. Nie próbowałam już z powrotem rozniecać płomienia; nie miałam zresztą czasu, by się zająć tą sprawą.

— Byłaś jeszcze bardzo młoda — ozwała się Marcja.

— Tak, moja mamó — przyznała się Goldie. — I przedwcześnie rozwinięta. Tak, jak wszystkie dziewczęta obecnej generacji. A poza tym, jak wiesz, byłam dziwnie uparta. Nie chciałam wyjść za mąż, mając lat osiemnaście. Możesz złać mnie za to, że mam inne poglądy. Bo różnimy się od siebie. Przecież sama teraz widzisz, jak bardzo się różnimy. Ty łowiłaś swoje rybki, chwytając je na wędkę, a ja znów igrałam, bawiłam się nimi. — Zaciągnęła się dymem i zdmuchnęła go lekko. — Ale gdyby Peter tu pozostał i cokolwiek się ogładził, to nie wątpię teraz, że oddałabym mu rękę. Od pierwszej niemal chwili podobał mi się bardzo. Był to miły, sympatyczny, nieprzeciętny młodzieniec.

— Może to był właśnie powód, że nie wyszłaś potem za mąż — poddała jej Marcja, siadając przy biurku i chwytając za pióro.

— Bardzo możliwe — odrzekła Goldie. — Nie jestem jednak pewna. W każdym bądź razie nie zamierzam dla Petera pozostać starą panną. Czy przypominasz sobie, mamó, majora Morvena?

Rzuciła to pytanie zupełnie znienacka.

— Kogo? — rzekła Marcja. Zakreśliła nerwowo parę kółek na papierze.

— Majora Morvena — zaśmiała się Goldie. — Tego samego człowieka, który uprawiał z tobą flirt, gdy mieszkaliśmy w Pentreith. Pamiętam doskonale, jak oburzałam się na to. Ale byłam jeszcze dzieckiem, nie wiedziałam, o co chodzi. Nie zapomniałaś o nim chyba, skoro nawet kuzyn jego, Peter, pozostał ci w pamięci. Marcja się strapiła.

— Ach, nie — odrzekła, siląc się na spokój. — Przypominam go sobie. Pamiętam nawet o tym, jak cię chciałam raz skarcić, gdy byłaś dlań niegrzeczna. Ale przeprosiłaś go na szczęście i nie miałam już powodu wymierzyć ci kary.

— To istotnie byłoby coś godnego pamięci. Gdy pomyślę o dzieciństwie, to nie pamiętam doprawdy czy dostałam kiedykolwiek jakieś klapsy od ciebie. Pamiętam jednak dobrze, że nad miarę może często zasłużyłam sobie na nie — przyznała wielkodusznie. — Baronford twierdzi, że i dziś zasługuję. Nieznośny człowiek!

— Dziwi mnie to bardzo, że jeszcze o nim myślisz — rzekła Marcja. Goldie skrzywiła się.

— Nie myślę dobrowolnie. Coś mnie zmusza do tego. Nie lubię o nim myśleć, a jednak czuję, że to sprawia mi przyjemność. Dziś wieczorem idę z nim do klubu *Carte Blanche*. Nawet nie wiem dlaczego. Dwukrotnie odmówiłam, a wczoraj, gdy zadzwonił, nie chciałam nawet przez telefon roztrząsać tej sprawy. Ale oto przysłał list i uważa nasze wyjście za fakt dokonany.

— Ależ Goldie! — obruszyła się Marcja.

— Szkoda twoich słów — przerwała jej Goldie. — Muszę z nim pójść. Chcesz wiedzieć dlaczego? Oto po prostu dlatego, że gdy ja z nim nie pójdę, to zabierze Wirginię. A potem będę płakać i ani oka nie zmrużę, gdy położę się do łóżka.

— Goldie! — jeszcze raz upomniała ją Marcja. — Nie powinnaś tak mówić. To jest głupie, co mówisz, to jest...

— Wiem o tym, mam — przerwała jej Goldie. — To naprawdę niegodziwe. Ale cóż mogę zrobić, jakie mam wyjście? On od dziesięciu niemal lat umizguje się do niej, na mnie zaś dopiero wówczas zwrócił uwagę, gdy złążalam go raz za aluzje do ciebie. Wspomniał wtedy głupio o urlopach w małżeństwie. Nie mogłam mu darować tej bezczelnej uwagi. Jak on mógł to zrobić, jak się odważył? W oczach Marcji pojawiły się błyski.

— Co on wtedy mówił? — spytała ją nagle.

— Nie przypominam sobie dobrze — odrzekła zmieszana. Przytknęła palcami, by ukryć zmieszanie. — Pamiętam tylko, że wyraził się cynicznie. On nie lubi ciebie, mam. Zanadto jesteś zacna, aby mógł cię szanować. Nie może tego pojąć, że kobieta przez tydzień korzysta z urlopu, nie mając ukrytych, pewnych celów na względzie. Intrygant jednym słowem, czarny charakter. Każdego by oczernił, u każdego by wywietrzył jakieś zdrożne zachcianki. Ale to taka już natura. Trudno wobec tego obwiniać go za to. Zawsze byłam zdania, że za naturę i charakter nie sposób jest właściwie odpowiadać przed ludźmi.

— Czy stanowczo jesteś pewna, że ten człowiek cię pociąga? — odezwała się Marcja.

— „Pociąga” to za mało — zwierzyła się Goldie. — On fascynuje mnie po prostu, ma władzę nade mną. — Zatoczyła rękoma koło w powietrzu. — Jeśli powiem mu „nie”, a on powie „tak”, to na pewno po tym słowie nie powtórzę już „nie”. Jeśli chodzi o tę moc, to nikt oprócz niego nie liczy się prawie. A on o tym wie i korzysta ze swej władzy.

— To straszne, Goldie! — wzdrygnęła się Marcja. Goldie ze śmiechem zerwała się nagle.

— Straszne, lecz prawdziwe — krzyknęła beztrasko. — Ale takie już jest życie. Pełne niespodzianek i samych dziwności. Gdy pożyję kiedyś z mężem, tak długo jak ty... jak długo właściwie już jesteś mężatką?

Marcja spojrzała jej surowo w oczy.

— Goldie! — zawołała, gdy dziewczyna zamilkła. — Usiądź natychmiast i napisz do Baronforda, że z powodu ważnej przeszkody nie możesz dziś wieczór towarzyszyć mu w klubie.

Goldie ponownie przytknęła palcami, posyłając w dodatku całuska w powietrzu.

— Tak myślisz, mamusiu? — zaśmiała się znowu. — Szkoda na to pióra. To daremny trud. Ten człowiek ma oczy. Jeśli zechce mnie odszukać, to na pewno i spod ziemi mnie zdoła wyciągnąć.

— Nie mów tak, Goldie — protestowała Marcja. Wyraz jej twarzy był stanowczy. — Jeśli z tego, co słyszałam, tylko połowa jest prawdą...

— Bujda na resorach — zaśmiała się Goldie. — „To cóż dopiero sądzić, jak całość wygląda?” — pragnęłaś powiedzieć. Ale nie, moja droga, nie przekonasz mnie. O czym innym raczej pomyśl, jeśli pragniesz mnie wybawić. Nawet poddam ci myśl. Wydobądź w jakiś sposób Petera Tregassę.

Wyrzekłszy te słowa pobiegła ku drzwiom. Obejrzała się jeszcze, rzucając ku matce przekorny uśmiezek i w tej samej chwili zetknęła się z ojcem, który pojawił się w progu. Jako zwinniej szał, odskoczyła czym prędzej, by uniknąć zderzenia...

— Doskonale, że się zjawiasz — krzyknęła bez namysłu. — Może ty nam to powiesz, kochany papuńciu? Jak długo już z mamusią jesteście po ślubie. Bo ani ja, ani mamusia nie możemy sobie przypomnieć.

Doskonała żona

Sir Everard wszedł i spojrział na córkę. Lubił ją bardzo i był z niej dumny, ale nękała go myśl, że jeśli kiedyś, w przyszłości poznają lepiej, to nie uzna jej śmiałych poglądów. Pragnął gorąco, by wyszła już za męża. Kobieta w jej wieku — tak sądził po cichu — powinna już od dawna mieć własny dom.

Pochylił się nad nią i pocałował ją w policzek.

— Dzień dobry, Doro! — powitał ją. — Więc o co ci chodzi? Jak długo z mamusią jesteście po ślubie? Czekać jeszcze chwilę; musimy to obliczyć.

Podszedł do żony. Marcja jeszcze ciągle siedziała przy biurku. Była dziwnie zmieszana, ale uśmiechnęła się lekko, gdy zbliżył się do niej.

— To ty, Everardzie, jesteś jeszcze? — spytała. — Byłam zupełnie pewna, że wyszedłeś już z domu.

— Jeszcze wcześniej — odparł, spoglądając jej w oczy. — Poczta była skąpa i bynajmniej nienagła, więc poleciłem Grantowi, by się zajął nią dzisiaj.

— Więc mów coś, tatusiu — odezwała się Goldie. — Jak długo z mamusią jesteście razem? — Zaśmiała się lekko.

— Zawsze wydaje mi się, że to już całe stulecie.

Everard się uśmiechnął. Włosy w nieładzie opadły mu na czoło, zaś wzrok bez przerwy spoczywał na żonie.

— Rachunek jest nietrudny — odezwał się wreszcie. — Ile masz lat? — skierował się do żony.

— Jest młodsza ode mnie — krzyknęła Goldie. Mówiąc to, objęła jej szyję. — O dwanaście miesięcy jest młodsza ode mnie. Everard z uśmiechem potrząsnął głową.

— Zaraz to obliczę — dodał z godnością. — Jesteś młodsza od Lilith prawie o pięć lat. Wynikałoby z tego...

— Nic by nie wynikało — przerwała mu Goldie. — Ciotka Lilith jest starsza niż wiedźma z Endoru. Pozwolił na ten wybryk, wprawiając tym Marcję w niemalże zdumienie.

— Zacznijmy więc inaczej — rzucił po chwili. — Ile lat ma Dennis? Dodajmy do tego jeden rok pożycia i ogólny bilans będzie zaraz ustalony.

— Bogu za to dzięki — powiedziała Goldie. Oboje w tej chwili spojrzeli na nią.

— A zatem? — rzekła Marcja, uśmiechając się lekko. Goldie pochyliła się nad nią i ucałowała ją w czoło.

— Czekaj matusieńko. Dennis ma dwadzieścia cztery lata. Jasne zatem, że obchodzicie w tym roku wasze srebrne wesele.

— Co za piękne odkrycie! — zaśmiała się Marcja.

— Wiedziałaś o tym chyba — nadała się Goldie. — Nie uwierzę ci, jeśli powiesz, że nie. Ukrywałaś to zapewne, by nie zastraszyć tym papy. A papa, jak widzisz, tylko dla mnie to zrobił. Ale musimy się tym zająć, musimy to uczcić. Jaka to była data? Jeśli mnie pamięć nie myli, to w jakiś dzień października.

— Osiemnastego — rzekł Everard, tym razem z precyzją.

— Na św. Łukasza — dodała Goldie. — Akuratnie w ów dzień, gdy się tęskni do lata, a lata już nie ma. Musimy urządzić jakieś wielkie przyjęcie. Wiem już, co zrobić. Otóż postaram się o to, abym i ja tego dnia mogła iść do ołtarza. Obie ceremonie odbędą się razem. A družki ubiorą się w srebrzyste sukienki i każda będzie trzymać bukiet rozmarynu. Czy to nie będzie czarujące? — spytała zachwycona. — Przyznajcie teraz sami, że świetny mam pomysł.

— Czy więc myślisz wyjść za mąż? — zdumiał się Everard. — Nie słyszałem do tej pory o takim zamiarze.

— Od lat o tym myślę — zaśmiała się Goldie. — Jednak zawsze czekałam, aż się zjawi wysniony. Ostatnio nawet z gwiazd wróżyłam

swój los. Astrolog mi przepowiedział, że już wkrótce się zjawi. Czekam więc cierpliwie i nie tracę nadziei.

Zaśmiała się głośno i jednym susem podbiegła ku drzwiom.

— Teraz muszę się przebrać — krzyknęła na progu. — Robi się późno.

Zniknęła za drzwiami, śpiewając głośno jakąś modną piosenkę. Jej głos docierał jeszcze chwilę do wnętrza pokoju.

— Co ona myśli? — zdumiał się Everard.

Marcja pochyliła głowę. Pograżyła się w myślach. Wreszcie rzekła:

— Niepokoję się bardzo, że chce poślubić Maurice'a Baronforda.

— A? — wykrzyknął zdumiony Everard. — A skąd to wiesz? Czy masz jakieś dane, by tak sądzić?

Zawahała się chwilę.

— Nie daje jej spokoju — odrzekła po namyśle. — Prześladowuje ją po prostu swą głupią miłością.

— Doprawdy? — rzekł Everard, nie kryjąc radości. — Znam Baronforda. Jest świetnym prawnikiem i czeka go kariera. Byłby doskonałą partią dla dziewczyny, takiej jak Goldie.

— Nie podzielam tego zdania — ozwała się Marcja. — Nie odmawiam mu zalet i widoków kariery, ale jest stary, zacofany i zanadto cyniczny. Gdyby poślubił naszą Goldie, to nie potrafiłby zapewne dać jej szczęścia.

— Nie rozumiem, dlaczego? — przeciwstawił się Everard. — Stary jeszcze nie jest; ma czterdzieści lat. Jeśli zaś chodzi o cynizm to i Goldie go nie brak, jeśli wyznać mam prawdę. Uważam więc, że się świetnie dobrali; ani jedno, ani drugie nie doznałoby zawodu.

— Ty nie znasz jeszcze Goldie — obruszyła się Marcja. — To dziecko ma serce. On nie dałby jej tego, czego trzeba jej sercu. Prędzej czy później życie jej przy nim straciłoby urok. Stałoby się w końcu jednym, beznadziejnym pasmem udręki.

— Pleciesz! — rzekł Everard, nie tając wzburzenia.

— Trudno — odrzekła, nie podnosząc nań oczu. — Ten człowiek ma wąskie horyzonty. Zasklepił się w sobie i myśli o karierze. Nie ma skrupułów ani innych względów. Kobiętę traktuje jak marną zabawkę. Służy mu do tego, by rozproszyć nudę. Od dziesięciu prawie lat uprawia igraszki z Wirginią Freeman; nie chce się z nią żenić i nie

chce jej opuścić. Czy mężczyzna tego typu może uszczęśliwić poślubioną kobietę?

— Jeśli chodzi o Wirginię — rzekł Everard — to mam szczerze przekonanie, że ona sama o to walczy, by nie zerwać z nim stosunków.

— Ma rację — odrzekła. — Czy sądzisz może o nim, że przez cały ten okres potrafił się ustrzec od uwiedzenia jej. Dlaczego się nie żeni? Przecież sam chyba przyznasz, że człowiek honoru nie potrafiłby skrzywdzić bezbronnej kobiety.

— Ma powody widocznie — ozwał się Everard.

— Oczywiście, że je ma — odrzekła z goryczą. — Bo znudziła mu się w końcu. Bo już wszystko osiągnął, co dało się osiągnąć. Uczynił z niej po prostu ślepo mu oddaną, bezbronną niewolnicę. A teraz jest gotów usunąć ją z drogi. Albo lepiej, niż usunąć. Zostawić ją na boku i korzystać z niej jeszcze, skoro zajdzie potrzeba.

— Za daleko się posuwasz — przerwał jej Everard. — Na czym możesz oprzeć to straszne oskarżenie?

— Na złamanym życiu tej biednej kobiety. Wystarczy na nią spojrzeć. Niegdyś, przed laty, łączyła nas przyjaźń. Ale potem urwała się nagle. Wirginia zrozumiała, że za wiele wiem o jej życiu. Wołała mnie poświęcić. Słuchaj, Everardzie! Nie dopuszczę do tego, by Goldie zań wyszła. Pomóż mi ją wydrzeć z grożącego jej nieszczęścia!

— Rozdrażniłaś się, dziecko — uspokajał ją mąż. — Jesteś strasznie nerwowa, nie panujesz nad sobą. I zanadto się poddajesz tym okropnym urojeniom. Ale niezależnie od wszystkiego, nie mogę w tym wypadku spełnić twych żądań. Zachowam neutralność. Zapowiadam ci z góry, że nie będę ingerował w sprawę Baronforda. Goldie jest w wieku, w którym kobieta winna sama rozstrzygać o swych losach. Niech i przyszłego swego męża wybierze sobie sama. Nawiasem dodam jednak, że bardzo byłbym rad, gdyby poślubiła Baronforda. Jej wybór mógłby paść na bezsprzecznie gorszego jeszcze.

Marcja beznadziejnie opuściła ramiona. Obróciła się od męża.

— Mogłam to przewidzieć — odrzekła z goryczą.

— Nie — rzekł Everard. — Nie posądzaj mnie o to, że odmawiam ci przysługi. Ale jesteś w tym wypadku przedziwnie zaślepiona. Masz dzikie uprzedzenie do osoby Baronforda.

— To uprzedzenie jest wzajemne — przerwała mu żywo. — On również mnie nie lubi; nienawidzi mnie nawet.

— Marcjo! — zawołał, nie dowierzając jej słowom. Spojrzała mu w oczy.

— Nie wiesz o tym? — rzekła — naprawdę o tym nie wiesz? To dziwne, doprawdy. Nawet Goldie o tym wie; nawet każdy wróbel o tym ćwierka na dachu.

— Zorientował się zapewne w tym stosunku do Wirginii — bronił go Everard. — Jeśli wglądałaś w jej sprawy, to wywołałaś przez to żywy antagonizm.

— Możliwe — odrzekła, nie kryjąc wzburzenia. — Ale zostawmy już tę rzecz, nie roztrząsajmy jej dłużej. I tak nie dojdziemy do żadnego porozumienia.

— Nie lubię, gdy tak mówisz — zarzucił jej. — Byłem zawsze pełen zrozumienia. Gdziekolwiek tylko mogłem, starałem się uzgodnić nasze zdania i poglądy. Nie zarzucaj mi więc teraz, że to ja jestem tym, który dąży do niezgody.

Potrząsnął głową.

— Nie zarzucam ci niczego — odezwała się oschle. — I nie dziwię się nawet, że intuicja kobiety jest czymś zbyt marnym, by cię mogła przekonać. Takim ludziom, jak ty, trzeba bardziej przekonywujących, konkretnych dowodów. Zanadto się zżyłeś z atmosferą trybunałów.

Everard się zaśmiał.

— Mylisz się, dziecko — odparł po chwili. — Intuicja kobiety nie jest, moim zdaniem, czymś całkiem nierzeczowym. Ale nie jest też czymś takim, co przedstawia obiektywną wartość. Uważam, że instynkt kobiety, choćby najbardziej lojalnej byłby bardziej wiarygodny, gdyby nie docierały doń opinie za mało rzetelne od różnych ludzi. No i cóż, moja droga? Czy jeszcze i teraz się czujesz dotknięta?

— Nie — odrzekła, siadając przy biurku. — Nie czuję się dotknięta — dodała z goryczą.

Wsparła się na dłoniach, ukryła w nich głowę. Podeszedł do niej i pochylił się nad nią. Po chwili rzekł:

— Nie myśl tylko Marcjo, że ci chciałem dokuczyć. Zanadto cię cenię i za wielki mam szacunek do twej czci i honoru. Doceniam to dopiero, gdy patrzę na obłudę i odrażającą rozpustę wśród kobiet.

Wydajesz mi się wtedy czymś dziwnie nadziemskim, jedyną kobietą, której mogłem zaufać. I jesteś istotnie jakby wzorem dla kobiet. Najlepszą matką i szczerze oddaną, doskonałą żoną. Wzdrygnęła się nagle, jakby poczuła ostrze w sercu.

— Everardzie! — jęknęła, zasłaniając swą twarz. Ucałował ją w głowę.

Spojrzała na niego, wymuszając rozpaczliwie uśmiech na twarzy.

— Wybacz mi — szepnęła. — Jestem dziwnie podniecona, nie panuję dziś nad sobą. Ale niech cię to nie dziwi.

Każda niemal matka jest podobnie przeczulona.

Pogładził jej włosy.

— Nie trap się tym wszystkim — powiedział życzliwie. — Każdy spośród nas ma własne poglądy. Ale nie można ich narzucać i zmuszać kogokolwiek, by uważał je za dogmat.

— Masz rację — rzekła. — Ale nie zapominaj, że każdy spośród nas ma własną odpowiedzialność. Nie możemy się z niej zwolnić, ani stłumić jej w sobie, gdy się staje niewygodna.

— To również przeczulenie — pocieszył ją. — Przyznam ci chyba jeszcze drugi urlop, abyś mogła odpocząć.

— Nie skorzystam z niego teraz — powiedziała. — Zapominasz, że Dennis niezadługo powraca do domu. A poza tym jestem zdrowa; nic mi nie dolega. Właśnie mam zamiar napisać parę listów. Robi się późno.

Pochylił się nad nią i ucałował w czoło.

— Mnie również czas nagli — dorzucił z uśmiechem. — Pora mi już odejść. Więc, do widzenia, Marcjo, nie zaprzataj sobie głowy. Wszystko się ułoży, nie lękaj się o Goldie. I pamiętaj, że Baronford ma przyszłość przed sobą. Mogłaby natrafić na znacznie gorszego.

— Dobrze — odrzekła — będę pamiętać.

Została sama. Słońce majowe oświetliło jej twarz. Jeszcze ciągle drżała pod wpływem emocji.

Wreszcie wyciągnęła ostrożnie zwinięty list ze skrytki w biurku.

Rozłożyła go przed sobą i zaczęła czytać: *Królowo moich marzeń! Umieram z tęsknoty za przyznanym Ci tygodniem. Ale jak ja przetrwam do początku października? W głowie mam chaos. Ciągłe widzę morze i paprocie pośród skal i Ciebie, Jedyna.*

Zawzięty amant

— I cóż? — rzekł Baronford, uśmiechając się cierpko. — Jeszcze ciągle pani siedzi jak więzień za kratą? Goldie się zaśmiała.

— Nie — odparła — przygotowuję sobie właśnie ucieczkę.

Od jej rozmowy z matką upłynął już miesiąc. Marcja w tym czasie roztoczyła opiekę nad córką, starając się ją ustrzec od grożącego jej związku.

Goldie i Baronford nie stykali się prawie. Niemało jej w tym pomógł przyjazd Dennisa, który wrócił wreszcie. Baronford tymczasem wyjechał z Londynu. Przez tydzień, czy też dwa, podróżował służbowo. Obecnie jednak wrócił — akuratnie przed otwarciem sesji sądowej — i spotkawszy się z Goldie, starał się w nią wmówić, że niespodziane ich spotkanie nie było, jak sądziła, rzeczą przypadku.

Goldie istotnie nie myślała o spotkaniu. Nie spodziewała się nawet, że dziś go zobaczy. Wybrała się do ciotki na tańczącą herbatkę i zjawiała się przed chwilą w towarzystwie Dennisa. Goldie wiedziała, że spotkanie z Baronfordem jest rzeczą nieuniknioną, ale ani przez myśl jej nie przeszło, że zastanie go właśnie na zabawie u ciotki. Spotkawszy go tutaj, nie okazała mu zrazu swej dawnej przychylności. Była dziwnie obojętna. Ostatnie jej przeżycia ujarzmiły nieco jej bujny temperament, wyczerpały ją nawet. To dziwiło ją trochę. Nie mogła sama pojąć, że nagle tak oziębła. Baronford miał sławę świetnego tancerza, tego jednak dnia był źle usposobiony. Jego osowiałość przeniosła się zaraz i na nastrój Goldie.

Odczuwała to w ten sposób, jakby towarzysz na nią przeszczepił ów stan przygnębienia. Powiedziała mu o tym.
— To doświadczenie się przyda — oświadczył jej otwarcie. — Gdy nastąpi znieczulenie, zastosuję środek jeszcze bardziej efek« tywny.

— Nienawidzę pana za to — wyjąkała.

— Za co? — zapytał. — Czy za to, żem wyjechał, czy też za to, że wróciłem?

Goldie milczała. Ale twarz Baronforda jaśniała tryumfem.

— Tęskniła pani za mną? — spytał po chwili. — To jest zresztą pewne, nie ma o co pytać.

Goldie milczała; odwróciła nawet głowę.

— Zmęczył panią taniec? — zapytał.

— Nie — odparła, na przekór swej woli.

— Więc na nowo zdobędzie panią — zaśmiał się.

Po paru tańcach Baronford oczarował ją od nowa swą dziwną mocą. Tańczyła w olśnieniu. Pokonał ją w tym tańcu, ujarzmił jej wolę. Czowała się bezbronna, nie mogła mu się oprzeć. Trwało to tak długo, aż muzyka zamilkła. Zdawało jej się teraz, że ów taniec był snem.

— Cudne! — szepnęła upojona.

Pociągnął ją za sobą, nie chciał być w tłumie. Goldie się zdawało, że ją poniósł na rękach. Nie odczuwała nawet tego, że idzie sama. Ale gdy wyszli o piętro wyżej, ocknęła się nagle z rozkosznej zadumy i zatrzymała się raptem w mrocznej sieni.

— Nie pójdę dalej — rzekła niespokojnie. Spojrzał jej w oczy.

— To bardzo roztropnie — odrzekł półgłosem. Pociągnął ją teraz za ciężką kotarę. Broniła się chwilę, chciała mu się wydrzeć, ale w końcu uległa fizycznej przewadze. Wpił się w jej usta, głęboko, nieprzytomnie. Była to dla niej rozkoszna chwila. Zamknęła oczy. Pochłaniała ów wstrząs z nieznaną jej pasją. Ale w końcu się ocknęła. Spojrzała mu w twarz. Śmiała się wprawdzie, ale w oczach jej lśniły łzy.

— Pan mnie dusi — dyszała, gdy po chwili ją puścił.

— Zasłużyła pani na to — zaśmiał się. — Nie igra się z miłością, tak jak pani to robi. Ale po co o tym mówię? Pani sama przecież wie, że oporem nic nie zdziała.

— Nie bawiłam się z panem wcale — odrzekła bez tchu. — Udowodnię to panu. Ale daj mi pan sposobność; daj mi pan możność.

— Nic pani nie dam — odpowiedział. — Proszę, panno Goldie! Chodźmy nieco dalej.

Pchnął ją gwałtownie do ciemnego pokoju. Goldie się cofnęła, chciała mu się wymknąć, ale chwycił ją za rękę i trzymał silnie.

— To pokój ciotki Lilith — broniła się gwałtownie. — Pogniewałaby się, gdyby nas tu zastała.

— Głupstwo, czyj to pokój i kto by się pogniewał. Nie zależy mi na tym.

Zatrzasnął drzwi.

— Mam panią wreszcie — wyszeptał. — Otóż przede wszystkim mam zamiar...

Zapalił światło.

— Proszę mi coś powiedzieć. Z jakiego powodu odtrąca mnie pani?

— Dlaczego pan nas zamknął? — spytała przerażona. Baronford się zaśmiał i pociągnął ją bliżej.

— Po co ma kto wiedzieć, że się mizdrzę do pani? Teraz proszę na mnie spojrzeć. Ale szczerze, bez fałszu. Może odczytam w tych oczkach, że mówią mi: tak.

Goldie odskoczyła. Oczarowanie minęło, ale oczy jeszcze ciągle pały.

— Powiem panu jutro — wyjąkała trwożliwie.

— Jutro? — powtórzył, marszcząc się brzydko. — Bardzo w to wątpię, czy będę mógł czekać. Przecież miała pani czas. Cały prawie miesiąc upłynął.

— Miesiąc będzie jutro — odrzekła przekornie.

Pragnęła rozpaczliwie uzyskać przewagę. Chciała się wydostać. Nie mogła tego znieść, że się dała tu wciągnąć.

— To ani pana, ani mnie nie skrzywdzi. Teraz jednak wróćmy. Szkoda czasu. Czy nie milej będzie tańczyć niż tu siedzieć beczynnienie? — Mówiła to przymilnie, z odcieniem pokory, jakby rozumiejąc już teraz, że Baronford istotnie nie uznaje igraszek. Uścisk jego dłoni był odpowiedzią. Unikała spojrzenia mu w twarz. Jakiś instynkt ostrzegał ją przed tym.

— Czy jeszcze ciągle pani bawi się mną? — spytał po chwili. Potrząsnęła głową.

— Nie — odparła. — Mówię poważnie. Ale pragnę teraz wrócić, muszę to przemyśleć.

— Panią ostrzegł ktoś przede mną — wybuchnął niespodzianie.

— Brednie! — odrzekła, zdobywając się na protest. — Ale dlaczego pan uważa, że nie mogę jeszcze dzień dłużej zastanawiać się nad tym? Czy sądzi pan naprawdę, że nie zdobędę się na to?

Nachmurzył się nagle.

— Dlatego po prostu, że im dłużej pani myśli, tym bardziej jestem pewny, że odpowie pani „nie”. Znam się już na tym. Odczytuję to już prawie z pani oczu i spojrzenia. Pani pragnie się zgodzić, jestem zupełnie tego pewny, że powiedziała by „tak”. Ale obawia się pani, ma pewne skrupuły. Dziwne, doprawdy. Czy mama istotnie przeszkadza w tym pani?

Postawił to pytanie, jakby zwracał się do świadka na rozprawie sądowej. Goldie drgnęła, nie potrafiła się przemóc, by odpowiedzieć mu zaraz.

— Przeczuwałem to wszystko — dodał po chwili. — Ci nienaganni ludzie, którzy usiłują się uchylić od wszelkich podejrzeń, są zawsze pierwsi do rzucania kałamurni. Co pani matka mi może zarzucić? Chciałbym o tym wiedzieć, to mnie ciekawi.

Goldie zmarszczyła czoło.

— Nic — odrzekła. — Ale proszę pana bardzo, by nie wygłaszał tu oracji skierowanych przeciw mamie. Nie chcę ich słuchać. Wystarczy słówko, a może pan być pewny, że odpowiem mu „nie”.

Poblądł, ale pociągnął ją bliżej ku sobie.

— Nie robi pani tego! Nie może tego zrobić! Pani już należy do mnie, do mnie na wieki. Czuję to wyraźnie podczas tańca na dole.

Pochylił ku niej usta, ale Goldie tym razem oparła się stanowczo.

— Nieprawda — wtrąciła, mierząc go ostro. — Nie należę do pana. Pan jest winien, że straciłam panowanie. Pan zmusił mnie do tego, rzucił na mnie czar.

— Mogę rzucić ponownie — rzekł przymilnie. — Proszę tylko spojrzeć, popatrzeć mi w oczy.

Odwróciła się nagle.

— Odejdź pan ode mnie! — krzyknęła bez tchu. — Jeśli pocałuje

mnie pan teraz, to bądź pan tego pewny, że uczyni to przemocą. Nie pozwolę panu dłużej nadużywać mojej woli.
— Pani mówi jak dziecko — zaśmiał się. Ale Goldie konsekwentnie stawiała mu opór.
— Nie zależy mi na tym, jak pan to nazywa — krzyczała. — Puść mnie pan zaraz! To poniża mnie, że przebywam tu z panem.
Baronford ją trzymał dalej, nie puszczał jej z objęć i mówił spokojnie:
— Czy zaprzeczy pani może, że mnie dotąd kochała?
— Nie wiem — odrzekła, cofając się przed nim. — Powiem panu jutro, dzisiaj nie mogę. Ale puść mnie pan teraz, puść mnie pan natychmiast!
Pokonał jej opór i pocałował ją w usta. Goldie się broniła, wreszcie wybuchnęła donośnym szlochem.
— Goldie! — czemu płaczesz?
Poczęła się wydzierać jak krnąbrne dziecko.
— Nie mogę — krzyczała — nie mogę tego znieść! Puść mnie pan zaraz, odejść pan ode mnie! Jutro panu powiem. Ale dzisiaj nie mogę, dzisiaj ani słowa.
Baronford, poruszony, puścił ją wolno.
— Pani krzyczy jak histeryczka — odezwał się oschle. — A czy ma pani powód? Ręczę, że to puste kaprysy.
— Ja, histeryczka? — spojrzała nań gniewnie. Ostatnim wysiłkiem pokonała wzburzenie. — Ale teraz już chodźmy. Czeka na mnie partner, który prosił mnie do tańca. A na pana, panie Baronford — nie mogła się oprzeć, by nie pomścić zniewagi — na pana pewnie również już czeka, Wirginia.
— Ach, tak? — zawołał, kierując się ku drzwiom. — Dobrze, że to słyszę. Czy więc to jest powód tej całej nagonki? Goldie pobladła. Za późno dostrzegła, że palnęła głupstwo. Żałowała tego teraz.
Przystanąła bez słowa, dziwnie zgnębiona i dotknięta. Baronford spokojnie przekręcił klucz, ale drzwi nie otworzył.
— Może zaciekawi to panią — dodał po chwili — że spóźniła się cokolwiek ze swym śmiałym posądzeniem. Wspomniana bowiem dama już od roku, czy dwóch, zarzuciła swe plany; zrezygnowała już z obdarzania mnie względami.

Goldie krew uderzyła do policzków. Wyjąkała jakieś słowa bez ładu i związku, jakby usiłując się obronić lub naprawić poprzedni swój nietakt.

— Dobrze — odrzekł, podając jej dłoń. Na twarzy miał złośliwy uśmiech. — Nie sprzeczejmy się o to, puśćmy to w niepamięć. Ale co będzie z jutrem? Czy mogę panią prosić na lunch do Frangipanich? Albo czy też lepiej to odłożyć i zjawić się u pani?

— Przyjdź pan lepiej do mnie — odrzekła po namyśle. — O czwartej po południu.

— Będzie pani sama?

Skinęła głową. Jej twarz jeszcze ciągle pałała rumieńcem.

— Tak — odparła. — Ale z góry zastrzegam, że nic nie przyrzekam. Pan powinien to zrozumieć.

— Rozumiem — odparł. — Pozwoli pani jednak, że poproszę ją o coś.

— O co? — spytała, cofając swą rękę.

— Że nikt się nie dowie, iż mam przyjść do pani. To drobnostka, panno Goldie. Przecież nie sprawię tym pani jakiegokolwiek przykrości?

— Przyrzekam to.

Otworzył drzwi i puścił ją naprzód.

— Jutro o tej porze nie będziemy już mieli tak przykrych utrapień — powiedział.

— Możliwe — rzekła.

Zeszła czym prędzej, obawiając się w duchu, by się nagle nie spostrzegł. Rozważała bowiem właśnie, jak niewiele już brakowało, aby zdobył ją gwałtem.

Kochanek od serca

— Jakiś pan do panienki — zaanonsowała Hobbs. — Nie podał nazwiska — dodała po chwili.

— Wielkie nieba! — krzyknęła Goldie. Spojrzała na zegarek. — Przecież trzecia dopiero! To niestetychane, doprawdy. Co on sobie myśli?

— Nie wiem, panienko — odrzekła Hobbs i wydeła usta. — Ale mogę zejść i zapytać go o to.

— Nie pleć! — nerwowo zaśmiała się Goldie. — Poproś go na górę; niech wejdzie do salonu. I powiedz mu ode mnie, że za chwilę tam będę. Postaraj się również, by przyniesiono herbatę.

— Dobrze — rzekła Hobbs i odeszła.

Goldie czym prędzej poczęła się przebierać. To naprawdę głupie, że przyszedł tak wcześnie. A Hobbs tak samo okazała się głupia. I udaje w dodatku, że go nie zna z nazwiska, dziesiątki razy widziała go w domu. Ach, jaka głupia! Ale rozmówi się z nią jeszcze, powie jej, co myśli.

Przyczesała się szybko, nałożyła nieco różu, ale zaraz go otarła w przystępie podrażnienia. Cóż to może szkodzić, że wygląda tak blado? Za chwilę i tak będzie cała spłoniona. Gdy Baronford jest przy niej, to już po paru jego słowach gorąco jej się robi.

Obawiała się spotkania z Baronfordem. Ale wkrótce się zebrała i wybiegła na korytarz.

Nagle zatrzymała się przed drzwiami salonu jak młoda pensjonarka, lękająca się kary. Ale zaraz się ocknęła; rzuciła się ku kłamce i silnie ją nacisnęła.

Dostrzegła pod oknem barczystą postać. W chwili gdy weszła, człowiek obok okna obrócił się do niej.

— Nie przeszkadzam ci, Goldie? — doleciał ją głos.

— Ty? — zawołała, nie wierząc swym oczom. Podbiegła naprzód. Spotkali się wreszcie na środku pokoju.

— Ty? — powtórzyła, śmiejąc się i łkając. Zarzuciła mu bezwiednie ramiona na szyję. — Ty, Peterze?

Usta ich nagle zetknęły się z sobą. Tak jak niegdyś przed laty na plaży w Pentreith.

— Jakże się cieszę! — wybuchnęła radośnie. — Peterze, mój drogi! Z oczu jej spływały ogromne łzy.

Peter się strapił.

— No, nie płacz — przemówił — uspokój się, Goldie.

— Nie przerywaj mi tych łez — zanosila się od płaczu. — Ulżyły mi trochę, potrzebuję ich teraz. I pocałuj mnie jeszcze, pocałuj mnie, drogi! Mocniej, kochany, mocniej, Peterze! Teraz powiedz coś o sobie. Co cię tam tak długo trzymało w Kanadzie?

Zdumiał się trochę tym ciepłym przyjęciem. Zachował jednak spokój. — Nie przypuszczałem, że mnie poznasz — powiedział po chwili. Ujął jej dłoń i uściśnął ją mocno.

— Nie przypuszczałeś? — spytała, nie kryjąc zdumienia. — Dlaczego, mój drogi? Nic się nie zmieniłeś.

— Ani ty się nie zmieniłaś — zawołał radośnie. — Wyglądasz tak samo jak wówczas na wakacjach. Ale przyznaj sama, czy nie dobrze nam teraz? — Wyciągnął chusteczkę i począł nią usłużnie ocierać jej łzy. — Nie ma nic piękniejszego nad spotkanie po latach. Prawda, Goldie? Nie miałem w życiu jeszcze tak wielkiej radości.

— Nie wierzę, że to prawda — ozwała się Goldie. Jeszcze ciągle obejmowała jego szyję. — Może przebudzę się za chwilę i usłyszę, żeś ponownie wyjechał do swej farmy w Kanadzie.

Peter uśmiechnął się czule.

— Gdy tam teraz wyjadę, to zabiorę cię ze sobą. Pod warunkiem, oczywiście, że zgodzisz się na to.

— Naturalnie, że się zgodzę — śmiała się Goldie. — Już bym dawno się zgodziła, gdybyś był mi dał możliwość.

— Naprawdę? — zapytał, zdumiony wyznaniem. — Skąd mogłem

wiedzieć? Gdy wspominam czasem scenę, jak kilka lat temu odesłałaś mnie z kwitkiem... Przerwała mu nagle:
— Głupiś! — krzyknęła — nie rozprawiaj teraz o tym. No pewno, że tak było. Ale pamiętam doskonale, jak wprawiłaś mnie w złość. Nie byłeś wart, bym rozczułała się nad tobą. Nie domyśliłaś się, że już wtedy, mimo wszystko, zakochałam się w tobie.

— A jednak — rzekł Peter, wielce zdumiony. Zmieszał się nagle, nie wiedział, co mówić.

Ujęła jego rękę i wsparła na niej głowę.

— Nie wiedziałam, co począć, nie mogłam się pozbierać. Odciałaś mnie od świata i ludzi, zniweczyłaś moje sny. Gdy myślałam o tym nieraz, mimo woli odczuwałam niechęć do ciebie.

— Czy nienawidzisz mnie i teraz? Przygotował się już na to, że usłyszy potwierdzenie. Zwróciła doń głowę.

— Kocham cię, Peterze, kocham cię, jedyny!... Ale powinnam się gniewać. Czy nie mogłaś wrócić nieco wcześniej do Anglii?

Jeszcze raz ucałował jej usta, na chwilę zamilkł, jakby toczył walkę ze wzruszeniem, wreszcie powiedział:

— Usiądźmy na chwilę, omówimy to wszystko. Otóż przede wszystkim muszę wyznać, iż nie myślałem nawet, że zobaczę cię znowu. Ta myśl mnie wstrzymywała. Wyobrażałem sobie zawsze, że będę bardzo nieszczęśliwy, gdy wrócę do kraju.

— Naprawdę, Peterze? — zaśmiała się Goldie. — Czy czujesz się i teraz nieszczęśliwy?

— Byłem strasznie nieszczęśliwy, wyruszając z Kanady.

— Ale teraz to już przeszło? — pytała z uśmiechem.

— Przemogłem się jakoś — odparł po chwili — musisz bowiem wiedzieć, że nigdy właściwie nie przestałem cię kochać. Uważałem to w duchu za rzecz beznadziejną. Ale gdy pomyślałem czasem o tym, że mnie raz odtrąciłaś.

— Nie myślałam tego serio — przerwała mu Goldie.

— Skąd mogłem o tym wiedzieć — przyznał się szczerze. — Twój list był tak samo niezwykle dotkliwy.

Przekonywał mnie niezbicie, że chcesz ze mną zerwać. Pisałaś mi wyraźnie.

— Dość! — zawołała, patrząc mu w oczy. — Gdzie jest ów list? Daj mi go zaraz.

— Nie mogę się z nim rozstać — zaśmiał się Peter.

— Musisz! — odrzekła, nie myśląc ustąpić. — Daj mi go zaraz. I śmieję się teraz z tego. Przecież już masz mnie; więc czegoś chcesz więcej.

Podniosła nań oczy i spojrzała mu w twarz. Peter, jak zawsze, ustąpił grzecznie.

— Mam go w kieszeni. Jeśli zależy ci tak na nim, możesz go zabrać.

— Na razie go zatrzymaj — odrzekła polubownie. — Ale mów teraz dalej, co się stało, gdy uroiłeś sobie nagle, że cię raz odtrąciłam?

Spojrzał jej w oczy.

— To czego zawsze lękałem się strasznie — odrzekł z prostotą. — Stałaś mi się snem, niedosiężnym marzeniem.

Ukryłem cię głęboko w zakamarkach mej duszy i czciłem cię jak świętą.

— I nie przestałeś o mnie myśleć? — pytała gorączkowo.

— Nie mogłem cię zapomnieć — rzekł przygnębiony. — I nie pragnąłem tego wcale. Aby nie rozpaczać, oddałem się pracy. Zająłem się farmą, urządziłem ją na nowo, zakupiłem nieco bydła i podniosłem jej wydajność. Ale dzierzawa mego zamku wygasa w tym roku; musiałem więc powrócić, aby przejąć na własność posiadłość Tregassów. Przez całą prawie drogę myślałem tylko o tym, że może cię zobaczę. Nie spodziewałem się jednak, że zechcesz ze mną mówić.

Goldie ponownie objęła go za szyję.

— Czy dlatego, Peterze, że byłeś farmerem?

— Taki był twój pogląd — odrzekł Peter.

— Ale teraz tak nie myślę — zaśmiała się Goldie. — Nienawidzę siebie za to, że ci mogłam dokuczyć. Przepraszam cię, Peterze, nie gniewaj się na mnie. A teraz ci coś powiem. Ty nie wiesz nawet o tym, co mnie czeka jeszcze dzisiaj. Ma tu przyjść pewien pan i oświadczyć mi się.

— Nie możesz go już przyjąć — krzyknął Peter.

— Naturalnie, że nie mogę. Ale muszę koniecznie wytłumaczyć mu to jakoś. — Otarła się twarzą o rękaw Petera. — Najgorsze jest to — westchnęła wstydliwie — że byłam już gotowa powiedzieć mu „tak”.

— Biedny człowiek! — pożałował go Peter.

— Nie żałuj go, Peterze — mówiła Goldie. — Ten człowiek tego nie wart. On nie wie, co to znaczy uczucie. Nie traktuje miłości tak jak ja, albo ty. Mam dziwne przekonanie, że jakieś uboczne cele wchodziły tu w grę. On jest zdolny do tego. Przyszedłeś jeszcze w porę, mój drogi Peterze.

Peter objął ją i przygarnął do piersi.

— Może lepiej więc będzie, jeśli ja z nim pomówię? Wytłumaczę mu to jakoś i od razu mu oświadczę, jak się rzecz przedstawia.

— Pomówimy z nim oboje — zaśmiała się Goldie. Ale jej uśmiech był nieszczerzy, Peter to wyczuł. — Bardzo bym pragnęła, by to wszystko już przeszło.

Zaledwie to wyrzekła, zabrzmiał donośnie dzwonek u drzwi. Goldie pobladła nagle. Peter nawet myślał, że za chwilę zemdleje.

— Nie pokazuj mu się nawet — rzekł do niej. — Nie jesteś teraz zdolna do takich emocji. Zostaw to mnie. Ja sam to załatwię.

Ale Goldie nie dała się tak łatwo przekonać.

— Co byś o mnie myślał, gdybym to zwałała na ciebie? — spytała urażona. — To byłoby tchórzostwem. Nie, mój kochany, nie zgodzę się na to. Ale możesz iść ze mną — dodała po chwili. — Gdybym oświadczyła mu to sama, to zapewne nie uwierzyłby, że mówię prawdę.

— Dobrze — rzekł Peter, podnosząc się z krzesła. Goldie jeszcze raz przygładziła włosy.

W tej chwili służący otworzył drzwi.

— Mr. Baronford — anonsował — czy mogę go poprosić?

— Nie, Wilsonie, wolę pójść na dół. — Spojrzała na Petera. — Chodźmy, Peterze. Im prędzej, tym lepiej. Niech ta nudna sprawa zakończy się wreszcie.

Wilson się zdumiał. Wybałuszył nawet oczy, otwierając im drzwi. Gdy po chwili na schodach spojrzał w ich stronę i dostrzegł, że oboje trzymają się za ręce, nie zdołał się powstrzymać od lekkiego mruknięcia. Był całkiem zaskoczony.

Kiedy weszli do pokoju, w którym siedział Baronford, jeszcze ciągle, jak dzieci, trzymali się za ręce.

Baronford się poderwał, gdy drzwi się otworzyły, podbiegł nawet naprzód, ale nagle przystanął i spojrzał na nich. Jakiś cień podejrzenia przemknął mu po twarzy.

Goldie podeszła pierwsza. Jej głos brzmiał silnie i stanowczo:

— To mój przyjaciel, panie Baronford; pan Peter Tregassa. Powrócił tu przed chwilą aż z dalekiej Kanady i... pragnie mnie poślubić.

— Naprawdę? — rzekł Baronford, mierząc Petera.

— Zasłużył na pochwałę — dopowiedział drwiąco. — Ale jak to się stało? — dodał, zaskoczony. — Kto się tym zajął?

Goldie uderzyła krew do policzków.

— Niech pan go o to spyta — odrzekła spokojnie. Baronford się zaśmiał. Nie spojrzał już w kierunku Petera.

— Łatwo się domyślić — dorzucił po chwili. — To dzieło Lady Templeton. Proszę i w moim imieniu powinszować jej sukcesu.

— Matka nie zajmowała się tą sprawą — oświadczyła Goldie. — Pan Tregassa tu przyjechał zupełnie dobrowolnie.

— Spojrzała na Petera. — Czy nie tak, Peterze? Powiedz to panu.

Peter podszedł do przodu.

— Nikt mnie nie naglił — rzekł krótko. — Wróciłem dziś z Kanady zupełnie dobrowolnie.

— Na zaproszenie Lady Templeton — zaśmiał się Baronford. Peter milczał.

Goldie patrzyła nań ciekawie.

— Mniejsza zresztą o to, jak to się stało. Niech wystarczy nam na razie, że ja i pan Peter od dziesięciu prawie lat jesteśmy przyjaciółmi i że zamierzamy obecnie połączyć się ślubem.

Baronford zaśmiał się drwiąco.

— Od dziesięciu lat? — zawołał zgryźliwie. — A gdzież on panią poznał? Czy nie przypadkiem w kołysce.

Winszuję pani z serca, winszuję, panno Goldie. I mamusi tak samo. Ona na pewno brała udział w tej świetnej transakcji. Ale powinszuję jeszcze raz. Przecież zaprosi mnie pani na ceremonię jej ślubu? Jeszcze tylko dodam, że ślub mój z Wirginią odbędzie się trzydziestego. Zapraszam panią również. I właśnie dziś przyszedłem, by oświadczyć to pani. Żegnam panią teraz, żegnam panno Goldie. Jeszcze raz jej winszuję świetnego sukcesu.

Skłonił się lekko i szybkim ruchem skierował się ku drzwiom. Po chwili wyszedł.

Goldie była blada; cała drżała. Podbiegła do Petera i chwyciła go za ramię.

— Czyja nie oszalałam? — spytała go nagle. — Czasem mi się zdaje, że naprawdę jakiś diabeł opętał mi myśli.

— Nic ci nie jest — śmiał się Peter.

— Ale czemu on tak ciągle wspominał o mamie? — pytała Goldie. — Przecież ona w tym naprawdę nie brała udziału.

Peter się zawahał.

— Była dla mnie bardzo dobra — odrzekł po chwili. — Opowiedziałem jej raz, jak bardzo cię Kocham i domyśliła się zapewne, że pragnę cię poślubić. W jednym z listów, który dostałem ostatnio, zawiadomiła mnie wreszcie, że obecnie jest pora. Teraz, albo nigdy!

— Kochana mamusia! — zaśmiała się Goldie.

— Naprawdę kochana — przytaknął Peter.

— Teraz wróćmy na górę — zaproponowała mu Goldie. — Napijemy się herbatki. Umieram po prostu z wielkiego pragnienia.

— Chodźmy — rzekł Peter, całując ją nagle. — Albo pobiegnijmy, jak masz chęć. Kto będzie pierwszy, dostanie całusa.

Towarzysz urlopu

Marcja wyjechała do Pentreith. Powodów było kilka. Przede wszystkim Peter miał objąć swój zamek, gdyż termin dzierżawy w tym miesiącu wygasał, zaś Eryk był chory i nie mógł zająć się wszystkim. Jednak zawsze było lepiej, gdy znajdował się w pobliżu; Peter mógł zasięgnąć niejednej porady. Ponieważ Goldie upierała się, aby ślub jej odbył się wspólnie z ceremonią dwudziestopięcioletniej rocznicy ślubu jej rodziców, zgodzono się na to, by nie sprawić jej przykrości. Bezpośrednio potem Peter miał objąć zamek Tregassa. Ale poprzednio pojechał do Eryka do Martinworth i sprowadził go do Pentreith w towarzystwie Bellamy'ego. Ponieważ zamek jeszcze był zajęty przez dzierżawców, umieścił go w domku, który zajmowali już niegdyś. Było to zresztą jedno z życzeń chorego Eryka. Zawsze marzył, by znaleźć się jeszcze na pięknym wybrzeżu skalistej Kornwalii. Tego zaś roku, dzięki dziwnie pomyślnie składającym się wypadkom, jego życzeniu stało się zadość.

Peter oczywiście niebawem odjechał — miał mnóstwo spraw przed ślubem w Londynie. Eryk pozostał pod opieką Dana. Poczciwy ten człowiek nie zachwycał się zbytnio położeniem Pentreith. Nie lubił skał i nie lubił morza. Ale w końcu się oswoił, a gdy wreszcie i Marcja zjawiała się w dworku — korzystając z siedmiodniowej swobody — niedobry jego humor tak znacznie się poprawił, że nie wspominał już nawet o swoich uprzedzeniach.

Tego właśnie dnia Eryk i Marcja odpoczywali w ogrodzie.

— Czy więc istotnie masz zamiar powrócić do Martinworth? — spytała go Marcja.

— Jeszcze nie wiem — odrzekł z widoczną goryczą. — Trudno w takim stanie decydować coś naprzód. Każdy twój urlop tak bardzo mnie zaprzęta, że każda z moich spraw traci swą ważność. Gdy uda mi się przetrwać naszą nową rozłąkę, bo czymże jest ten tydzień wobec roku czekania, możliwe, że zostanę, gdy przyjedzie tu Webb. Bo Dan musi wrócić. Jeśli zrobię to nawet, to z uwagi na Petera. On bardzo pragnie, bym przebywał w pobliżu. Szczególnie zaś teraz, gdy już wkrótce ma objąć dziedziczną posiadłość. Dotychczasowi dzierżawcy zamierzają tam zostać do dwudziestego dziewiątego. Najtrudniejsza jednak sprawa rozpocznie się potem. Peter jest za młody i za mało doświadczony. Nie może być zdany na siebie tylko.

— Szczerze ci doradzam, byś zdecydował się zostać — odezwała się Marcja. — Ten pobyt i na ciebie może wpłynąć korzystnie.

— Bardzo wątpię, czy tu wytrzymam bez ciebie — odrzekł apatycznie.

Przechyliła się ku niemu; spojrzała mu w twarz.

— Przesadzasz, mój drogi. Przecież nie można tak wiecznie poddawać się apatii. Miło jest u ciebie, naprawdę miło. Bardzo się cieszę, że jestem tu znowu. Czy pamiętasz jeszcze tę noc, gdy przyszłam tu, szukając pomocy? Była mgła, burza i zabłądziłam wśród bagien.

— O wszystkim pamiętam — odrzekł z westchnieniem. Spojrzała przed siebie na odległe torfowiska. Czerwieniły się właśnie w łunie zachodu.

— Trudno mi uwierzyć, że już dziesięć lat minęło — rzekła po chwili. — Spójrz na te ptaki. To zapewne te same, co wtedy tu latały.

Eryk się zaśmiał.

— A co powiesz o nas? — spytał ze smutkiem. — Czy w nas się także nic nie zmieniło?

Potrząsnęła głową.

— Musiało się coś zmienić — odrzekła z wahaniem. Jakaś myśl ją tknęła, by rzucić ten temat.

— Powiedz coś o sobie — dodała po chwili. — Jak się teraz czujesz? Czy choroba jeszcze ciągle nic nie ustąpiła?

— Nie wiem — odrzekł, nie patrząc jej w oczy. — Przypuszczam, że nie. Nie wzywam już lekarzy do siebie.

Przestałem wierzyć, aby mogli mi pomóc.

Sięgnęła po stojący na tacy czajnik. Twarz jej miała wyraz smutku.

— Nie powinno się przedwcześnie rezygnować z nadziei. Nalała mu herbaty.

— A ty ją jeszcze masz? — zapytał.

— Oczywiście, że mam — odrzekła stanowczo. — Jesteś młody, odporny, masz silny organizm. Nie mogę uwierzyć, byś skończyć miał z życiem. Od pierwszej niemal chwili mam silną wiarę, że wybrniesz z choroby.

— Byłaś i jesteś niepoprawną optymistką — odezwał się Eryk. — Wyznaję ci szczerze, że niejednokrotnie potrafiłaś przekonać mnie nawet.

— Doprawdy? — spytała. — Powiem ci, dlaczego. Oto dlatego zapewne, że przekonując cię o czymś, byłam sama zapewne o tej rzeczy przekonana.

— Nawet teraz, Marcjo? — zapytał z ironią. — Po dziesięciu latach? Spojrzał jej w twarz, ale wyraźnie już złagodniał.

Skinęła głową.

— Tak jest — odrzekła — po dziesięciu latach. I doradzam ci szczerze, byś ponownie zasięgnął porady chirurga.

— Czy po to, aby orzekł, że już wkrótce mam umrzeć?

— Nie obawiaj się, Eryku, on nie powie ci tego. — Mówiła szczerze, jakby z głębi przekonania. — Najgorsze już przetrwałaś. Objawy zaś wskazują, że sprawa nie wygląda tak zgoła beznadziejnie. Jeszcze na pewno się znajdzie odpowiednia kuracja; to przecież niemożliwe, aby nie potrafiono wyleczyć takiej choroby, jak twoja.

— Dlaczego niemożliwe? — spytał zdumiony. — Tysiące pacjentów, nawet młodszych ode mnie i zapewne silniejszych, cierpi podobnie, a lekarze są bezradni i nie mogą im pomóc. Dlaczego ja jeden miałbym być wyjątkiem?

Mówił to z zapalem, ale głos miał ściszony i smutny. Nie wiedziała, czy mówi z przekonania. Ale przemknęło jej przez głowę, że mówił tak jak ktoś, kto czeka tylko chwili, by obalono jego zdanie.

Nie obaliła go jednakże; powtórzyła jeszcze raz swe niezłomne przekonanie.

— Trudno ci coś odrzec na to dziwne pytanie. Ale wierzę w to, co

mówię i mam szczerze przekonanie, że możesz być wyjątkiem. Tylko musisz się dźwignąć; nie możesz tak trwać w tej ciągłej apatii.

— Aby sprawić ci przyjemność? — zapytał półzartem. Spojrzała mu w twarz.

— ^{Tak} — odrzekła — aby sprawić mi przyjemność. Zapominasz, że są jeszcze inni, którym sprawiłoby to radość.

Odsunął filiżankę i sięgnął po papierosa.

— Czy naprawdę tego pragniesz, bym powrócił do zdrowia?

— Przecież mówię o tym właśnie — zaśmiała się lekko.

— Ale nie mówisz mi, dlaczego? — odrzekł zmieszany. — Chciałbym tylko wiedzieć, czy moje zdrowie ma istotnie wartość dla ciebie?

— Ogromną — odrzekła, podnosząc nań oczy. — O wiele nawet większą, niż mogłabym powiedzieć.

Jego twarz rozjaśniła się.

— Aż tak? — zapytał. Zaśmiała się lekko, usta jej drżały.

— To największe z moich życzeń — dodała półszepem. — Nie wyobrażasz sobie nawet, jak cierpię przez ciebie.

Gdy pomyślę czasem o tym, że i ja w tym wypadku ponoszę pewną winę, że w duchu, być może, zarzucasz mi to nawet...

— Przestań! — krzyknął, nie dając jej skończyć. — Nie dyskutujmy na ten temat. Ale czy dlatego tylko pragniesz, abym powrócił do zdrowia?

Wyciągnęła doń rękę.

— Mój drogi! — wyjąkała jakby w niemym proteście. Pochwycił jej dłoń.

— Jesteś boska, Marcjo — rzekł z uwielbieniem. — Tylko jeden tydzień poświęcasz mi w roku, za każdym jednak razem, zanim się to stanie, umieram z niecierpliwości, czy nie ujrzę cię zmienioną. A potem, gdy się zjawisz, gdy dostrzegam cię tę samą, taką cudną, dobrą' życzliwą, promienną... — urwał znenacka. — Nie mogę tego pojąć, że to wszystko jest prawdą. Jesteś, Marcjo, kobietą bez rywalki. Żadna by w tym względzie nie mogła ci dorównać.

— Nie przesadzaj, Eryku — zaśmiała się Marcja. — To wytwór fantazji. Teraz zapal papierosa i mówmy o czym innym. Należę ci jeszcze herbaty.

Zajęła się herbatą, zaś Eryk tymczasem patrząc na nią, palił.

— Dziwne — rzekł — gdy zastanawiam się nad tym, jakoś trudno mi pojąć, że Peter już wkrótce będzie mężem twojej córki. A jakże rodzina? Czy przezacni jej członkowie pochwalają ten związek?

Marcja zaśmiała się.

— Muszą go pochwalać — powiedziała szczerze. — Prawdę bowiem mówiąc, to ja się przede wszystkim przysłużyłam tej sprawie. Nikt by wobec tego nie ośmielił się nawet wystąpić z protestem.

Teraz Eryk z kolei roześmiał się.

— Przepraszam! — zawołał — zapomniałem zupełnie, że tak wielkie masz znaczenie. Ale dlaczego się nie postarałaś, by ślub młodych mógł odbyć się wcześniej?

— O to właśnie chodzi — zawahała się Marcja. — Ale to Goldie przede wszystkim uparła się przy tym.

— Chce go wygłodzić — zaśmiał się Eryk. — No, tak — dorzucił. — To podobne do niej.

— Ach, nie bądź tak złośliwy! — zachnęła się Marcja. — Ona ma inny powód, nawet dość osobliwy. Fantazyjka, co prawda, ale sympatyczna.

— Cóż to takiego?

Marcja, zmieszana, zawahała się ponownie.

— Pragniesz się dowiedzieć? — rzekła po chwili. — Otóż powiem ci zaraz, tylko nie śmiej się, proszę. Koniecznie chce się ubrać w srebrzystą sukienkę. I nawet drużkom poleciła tak samo się przystroić. Nalega też, abym i ja ubrała się w taką suknię ze srebra.

— Nie widzę powodu — zdumiał się Eryk. Marcja ponownie zaśmiała się lekko.

— Wytlumaczę ci go zaraz — rzekła zmieszana. — Otóż cała ta uroczystość będzie podwójnym srebrnym weselem: jej i moim.

— Twoim? — wykrzyknął.

Pochyliła głowę. Twarz jej znalazła się w cieniu.

— Moim — odrzekła. — Moim srebrnym weselem.

Poderwał się, jakby nagle jakaś myśl przeszła mu mózg, ale opanował się szybko i opadł ponownie na oparcie fotela.

— Niemożliwe! — wyjąkał. — Więc obchodzisz już naprawdę srebrne wesele? Z tak młodym wyglądem, z tak kwitnącą cerą?

Marcja westchnęła.

— Czas mi już zarzucić pretensje do młodości. — Spojrzała mu w twarz. — Nawet wobec ciebie, Eryku, nie mogę już obecnie udawać młodej.

Nie odrzekł nic na to. Marcja powstała, by odnieść nakrycie. Gdy po chwili wróciła, ozwał się nagle:

— Pocałuj mnie, Marcjo!

Pochyliła się nad nim, tak jak niegdyś, przed laty i usta ich zetknęły się. Objął ją ramieniem i przygarnął do piersi.

— Wybacz mi — wyszeptał, jakby walcząc ze słowami — jeśli kiedykolwiek w moim życiu żądałem za wiele.

Ujęła jego głowę i spojrzała mu w twarz.

— Towarzyszu mój drogi, mój jedyny przyjacielu! Zapadł zmrok.

Jakiś dziwny smutek zawisł nad światem.

Cudowne uzdrowienie

Przez cały niemal tydzień spędzali godziny na słonecznej plaży. Nastrój Eryka ulegał poprawie. Przykuty do wózka, w którym stale przebywał, kazał się odwozić do zakątka obok skał, gdzie dziesięć lat temu Dennis się wybrał na mewy. Marcja lubiła ten cichy zakątek. Ale podczas rozmów nie wspomniano zazwyczaj o minionych dniach.

Woleli ich pamięć przeżywać milcząco. Pogoda sprzyjała; było cicho, słonecznie i tylko rzadko od morza zrywał się wiatr. Przynosili czasem książki; wtedy czytali je wspólnie i rozmawiali potem o nich.

Często się zdarzało, że Marcja zabierała szkicownik i ołówek. Rysowała wtedy pilnie, zaś każdy z jej szkiców był miłym podarkiem do zbiorów Eryka.

Podczas jednej z takich scen — było to już ostatniego dnia pobytu w Pentreith — usłyszeli za sobą dudnienie kopyt. Odwrócili się i dostrzegli w oddali parę jeźdźców. Towarzyszyły im w drodze rasowe psy: jeden alzaczek, drugi wilczur. Myśleli początkowo, że to goście dzierżawcy, który mieszkał w Tregassie. Ale gdy jeźdźcy się zbliżyli, Marcja znienacka pobladła jak płótno.

Eryk to spostrzegł i zapytał:

— Pobladłaś, Marcjo. Cóż cię wprawilo w tak dziwny niepokój? Zaśmiała się, nie podnosząc jednakże oczu na niego.

— Nic — odrzekła, pochylona nad szkicem. Zakreślała bezmyślnie kreski ołówkiem. — Ale znam tych dwoje. Ciekawa nawet jestem, czy mnie mogli rozpoznać.

— Cóż to za ludzie? — dopytywał się Eryk.

— On to niejaki Maurice Baronford. Zabiegał swego czasu o rękę Goldie. Towarzysząca mu kobieta jest obecnie jego żoną. Pobrali się niedawno, z końcem lata. Jej nazwisko panińskie jest Wirginia Freeman. Zaliczała się niegdyś do mych dobrych przyjaciółek.

— Niegdyś? — powtórzył, uśmiechając się z lekka. — To daje do myślenia. Bo jeśli była nią niegdyś, to na pewno w tej chwili nie spojrzała na ciebie. Ale czy sądzisz, że mogła cię dostrzec?

— Nie wiem — odrzekła, pokonując niepokój. Jej oczy podażyły w kierunku szosy; jeźdźcy w tej chwili już byli w oddali. — Szkoda o tym myśleć — dodała po chwili. — Jeśli spostrzegła mnie nawet, to już i tak tej rzeczy obecnie nie zmienię.

— A jeśli cię dostrzegła?

Marcja ponownie wróciła do szkicu. Narysowała parę kresek i rzuciła szkicownik.

— Faktem jest jednak, że ten człowiek istotnie nappełnił mnie lękiem. Może się zemścić.

— Za co? — zapytał. Zawahała się chwilę.

— Bo zniweczyłam jego plany — odrzekła po namyśle. — Tacy ludzie jak on, i sędziowie w dodatku, nie puszczają płazem, gdy popsuje im się szyki. Oni lubią to pamiętać!

Eryk zdziwił się.

— Czy naprawdę tak strasznie zakochał się w Goldie?

— Nie — odrzekła, ocknąwszy się zaraz. — On nie potrafiłby pokochać; za mało ma kultury. Pożądał jej tylko.

— Rozumiem — zawołał. — A mamusia to przeczuła i kazała mu się wynieść. Czy tak się rzecz miała?

— Mniej więcej — odrzekła, opuszczając powieki.

— Więc możesz być spokojna — ozwał się Eryk. — Taki odpalony wielbiciel nie lubi zazwyczaj spoglądać na pogromców. A jeśli nawet spojrzał, to nie poznał cię zapewne w tym stroju pielęgniarzki.

— Nie wiem — odrzekła, pogrążając się w myślach. Eryk delikatnie poklepał jej dłoń.

— I czemu się martwisz? — zapytał po chwili. — Nie myśl o tym. Nawet w najgorszym wypadku masz wyjście i ucieczkę. Powinnaś o tym wiedzieć.

Nie obróciła się do niego. Podjęła na nowo rzucony szkicownik. — Za daleko już zaszłam, by szukać teraz wyjścia — odrzekła z goryczą.

Nazajutrz wyjechała.

Po południu tego dnia Eryk został sam. Oparł się na fotelu i spojrzał przed siebie. Świat wydał mu się straszliwą pustką. Niebo było szare, pokryte chmurami, torfowiska rozmokłe, morze wzburzone, przejmujące swą grozą. Jakiś smutek bez nadziei rozsuwał się w mgłach.

Godziny się wlokły leniwie, bez treści. Od skał do morza przeciągał wiatr, pokrywając wybrzeże wilgotnym ziębem. Ale Eryk czuł się stosunkowo dobrze. Odpowiadał mu ten mrok i szarość krajobrazu. Nie zniósłby dziś słońca, ani jasności błękitów i nie myślał też o tym, aby zasiąść przy kominku. Poleciał Danowi, aby zjawił się o czwartej, podejrzewał jednak, że się ukrył w pobliżu. Za dobrze go znał, by mógł myśleć inaczej. Wystarczyło tylko gwizdnąć, a byłby się zjawił.

Ale Eryk jeszcze zwlekał. Przetrawiał swe myśli i nie chciał w tej chwili mieć świadka zadumy. Nie chciał też litości. Znienawidził ludzi i obłudę ich spojrzeń i tylko jedna istota zawładnęła jego duszą. Ale Marcji już nie było.

Przywołały ją do miasta ciężące na niej zawsze obowiązki domowe.

Wiedział, że ją kocha. Ale wierzył też niezłomnie, że ta wielka jego miłość — ta niepojęta niemal moc, której nie mógł w sobie stłumić — jest czyns zgoła drugorzędnym pośród zjawisk jej życia. Były w nim momenty, które żywiej i bardziej pociągały jej duszę. Wiedział tyle tylko, że Marcja go lubi. Nie obudził w niej jednakże uczucia głębszego; jego miłość ją ujęła, lecz nie zdołała jej porwać. Gdyby kochała go prawdziwie, nie potrafiłaby w tej chwili zostawić go samego. Wiedząc zwłaszcza o tym, że i duchowo i cieleśnie jest zupełnie załamany.

Dan to rozumiał. Od chwili jej wyjazdu miał dziwne politowanie w wyrazie swej twarzy. Eryk tego nie zniósł, nie mógł na to patrzeć; jeśli odesłał go uprzednio, to dlatego przede wszystkim, aby nie widzieć współczucia. Po co się litować, gdy nie można komuś pomóc? Dan był bardzo uczuciowy. A Eryk w tej chwili był nadto zgorzkniały. Nie potrafił znieść, by ktoś mu współczuł. Niebo jeszcze ciężiej pokryło się

chmurami. Jeszcze nigdy może w życiu nie ogarnęło go poczucie tak strasznej samotności.

- Boże! — wyjąkał. Poczul słoną, staczającą się łzę. — Przywróć mi zdrowie!... Przywróć, jeśli możesz... Co ona powie, gdy dowie się o tym?

Co ona powie? Nic szczególnego: „O drogi mój Eryku, jakże się cieszę!” Potem obejmie go ramieniem i przytuli do piersi. Przypomnił sobie teraz, jak rzekła mu w szpitalu, gdy budynek się już walił od bomb nieprzyjacielskich: „Proszę się nie lękać, Bóg jest z nami!” Czy to naprawdę tylko obowiązek przywołał ją do niego?

Na dole tymczasem rozpoczynał się przyływ; zatoka coraz wyżej napełniała się wodą. Lubił ten widok kipiących fal; ich łomot, ryk i świst kłębowiska w pieniającej się topieli. Przypominało mu to życie; w jednej chwili pełnia, w drugiej zaś pustka. Zastanawiał go jednak porządek tych zjawisk: odmiennie niż w życiu, nie było tu miejsca na żadne półśrodki.

Krajobraz dokoła otoczył się mgłą. Zapadł już wieczór. Pomyślał

o Marcji. Siedzi teraz pewnie w wagonie ekspresu i patrzy przez okno.

i ona ogląda ten smutny wieczór. Może myśli teraz o nim i współczuje mu nawet, że został sam? A współczucie Marcji koilo go zawsze. Przymknął jej rano — musiał to zrobić na usilne jej żądanie — że wróci tego dnia nieco wcześniej do domu. Ale tyle dziś przecierpiał, że zapomniał o złożonej obietnicy. Zaraz to naprawi. Zawezwie Dana. Zwinął już usta, by gwizdnąć na niego, gdy zniemacka usłyszał jakiś odgłos. Jednocześnie ktoś zawołał donośnie, co brzmiało tak, jakby padł jakiś rozkaz.

Po chwili usłyszał ujadanie psów. Szczekały głośno i rzuciły się na fotel. Momentalnie zrozumiał, co mu zagraża. Odczuł wstrząs, jakby ktoś nim podrzucił, w następnej zaś chwili fotel na swych kołach począł staczać się po zboczu. Przyśpieszając coraz bardziej zjeżdżał po stoku, ku krawędziom skał, widniejących opodal.

Niebezpieczeństwo jak lawina urastało coraz bardziej. Eryk począł drżeć, był pewny, że zginie. W tej samej jednak chwili instynkt samozachowawczy — tak znikomy do niedawna — ozwał się w nim nagle. Eryk chciał żyć, koniecznie chciał żyć. To pragnienie jak pło-

mień ogarnęło mu duszę. Chwycił bezwiednie osie toczących się kół. Chciał je zatrzymać w biegu. Ale szalony ten wysiłek nie dał rezultatu. Zdawał sobie sprawę, że stacza się jak kamień ku gardzieli przepaści. Był całkiem przytomny. Przypomniawszy sobie teraz, że i przyplływ się zbliża. Jeśli nie roztrzaska się o skały, to pochłonie go topiel. Pociemniało mu w oczach. Nad głową przeraźliwie wrzeszczały mewy. Morze i wiatr dopełniały swym skowytym tę okropną symfonię.

Wykręcił się w fotelu i dźwignął się w górę. Stawy w nim jęknęły, jak wiazadła zbroi pordzewiałej z nieużytku. Ból, który odczuł, był tak straszny i gwałtowny, że krzyknął przeraźliwie, rozwierając oczy obłąkane z przestachu. Gdy po chwili oprzytomniał, leżał na ziemi. Wskoczył z fotela.

— O, Boże! — wyjąkał — o, Boże Mocny!

Szarpnął się gwałtownie i oniemiał z podziwu odczuł nagle władzę w kolanach. Dźwignął się i kolana sprostały ciężarowi jego ciała. Gdy po chwili powstał, dwaj mężczyźni podbiegli ku niemu. Jednym był Dan, drugim ów jeździec, dostrzeżony przez Marcję.

Wyprężył ramiona i spojrzał ku górze.

— O, Boże! — zawołał, pokonując wzruszenie. — Oto twój cud!... Oto twoja łaska, wyblągana mi przez nią!...

Parę kroków dalej, wzywały spośród szczątek fotela powykrzywiane koła.

Ślub

Gdy osiemnastego października Marcja w zakrystii rozmawiała z panią Barrowdale, zjawił się zniecka Dennis w pobliżu. Podszedł do matki i poprosił ją na bok.

— Mamo! — zawołał, gdy znaleźli się sami. — Czy możesz na chwilę pomówić z Peterem? Jest dziwnie niespokojny i nie wiem, co mu jest. Powiedział mi tylko, że chce z tobą mówić.

Marcja pobladała.

— Ależ oczywiście — rzekła, kryjąc niepokój. — Gdzie on jest?

— Obok drzwi do zakrystii — odrzekł Dennis.

Marcja poszła. Minęła po drodze nawę kościoła. W kościele było pełno; roiło się po prostu od znajomych i przyjaciół. Dostrzegła wśród tłumu twarz Wirginii. Siedziała w pobliżu, w jednej z ławek. Tuż obok niej znajdował się Baronford.

Dostrzegł ją również. Marcja drgnęła, ale okryła swój niepokój udanym uśmiechem. Odczuła pewien lęk przed spojrzeniem Baronforda. Wydał jej się teraz okrutny, zimny, nieubłagany, czający się. Z pozostałej jego twarzy wyczierała zdradliwie żądza odwetu. Myśl, że tak niedawno chciał opętać jej córkę, napełniła ją w tej chwili uczuciem przerażenia. Zdumiała się w duchu, że Wirginia do tej pory nie zdołała go przeniknąć. Ale Wirginia była inna. Kobieta bez polotu, zanadto praktyczna. Temperament Goldie — jej nadmiar uczucia — był gwałtownym przeciwieństwem charakteru Wirginii. Po chwili znalazła Petera pod drzwiami. Już z oddali spostrzegła, że objawiał niepokój.

Gdy podeszła bliżej, zagrzmiały na szczęście dźwięki organów; mogła z nim mówić, nie myśląc o tym, by ktoś ich nie podsłuchał. Podała mu rękę.

— I cóż, Peterze? — zapytała niespokojnie. — Jakże się czujesz? Goldie już za chwilę również tu będzie. Jest zupełnie spokojna i w świetnym humorze.

— Obawiam się — odrzekł — że jej humor się popsuje. — Uścisnął jej dłoń i spojrzał jej w oczy. — Mam niemiłą nowinę. Tylko proszę się nie lękać. Pani musi mi przyrzec, że zachowa równowagę.

Marcja zrozumiała, że czekają zapewne jakaś przykra niespodzianka. Pobladła momentalnie, ale po chwili odzyskała panowanie nad nerwami.

— Cóż się więc stało? — spytała spokojnie. Zawahał się na chwilę, ale wreszcie powiedział:

— Chodzi o Eryka. Będzie tu dzisiaj na przyjęciu weselnym. Tylko proszę się nie zdumieć, gdy go pani zobaczy. Prosił mnie nagląco, abym przygotował panią na to, że się zjawi osobiście. Nie miał już możliwości zawiadomić panią o tym. A rozmów przez telefon nie chciał prowadzić.

— Eryk? — zawołała, nie dowierzając jego słowom. — Przecież Eryk jest w Pentreith. Na pewno tam jest.

Otrzymałam nawet właśnie list od Eryka.

— Wiem — rzekł Peter, widocznie zmieszany. — I dziwi mnie to bardzo, że nie wspomniał pani o tym. Powinien był to zrobić. Jeśli o mnie jednak chodzi, to nawet przez myśl mi nie przeszło, że się zechce tu zjawić. Ale on się upiera. Powiedział mi wyraźnie, że ma powód ku temu. I prosił mnie usilnie, bym zawiadomił panią o tym. Ten człowiek istotnie zbyt wiele ryzykuje. Ale cóż mu mogę pomóc? To jest jego sprawa; nie mieszam się do niej.

Marcję ponownie ogarnął niepokój. Myśl o wypadkach, które mogły się wydarzyć, tak bardzo ją przejęła i wstrząsnęła jej nerwami, że zapomniała na chwilę o istnieniu Goldie. Myślała tylko o tym, jak wybrnąć z opresji.

— Cóż mi powiesz jeszcze? — spytała po chwili. Peter ją powiódł pod pobliski filar i pochyliwszy się nad nią, rzekł szeptem:

— W dniu pani wyjazdu miał ciężki wypadek w pobliżu wybrzeża. Nie było mnie wtedy, ale słyszałem od ludzi, że niewiele już brakowało,

a przyplaciłby go życiem. Wstrząs spowodowany tym nagłym wzruszeniem tak silnie nań podziałał, że sprawił to, czego od dawna na darmo spodziewali się lekarze. Postawił go na nogi. Eryk od tej pory zupełnie wyzdrowiał.

— Wyzdrowiał? — krzyknęła, nie mogąc się powstrzymać. — Co mówisz, Peterze... Eryk wyzdrowiał?

— Wyzdrowiał — odparł, patrząc jej w oczy. — Ale nie powinien jeszcze teraz nadwierać się zbytnio. Jest bardzo zgnębiony. Oświadczył mi raz, że nie zostawi pani samej, gdy zagraża jej niebezpieczeństwo. Ale szczegółów nie wyjawiał. Nie wiem zupełnie, o co mu chodzi.

Marcji się wydało, że ziemia rozstępuje się pod nią. Zamilkła i oparłszy się o filar, wsłuchiwała się w organy, które brzmiały nieprzerwanie. Pociemniało jej w oczach. Gdyby nie dłoń Petera, który podtrzymywał ją silnie i bliskość słupa, na którym się wsparła, nie utrzymałaby się teraz i musiałaby upaść. Ale niebawem się ocknęła. Pokonała zamroczenie, które zaćmiło jej zmysły i po chwili ponownie odzyskała równowagę.

— A więc dobrze! — zawołała, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia swych słów. — Nie wyolbrzymiajmy na razie tych niepozornych drobnostek, Ale rozumiem twój niepokój i bardzo ci dziękuję za okazaną mi troskliwość. Teraz pora nam iść, Goldie już zapewne za chwilę się zjawi.

Ruszyli niezwłocznie, a serce Marcji uderzało jak młot. Nie zdawała sobie sprawy, czy podtrzymują ją nogi. Unosiła się prawie, nieświadoma swych kroków, ale mimo przeżytego szoku, wyniośle i z uśmiechem przeszła obok ław, zwłaszcza zaś w miejscu, gdzie siedzieli Baronfordowie. Zamieniła parę słów ze spotkanymi przyjaciółmi i uścisnęła im dłonie. Potem szybko poszła naprzód, gdyż właśnie w tej chwili zjawiła się Goldie.

Rozległ się marsz i wszyscy zebrani powstali ze swych miejsc. Środkiem przechodził orszak weselny. Goldie i jej družki, wszystkie trzymające bukiety goździków, wyglądały jak nimfy w swych srebrnych sukienkach. Peter był błądy i dziwnie zmieszany. Na końcu podążali Everard i Marcja.

Orszak przystanął u stopni ołtarza. Kapłan odmówił uroczystą modlitwę, po czym Goldie i Peter uklękli przed ołtarzem i złożyli przysięgę.

Na górze, na galerii zaczął śpiewać chór.

Marcja w tej chwili pobrała nagle. Zatoczyła się lekko, jakby niepewna swych sił, ale Everard ją podtrzymał i ścisnął jej ramię. Odczuła wprawdzie ulgę, ale dręcząca ją obawa jeszcze się wzmogła.

Everard to dostrzegł i pochylił się nad nią.

— Wytrzymaj, Marcjo, to przeminie już wkrótce.

Jego życzliwe słowa podtrzymały ją nieco. Uśmiechnęła się lekko, ale zrobiła to dla ludzi, dla nie spuszczonej jej z oka, obserwującej ją gawiedzi. Próbowwała się uwolnić, lecz dostrzegła zdumiona, że Everard jeszcze ciągle trzyma ją silnie.

Nie spojrzała na niego; nie mogła się zdobyć. Miała dziwne wrażenie, że stanął jak tarcza między nią a obcymi. Była strasznie zgnębiona, bolało ją serce. Przeczuwała, że ten ból i jej męża nawiedzi niedługo.

Weselny gość

Goście już dawno zebrali się w salonie, bawiąc się, żartując i wznosząc toasty, gdy nagle pojawił się Wilson na progu.

— Major Morven — zameldował. Goldie odruchowo podskoczyła na krześle.

— Doprawdy? — krzyknęła. — Jak to, Peterze, nawet nie wspomniałeś mi o tym? Byłam zupełnie niemal pewna, że przebywa w Tregassie.

— Był tam do niedawna — odezwał się Baronford, który siedział za nią — ale, podobnie jak i ja, nie potrafił widocznie ominąć tej okazji.

Goldie spojrzała nań, jakby karcąc go wzrokiem, że odważył się wtrącić. Baronford uśmiechnął się. Wirginia zaś zaśmiała się głośno.

— Oczywiście, że tam był — powtórzyła za mężem. — Widzieliśmy go nawet przed tygodniem czy dwoma. Był chory widocznie. Leżał na fotelu. Ale nie był wtedy sam. Jakaś piękna pielęgniarka krzątała się przy nim.

Goldie spojrzała wyraźnie zdumiona. Była dziwnie zła. Nie rozzłościła jej wiadomość, którą właśnie usłyszała, lecz forma i ton, w którym została jej podana. Peter po kryjomu uściskał jej rękę. Obróciła się zatem, jakby nie czekając już teraz jakichś dalszych informacji.

— To dziwne, jak ludzie lubują się w plotkach — rzekła po chwili. — Gdzie on jest jednak? Dlaczego jeszcze dotąd nie wprowadzono go tutaj?

— Już się rozstał ze swym fotelem — mówił Baronford. — Wyzdrowiał nagle i sam to nawet nazwał cudownym uzdrowieniem. Nie słyszała pani o tym? Nic pani nie wie?

— Wiem — odrzekła, nie patrząc mu w twarz. — Niepotrzebnie się pan trudzi. Wiem o wszystkim.

— Nawet nazwisko pielęgniarki? — zaśmiał się Baronford. Goldie nie odpowiedziała, gdyż zajęło ją w tej chwili zachowanie się

matki. Marcja podniosła się i stanęła jak posąg, spoglądając przed siebie. Po chwili podeszła do męża i rzekła:

— Zdaje mi się, Everardzie, że jeszcze nie znasz tego pana, kuzyna Petera. Pan major Morven. Od wielu już lat przyjaźnimy się. Serdecznie pana witam, panie Eryku!

Zrobiła to z godnością. Eryk podszedł i skłonił się nisko. Poruszał się swobodnie, twarz miał znękaną, włosy na skroniach przyprószone siwizną. Nie należał do tych, którzy zjawiając się wśród gości, przechodzą bez uwagi. Było tak i teraz. Ktokolwiek nań spojrzeł, mógł łatwo zauważyć, że jakieś niezwykle dostojenie przebiega z jego twarzy. Zatrzymał się przed Marcją i uściskał jej dłoń. Na ciemnej jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Nie mogłem nie skorzystać z tak niezwykłej okazji — przemówił po chwili. — Jak pani widzi, pani Marcjo, uwolniłem się już wreszcie z udreki „uwięzienia”. Słyszała pani o tym?

Marcja się zaśmiała.

— Słyszałam, panie Morven, i ogromnie się cieszę. Ale dopiero dziś niestety. Oto mąż mój, Everard. Bardzo się cieszymy, że widzimy tu pana.

Everard się skłonił i podał mu rękę.

— Cieszy mnie poznanie przyjaciela mej żony i kuzyna Petera

— powitał go z uśmiechem.

— Dziękuję — rzekł Eryk, spoglądając mu w oczy. — Ja również się cieszę z zaszczytnego spotkania. — Spojrzał wreszcie na parę nowożeńców. — Jeśli się nie mylę, to ceremonia już minęła. Czy mogę powinszować?

Zmieszana Goldie podeszła bliżej.

— Czy pan naprawdę już wyzdrowiał? — spytała zakłopotana.

— Dlaczego pan nas wcześniej nie zdążył odwiedzić?

— Byłem bardzo zajęty — odpowiedział Eryk. — Myślałem jednak o tym, by przypomnieć się tu pani bezpośrednio po jej ślubie z moim kuzynem. Czy więc mogę powinszować?

Ominęła to pytanie.

— Aż nie chce mi się wierzyć, że pan może już chodzić — rzekła po chwili. — Jakże to się stało? Czy wydarzył się cud?

Uwaga obecnych skupiła się w tej chwili na Eryku i na Goldie. Baronford spojrział i przerwał zniecacka:

— Istotnie cud — zawołał cynicznie. — Przyznaję się otwarcie, że poniekąd i ja za ten cud odpowiadam. — Tu zwrócił się do Marcji. — Dzielimy więc oboje tę zasługę cudotwórców. Czy zgadza się pani? Bo przecież pani to właściwie swym bezgranicznym poświęceniem utorowała doń drogę. Cały swój urlop poświęciła pani na to. Ja i moja żona byliśmy żywymi świadkami pani troski i oddania. Ani pani, ani pan major temu nie zaprzeczą.

Na sali zaległo głębokie milczenie. Goście oniemieli. Na twarzach niektórych pojawił się uśmiech, inni siedzieli zdumieni. Było rzeczą widoczną, że wszyscy byli skonsternowani. Ale Everard w tej chwili pośpieszył z odsieczą. Podbiegł do żony i ująwszy jej rękę, rzekł z uśmiechem:

— Wyręczę cię Marcjo i sam teraz powiem, jak sprawa się przedstawia. Otóż, nawiązując do tego, co powiedział tu pan Baronford, oświadczam publicznie, że wiedziałem o tej sprawie i pozwoliłem mojej żonie, by czuwała nad chorym. Dzięki troskliwej jej opiece i wielkiemu poświęceniu pan Morven istotnie powrócił do zdrowia. Napełnia mnie dumą i niekłamany podziwem ofiarność mej żony. I miło mi podkreślić, że obchodzimy z nią właśnie nasze srebrne wesele. Niech to przeświadczenie wewnętrzne będzie najmilszym podarkiem, złożonym mi w tym dniu. Wśród gości momentalnie nastąpiło odprężenie. Rozległy się śmiechy i nastrój wesela powrócił znowu. Tylko Baronford siedział osowiały i smutny. Nie mógł tego znieść, że jedyną jego broń tak niespodzianie wytracono mu z ręki.

W zaciszu nocy

Kilka godzin później Everard samotnie zasiadł do biurka. Był strasznie znużony, nie mógł pracować. Zgasił zatem światło i wsparłszy się na ręce, pogрузił się w myślach. Ale myśli, jak pająki, pętały mu mózg. Nie mógł zapomnieć. Rozwazał, postanawiał, męczył się, dociekał jedna myśl jednak — ta najstraszniejsza dla niego — z nieodpartym uporem wracała bez przerwy. Po tym wszystkim, co zaszło nie może dłużej przebywać ze swą żoną. Muszą się rozejść.

Nagle ktoś głośno zapukał.

— Proszę! — powiedział.

Na progu pokoju pojawił się Wilson.

— Pan major Morven — oświadczył służący. Everarda zdumiała ta późna wizyta.

— Proś go — odrzekł.

Po chwili Eryk był już w gabinecie.

Everard natychmiast zapalił światło; wskazał mu miejsce.

— Czym mogę służyć? — zapytał go oschle. Eryk usiadł.

— Doszedłem do wniosku, że nic w tym wypadku nie może się już zmienić — odrzekł po chwili.

Everard się zdumiał.

— A więc? — zapytał.

— Mam podziw dla pana. Pan poświęcił się dzisiaj, by uratować swą żonę. Nie przypuszczałem jednak, że pan naprawdę nie wiedział, iż żyłem z nią w przyjaźni.

— Domyśliłem się tego.

— Pozwól mi pan zatem, że obronię panią Marcję. Uważam to za obowiązek. Otóż poznałem ją niegdyś w czasie wojny, w szpitalu. Byłem wtedy ranny, a szpital zbombardowano. W ostatniej niemal chwili zdołano nas ocalić. Pełniła wtedy właśnie funkcje pielęgniarki.

I kolejno Eryk przedstawił mu wszystkie następne fazy znajomości. Mówił z nim szczerze i zupełnie otwarcie. Przyznał się, że obudziła w nim miłość, że od lat utrzymywał z nią stosunek przyjaźni, że zamierzał z nią uciec, ale że oparła się i wybrnęła ostatecznie z grożącej jej matni. Opisał mu również przebieg ich ostatniej wycieczki za miasto. Wycieczka, jak wiadomo, skończyła się katastrofą. Doznał porażenia, potem przez lata był chory i przykuty do fotela. Po ostatniej jej wizycie doznał panowme wstrząsu po wypadku. I to go ostatecznie postawiło na nogi.

— Powiedziałem panu prawdę — kończył. — I podkreślam na koniec, że przez cały ten czas pani Marcja należała wyłącznie do pana.

— Powiedział pan prawdę — przyznał Everard. — Teraz pozwól pan w zamian, że i ja to uczynię. Otóż rozważywszy to wszystko, dochodzę do wniosku, że moja żona mnie nie kocha i nigdy nie kochała! Ona musiała o tym wiedzieć już przy pierwszym spotkaniu z panem Nie zamierzam wobec tego krępować jej dłużej. Niech idzie za sercem. Oddaję ją panu. Może panu się to uda, że uczyni ją szczęśliwą.

— Co? — rzekł Eryk, podnosząc się z miejsca. Pobladł z gwałtownego wzruszenia.

W tej chwili zjawiała się Marcja na progu.

— Everardzie! — krzyknęła, przystając nagle.

— Eryku! — zawołała z wyrazem rozpacz. Obaj mężczyźni zwrócili się do niej.

— Wyznałem właśnie prawdę — odezwał się Eryk. — Pani małżonek mi uwierzył. I tylko w jednym punkcie nie mogę go przekonać. O to właśnie walczę.

— W jakim? — spytała, nie kryjąc goryczy.

— Nie może mi uwierzyć, że był jedynym mężczyzną, stale i niezmiennie kochanym przez panią. Może pani go przekona.

— Eryku! — zawołała, wybuchając płaczem. Spojrzał jej w oczy.

— Proszę go przekonać — mówił z uśmiechem. — Proszę mu

powiedzieć, że nas nic nie łączy, nic oprócz życzliwej przyjaźni. Pani *musi* to zrobić Pani *musi* to powiedzieć, by uratować nas wszystkich od poczucia klęski. Nie zjawię się tu więcej jako duch niepokoju. Ale nie sposób mi stąd odejść, nie przekonawszy się, że zostawiłem was w zgodzie. Wszystko mi już jedno, co stanie się ze mną. Odbiorę sobie życie, gdy nie zdołam tego przetrwać!

— Przestań pan, Eryku! — krzyknęła z rozpaczą. — To niegodnie i nie po męsku mówić w ten sposób. Everardzie — zawołała. — Everardzie mój drogi!

Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy.

— Jakkolwiek zbłądziłam — przyznała się szczerze — bądź pewny, Everardzie, że nigdy twój honor nie poniósł szwanku. Zawsze cię kochałam i Kocham niezmiennie!

Everard poblądł.

— Nie troszczę się już o to, co było w przeszłości — odrzekł po chwili. — Oświadczyłem tylko właśnie i powtarzam to ponownie, że nie zamierzam krępować ani więzić twjej woli. Niech nacieszy się tobą wybraniec twego serca. Przed tą rozmową miałem zamiar oświadczyć ci to dzisiaj.

— Wybraniec mego serca! — jęknęła boleśnie.

Spojrzała mu w oczy i podeszła niezwłocznie w kierunku Eryka.

— Bądź zdrow, Eryku — szepnęła bez tchu. Objęła go ramieniem, całując go w czoło.

Eryk milczał. Poblądł śmiertelnie i natychmiast bez słowa skierował się ku drzwiom.

Po chwili wyszedł.

Marcja nieprzytomnie spojrzała na męża. Siedział na krześle. Twarz miał ukrytą w obu dłoniach. Rozpaczliwie szlochał. Straszny ból ogarnął jej serce.

Przyklękła obok niego i ujęła w ręce zwieszoną jego głowę. Przygarnęła ją do piersi.

— Wybraniec mego serca! — wyszeptała. — Wybraniec mego serca! — powtórzyła ze łzami.

I wrota do przeszłości otwarły się znowu.